



## JAN DZIOPEK

Dnia 16 września 1946 r. w Gorlicach, sędzia śledczy w Gorlicach, w osobie Stanisława Roja, z udziałem protokolanta Józefa Liany, przesłuchał niżej wymienionego w charakterze świadka, bez przysięgi. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania i o treści art. 107 kpk świadek zeznał, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Jan Dziopek
Wiek	57 lat
Imiona rodziców	Józef i Antonina z d. Pękała
Miejsce zamieszkania	Gorlice, ul. Łęgi 10
Zajęcie	nauczyciel państwowego liceum i gimnazjum
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarany
Stosunek do stron	obcy

---

Po prawnym pouczeniu i upomnieniu zeznaje:

Do obozu w Oświęcimiu przywieziono mnie 8 października 1940 r., gdzie zostałem oznaczony kolejnym nr. 5635. Po kilkudniowej „zaprawie obozowej”, zwanej „sportem”, a którą dokładnie opisuję w mej załączonej pracy na stronie 11 i 12, przydzielono mnie na tzw. *Industriehof I*, gdzie pracowałem przy robotach ziemnych. Byliśmy ubrani w drelichy, nie mieliśmy czapek, swetrów ani też płaszczy. Dokuczliwe zimno dni listopadowych, częste deszcze ze śniegiem dziesiątkowały nas każdego dnia. Tak pracowałem od 13 października do pierwszych dni grudnia 1940 r. Od 5 lub 6 grudnia 1940 r. do 13 czerwca 1941 r. pracowałem jako stolarz w stolarni *Industriehof 1*. Stąd wyrzucono mnie w drodze karnej za robienie tropów do fabryki *Deutsche-Ausrüstungs-Wärkstätte (DAW)* w dniu 16 czerwca 1941 r. W owej fabryce

pracowałem początkowo jako stolarz, a po dwóch czy trzech tygodniach oddano mi magazyn części stolarskich, z którego współwzięniowie wypożyczali narzędzia. Tu pracowałem do 18 lipca 1942 r. Z posady tej miałem również wylecieć karnie za tzw. *Schwarzarbeit* i to z meldunkiem karnym, co opisuję dokładnie w mojej pracy na stronach 54 i 55. Od 19 lipca 1942 r. aż do dnia końcowej ewakuacji obozu pracowałem bez przerwy, tj. do 19 stycznia 1945 r., w głównej kancelarii obozowej. W czasie mego pobytu w obozie oświęcimskim mieszkałem na bloku 17a, 8. [wg] starej numeracji, oraz 3., 10a, 15a, 6., 24a, 3a, 15a, nowej numeracji. Warunki mieszkaniowe, pracy, odżywiania, sanitarne i higieniczne szczegółowo opisałem w załączonej pracy, począwszy od strony 9.

Załączoną pracę napisałem osobiście po uwolnieniu przez wojska amerykańskie w obozie w Ebensee. Pracę miałem o tyle ułatwioną, że będąc w obozie w Oświęcimiu, robiłem sobie notatki, które jednak musiałem zniszczyć po przybyciu do obozu w Mauthausen po ewakuacji Oświęcimia. Jednak wiele rzeczy zapamiętałem. Nie pomnę jedynie wielu nazwisk kolegów powieszonych lub rozstrzelanych. Ręczne poprawki maszynopisu czyniłem sam. W kilku miejscach zrobiłem uzupełnienia. Poprawka ołówkiem w opisie szpilowania jest zrobiona również przeze mnie. Obok nazwiska Landaua skreśliłem słowo „Żyd”, gdyż mając zamiar wydać moją pracę drukiem, nie chciałem piętnować narodu, który w Oświęcimiu przeszedł prawdziwą gehennę. Czystopisu nie posiadam. Do kompletu dołączam dalsze arkusze do strony 157. Po napisaniu całości prześlę końcowe arkusze do Komisji Badań Zbrodni Niemieckich w Krakowie. Całość [nosi] tytuł „W szponach gestapo”.

Wobec tego, że zamierzam wydać tę pracę drukiem, zastrzegam sobie niniejszą dołączoną pracę wyłącznie tylko do użytku sądowego.

Z byłym komendantem obozu Rudolfem Hößem osobiście się nie zetknąłem i bliższego kontaktu z nim nawet pośrednio nie miałem.

Zaznaczam tylko to, że wszystko to co opisałem w załączonych pamiętnikach, działa się za komendantury Rudolfa Hößa.

Po odczytaniu podpisałem.

Zakończono i podpisano.

## POBYT W WIĘZIENIACH

21 sierpnia 1940 r. przyjechali do Gorlic niezwykli i zupełnie nieznanymi goście. Stanęli na czatach w różnych punktach miasta, na wszystkich ulicach, na ich skrzyżowaniach, a nawet w bramach. Każdego przechodnia, a szczególnie młodych ludzi legitymowano – jednych puszczano wolno, a innych odprowadzano do budynku magistrackiego. Owymi nieznanymi gośćmi było jasielskie gestapo, które w tym dniu urządziło znaną w ich metodzie obławę na obywateli miasta Gorlic.

Około godz. 9.00 rano zjawił się u mnie w domu policjant miejski z wezwaniem natychmiastowego stawienia się w magistracie. Na zapytanie – kto i na co mnie potrzebuje – dał mi wymijającą odpowiedź. Nie przeczuwając nic złego, nie żegnałem się z rodziną i udałem się do magistratu. Już z dala zauważyłem w bramie budynku magistrackiego obcego człowieka, jak mi objaśnił towarzyszący mi policjant, był to gestapowiec. Zażądał on ode mnie legitymacji, którą po oglądnięciu zatrzymał u siebie, a mnie, mierząc groźnie spojrzeniem, rozkazał wejść do budynku. Na korytarzu stał drugi, nieznanymi mi osobnik, który brutalnie pchnął mnie do małej kancelarii, gdzie mieściło się ewidencyjne biuro ludności miasta. Niewielki pokój o wymiarach sześć na cztery metry gościł już z górą 30 osób, obywateli gorlickich. Na twarzach ich widzę niepokój, pewne zdenerwowanie i jeden drugiego pyta: dlaczego cię tu sprowadzili? Dowiaduję się od obecnych, że na „zamówienie” był odstawiony przez policję miejską ks. prałat Kazimierz Litwin i ja – reszta została złapana na ulicy. Liczba obecnych z minuty na minutę zwiększała się, gdyż gestapo niestrudzenie pracowało i niczym oprawcy psów – co raz to nowe ofiary przyprawiali do nas. Korytarz powoli zapełnił się aresztowanymi. W pokoju panował niebywały ścisk i zaduch – zdawało się, że jeszcze chwila, a podusimy się, gdyż okien nie wolno było otwierać.

Około godz. 11.00 wyprowadzono nas przed budynek magistracki, ustawiono w kolumnę trójkową i pod silną eskortą odprowadzono na podwórze więzienne. Po ustawieniu w kolumnę piątkową, zauważyłem, że było nas ponad 150 osób. Wywołano Ukraińców, których z miejsca po okazaniu legitymacji zwolniono, a my w kolumnie staliśmy i czekaliśmy. Nie wolno nam było rozchodzić się ani siadać. Jeden z dozorców więziennych przyniósł krzesło dla księdza prałata, został jednak skarcony, że ten może tak samo stać jak i inni. Upał w tym dniu był nieznośny. Wśród tych murów więziennych mieliśmy prawdziwą kąpiel słoneczną. Dzielnie jednak, z dumnie podniesioną głową znosiliśmy tę pierwszą zaprawę metod gestapo.

Około godz. 13.00 zaczęto wzywać z naszych szeregów po dwóch, którzy już do nas nie wracali. Przypuszczaliśmy, że kogoś poszukują i po zbadaniu naszych legitymacji, wypuszczają na wolność. Przyszła kolej i na mnie. Wprowadzają mnie do maleńkiego pokoju, gdzie za stołem siedzieli trzech gestapowców. Spisali moje personalia i nie pytając więcej, dali mi znak odejścia. Uradowany, że wreszcie skończyło się to wielkie niewiadome, skierowuję swe kroki ku wyjściu. Wtem łapie mnie jeden z tej bandy gestapowców i tęgim kopniakiem nawraca w tył do zakratowanych drzwi. Otwiera mi kraty pełniący służbę klucznik i zamyka w celi. Skończyła się moja wolność i swoboda, rozłączyli mnie z moją kochaną rodziną, z ulubioną pracą w moim skromnym gospodarstwie. Nie poczuwam się do żadnej winy, nic nikomu złego nie wyrządziłem – jakim więc prawem zamykają mnie w więzieniu. Tego rodzaju refleksje, a zarazem bunt przeciwko temu bezprawiu germańskiemu zawładnęły mną całkowicie.

Nasza cela więzienna zapełniała się coraz liczniej. Zamknięci zostali ze mną przeważnie młodzi chłopcy, nawiasem mówiąc przeważnie moi uczniowie z gorlickiego gimnazjum, a mianowicie: Andrzej Lewicki, Tadeusz Presz, Ludwik Bartusiak, Ignacy Sikora, Leszek Rusinek, Ignac Mielowski, Kazimierz Hałgas, Julian Tybor, Józef Węgrzyński, nadto ks. Franciszek Herr, profesor w Gorlicach Aleksander Pazurkiewicz, Jacek Delekta, Stanisław Kałuża, Wacław Cyl, Porębski i reszta nieznanymi mi osób. Razem było nas 27.

Sala, w której nas więziono, była celą przejściową, o dużych mocno zakratowanych oknach, niesłychanie brudna i zupełnie nieurządzona. Duże długie ławy i w kącie wiadro, to było całe jej urządzenie. Posiadaliśmy na owych ławach i w milczeniu, mocno przygnębieni oczekiwaliśmy, co z nami zrobią.

Wtem usłyszałem głos mej najstarszej córki Usieńki, która, nie wiem w jaki sposób, wspięła się na dwa metry wysokości parkan i donośnym głosem zawołała: „Tatusiu! Nie martw się – robimy wszystko, aby cię zwolniono”. Usieńko! Gdybyś ty wiedziała, że już wówczas byłem tajnie skazany na pobyt w obozach przez cały czas trwania wojny, zapewne inaczej pocieszałaśbyś tatusia.

Siedzieliśmy dalej w milczeniu – nikt z nas nie miał ochoty na rozmowę. Od czasu do czasu można było usłyszeć ciężkie westchnienie, to znowu ciche przekleństwo. Oderwani zostaliśmy tak nagle i niespodziewanie od warsztatu swej codziennej pracy i osadzeni w kryminale. Po raz pierwszy w życiu w więzieniu... I za co? To pytanie cisnęło się każdemu

do głowy. Jesteśmy uwięzieni – pozbawieni wolności. Trudno! Trzeba mi siedzieć w kryminale na stare lata... Godziny lecą szybko. Wnet będzie wieczór. Nagle usłyszeliśmy zgrzyt zamka, drzwi się otwierają i wywołują moje nazwisko. Serce we mnie zamarło. Pewnie idę do domu. To starania mojej Usieńki. – Niestety. To nasz dobry strażnik Smoszna gorliczanin podaje mi pakunek, doręczony z domu – bochenek chleba, garnuszek masła, koc, palto i różne przybory toaletowe. Widok dużego gospodarskiego chleba, a w dodatku i masła, o które już było trudno, ożywił nasze oblicza, bo byliśmy głodni. Wielu z nas było nawet bez śniadania. Chlebuś z maselkiem zniknął momentalnie. Posiliwszy się nieco, zaczynamy się ożywiać i zabawiać pogwarą. Noc się zbliża – trzeba pomyśleć o spaniu. „Chłopczy! Na gołej podłodze spać nie będziemy – musimy postarać się o słomę. Ale jak? Oczywiście trzeba porozumieć się z naszym strażnikiem”. Nieśmiało cichutko pukam. Za drzwiami lekkie poruszenie, ktoś podchodzi do drzwi i pyta: „Co jest”. Po głosie poznałem, że to nasz poczciwy Smoszna. „Proszę Pana, aby w moim imieniu poprosił p. Laskosia, który mieszka naprzeciw Sądu o parę wiązek słomy”. „Dobrze” – odpowiada strażnik. W kilka minut dostajemy na salę cztery wielkie wiązki słomy. „Chłopczy! – Śpimy znakomicie”. Po chwili leżeliśmy już wygodnie, wyciągnięci na słomie. Teraz dopiero poczuliśmy, jak bardzo byliśmy znużeni. Każdego z nas piekielnie bolała głowa, a niektórzy mieli nawet gorączkę.

Zmrok zupełny – cisza niczym niezmacona. Młodzi już zasypiają. Czułem się dobrze, ale spać nie będę, nerwy na to nie pozwolą. Ale to nic. Ileż to nocy w życiu nie przespałem? Jeszcze jedna... Bagatela. Nagle usłyszeliśmy wielki ruch na korytarzu – drzwi do naszej celi się otwierają i słyszymy donośny chrapliwy głos. „Alles heraus!” Zrywamy się z naszego pośłania. Ten i ów częściowo się pozbierał, niektórzy zdjęli buty. – A tu powtórne – jeszcze głośniejsze już nie jednego, ale kilku „Heraus! Los! Los!”. Jak który mógł, uporządkował swoją garderobę i wychodzimy w pośpiechu. Na korytarzu, we wszystkich bocznych wejściach i przy oknach stali gestapowcy i pilnowali nas, by który z nas nie uciekł. Wychodzimy stale popędzani w kierunku do wyjścia.

Przed gmachem sądowym stoją dwa samochody i limuzyna. Poznaję owe wozy z Libuszy, którymi dojeżdżała młodzież z fabryki do Gorlic. Ładują nas z wielkim pośpiechem do samochodów, ruch przechodniów [został] wstrzymamy. Motory pracują. Gromadki naszych znajomych gorliczan nas żegnają. Żegnają nas jednak tak dziwnie – jak skazańców. Jedni znakiem Krzyża Świętego inni kiwaniem głowy – jedna znajoma pani podniosła zaciśniętą pięść i pogroziła nią w kierunku naszych tyranów, niektóre panie płaczą. Ruszamy. W aucie

zapowiedziano nam, że jeżeli będzie ktoś próbował ucieczki, zostanie zastrzelony, a gdyby udało mu się zbiec, zostanie rozstrzelanych z naszego grona dziesięciu zakładników. Nie wolno nam rozmawiać. Po bokach, z przodu i z tyłu mamy gestapo. Ktoś próbował zapalić papierosa, został skarcony mocnym szturchańcem.

Dokąd jedziemy – to pytanie ciśnie się każdemu. Mijamy Glinik Mariampolski, Libusze, dojeżdżamy do Biecza. Tu dołączają do nas bieczanów, znowu moich uczniów, a mianowicie Edzia Salomona, Młodeckiego, Mullera. Jedziemy dalej. Noc bardzo ciemna. Samochód jedzie z szybkością 20–25 km na godzinę – można by uciekać pod warunkiem jednak, że wszyscy. Jedno mgnienie, a rzucamy się na gestapo, ubezwładniamy ich i jesteśmy wolni... Ale jak zaryzykować życie, może potem pociągną za nas do odpowiedzialności nasze rodziny. Wyczułem po twarzach mych kolegów, że tego rodzaju refleksje zawładnęły i nimi, bo od czasu do czasu rzucają na mnie spojrzenie – jak na swego opiekuna – jak na swego ojca. – Jestem między nimi najstarszy. Jedno hasło – „bić” – a uwolnimy się...

Tak pogrążony w myślach, nie zorientowałem się, że minęliśmy Siepietnicę, Skołyszyn, Trzcinić i dojeżdżamy do Jasła. Samochody stają przed gmachem sądowym. Rozumiemy dlaczego. Tu jest kryminal. Drugi etap naszego pobytu za kratami. Długimi korytarzami dochodzimy przed kratę więzienną. Rozlega się dzwonek. Wybiega strażnik, otwiera bramę i nie pytając, licząc nas dokładnie, odbiera „Nowych gości”. Za ostatnim zatrzasnął gestapowiec wrota kryminalne. Jeszcze raz na nas popatrzył, uśmiechnął się szyderczo i zadowolony ze swych łowów, mając tak liczne trofea, odszedł.

Jesteśmy pod władzą innej kategorii ludzi – straży więziennej. Następuje teraz dokładna rewizja. Zabierają nam wszystkie drobiazgi, jakie mieliśmy przy sobie, a przede wszystkim noże, szelki, pasy, a nawet sznurówki od bucików. Widać troskę o nasze życie, boją się, aby któryś się nie powiesił. Po dokonanej rewizji wpuszczają nas kolejno do sali więziennej nr 4. Jest to tzw. cela przejściowa, stosunkowo duża, około dziewięć na sześć metrów o oknach maleńkich, mocno zakratowanych i umieszczonych wysoko, tuż przy suficie. W celi [znajdują się] dwa łóżka, kilka podartych prawie pustych sienników, dwie długie ławy – wszystko bardzo zniszczone i brudne. Oto umeblowanie naszej celi. W rogu celi jest jakby budka telefoniczna – to ubicacja, w której stało wiadro. Na łóżkach siedzi czterech starych lokatorów tego przybytku. Dwóch z nich ma przykute ręce do nóg grubymi łańcuchami. Z wyglądu zewnętrznego można wnioskować, że dla tych ludzi nie dziwny kryminal. „Ładne

towarzystwo” – pomyślałem. Pierwsze ich słowa [skierowane] do nas na powitanie, to było zapytanie: „A macie co kurzyć?”. Papierosów każdy miał dość, ale przy rewizji je zabrano. Niektórzy jednak zdołali przemycić parę sztuk w butach pod wyściótkami, więc pogościli nimi naszych współtowarzyszy. Jak się później niejednokrotnie przekonałem, z ludźmi tego rodzaju należy żyć w jak największej zgodzie i przyjaźni, a będą wówczas jak najlepszymi przyjaciółmi. Kto idzie kontra nim, tego zwymyślają brutalnie słowami, a nawet obijają, lepiej też z nimi nie zaczynać.

Usiadłem na ławie obok ks. Herra i milcząco, z pochylonymi głowami rozmyślamy nad naszym godnym pożałowania losem. Jest już po północy – należałoby pomyśleć o spaniu. Niektórzy pozajmowali miejsca przy ścianach, inni na środku skupieni, jeden obok drugiego, rozkładając na podłodze swe palta, o ile je mają, i marynarki. Ksiądz Herr ułożył się tuż obok łóżka, na którym leżało dwóch towarzyszy – jeden pobrzękujący kajdanami. Któryś z kolegów żartobliwie powiedział: „Koledzy mamy już parafię. Jest ksiądz i kościelny, bo dzwoni kajdanami”. Dowcip był dobry. Po raz pierwszy w tym dniu uśmieśliśmy się serdecznie.

Ułożyłem się do snu na jednej z ław. Spać nie mogłem. Nie pozwoliły na to nerwy i robactwo. Milionowa ilość pcheł – bataliony pluskiew, a jak się później okazało i wszy były naszymi współlokatorami. Nie tylko ja nie spałem – moi koledzy przewracają się z boku na bok – widać gołe deski ich gniotą – również spać nie mogą. – Nad ranem awantura. Do „budki telefonicznej” nie chcą nikogo wpuścić, bo... wiadro pełne i najbliżsi sąsiedzi stoją, bo podłoga zalana. Raniutko o świcie wstajemy. Do mycia dostaliśmy wiadro wody i miednicę. Jeden drugiemu polewa garnuszką wodę do mycia, bo wodę musimy oszczędzać. Jedno wiadro na 43 ludzi. Po pierwszej nieprzespanej nocy w kryminale humory mieliśmy nie najgorsze. Oczekujemy śniadania, bo głód po wczorajszym poście zaczyna nam dokuczać. Około godz. 8.00 otrzymujemy maleńki kubek czarnej, niesłodzonej kawy, którą duszkiem wypijemy. Od godz. 10.00 do 11.00 mieliśmy przechadzkę po podwórzu więziennym. Tu chodziliśmy w milczeniu jeden za drugim w odległości 1 m jeden od drugiego. Nie wolno rozmawiać ani iść we dwóch lub trzech. W razie niezastosowania się do tych przepisów przechadzkę przerywano i wpędzano przedwcześnie do celi. Mimo wszystko w czasie przechadzki dowiedzieliśmy się, że na piętrze jest zamknięty inż. Adam Kowalski z Gorlic, dyrektor fabryki w Gliniku Mariampolskim, oraz Gryboś, urzędnik Wydziału Rady Powiatowej w Gorlicach.

Na obiad otrzymaliśmy zupełną ziemniaczaną, ale bez ziemniaków. Była to wodziuchna pozbawiona zupełnie tłuszczu, w której gotowały się ziemniaki. Na kolację otrzymaliśmy 12 dag chleba i znowu czarną niesłodzoną kawę. Paczek żywnościowych nie wolno było posyłać do więzienia – jedynie tylko bieliznę. Głód zaczyna nam dokuczać. Pod pokrywką bielizny przekradają się do naszej celi maleńkie paczki z żywnością. Dyrektor więzienia, bardzo dobry człowiek, patrzy na to przez palce. Dzięki tym skromniutkim paczuszkom ukrytym w bieliźnie zaczyna się akcja dożywiania.

Mimo że byliśmy zamknięci i nie mieliśmy żadnego z nikim kontaktu, dochodziły do nas tzw. po więziennemu grypsy. Ktoś z Jasła napisał, że widział w gestapo dwie listy – jedna – to lista zwolnień, a druga tych, którzy dalej będą zamknięci. Czwartego dnia pobytu w więzieniu zwolniono jednego z naszych kolegów. Fakt ten ucieszył nas bardzo. Może i na nas przyjdzie kolej i wypuszczą nas. Piątego dnia przyszło do więzienia zaraz po śniadaniu czterech gestapowców. Byli to, jak się później okazało, nasi sędziowie. Kolejno wołali nas do siebie i spisywali protokół, który każdy z nas musiał podpisać. Przyszła kolej i na mnie. Spisano ze mną tak dokładnie *curriculum vitae*, jakiego nigdy w życiu nie pisałem. Jakie było moje wychowanie jako dziecka – zapatrywania moich rodziców, braci, siostr i ich adresy – moje studia, zamiłowania, przynależność do organizacji itd., itd. Na końcu tego protokołu na odpowiednie skinienie przewodniczącego maszynista wpisał czterowierszową adnotację, którą nakrył bibułą i podał mi protokół do podpisu. Powiedziałem, że nie podpiszę, bo muszę wiedzieć, co podpisuję. Przewodniczący skoczył do mnie z furią i zaczął wygrażać pięściami – jednak mnie nie uderzył. Poprosiłem jeszcze raz o przeczytanie mi protokołu, bo muszę wiedzieć, co podpisuję. Gestapowiec wściekły jak pies przeczytał mi protokół, końcowy czterowierszowy dopisek przysłonił bibułą i znowu podał mi do podpisu. Nie chciałem dłużej oponować, by nie oberwać – podpisałem. Pytam jednak: „Proszę mi powiedzieć, za co mnie panowie aresztowali?”. Przewodniczący krzyknął: „Du bist Deutschen – fresser”. A więc dowiedziałem się, jaki był powód pozbawienia mnie wolności. Pożeram Niemców.

Dwa dni później, tj. 29 sierpnia 1940 r., już od wczesnego ranka wywołują nas imiennie i ustawiają dwójkami na korytarzu. Nie wiemy w jakim celu. Zainteresowało nas to, że dzielą nas na grupy i oddzielnie każdą z nich wyprowadzają z więzienia. Przyszła kolej i na mnie. Wychodzimy pod silną eskortą na podwórze więzienne. Tu wsiadamy do policyjnych wozów samochodowych i podwożą nas na ulicę, gdzie oczekujemy na resztę więźniów. Na ulicy zebrało się dość dużo publiczności, która [jest] zainteresowana naszym wyjazdem, [ludzie]



zatrzymują się, wyszukując spośród nas swoich znajomych. Patrząc i oczom nie wierzę. W oddali widzę moją żonę. Przyjechała z Gorlic – jakby przeczuła, że następnego już dnia nie zastałaby mnie w Jaśle. Stoi na chodniku smutna i w rękę trzyma pakunek, chce mi go podać – policja jednak nie pozwala. Moja Stefunia jednak podchodzi do innego policjanta i ponawia swoją prośbę. Wzruszyła go prośba, wziął pakunek i wrzucił mi go do samochodu. Jedna długa wymiana spojrzeń była naszym ostatnim pożegnaniem. Motory zagrały, opuściliśmy Jasło, żegnani długo wymachiwaniem chusteczek, którymi wycierano załzawione oczy. Jedziemy szosą w kierunku Tarnowa. Znowu refleksje i różne czarne myśli zaprzętają mój umysł... Dokąd jedziemy...? Co z nami zrobią...? Słyszeliśmy w więzieniu o wielu morderstwach dokonywanych na niewinnych więźniach. Czyżby i nas wywozili za miasto do lasu i tam... skończyć z nami... Ale za co? Jesteśmy zupełnie niewinni. Nasza jedyna wina to ta, że urodziliśmy się Polakami.

W tak beznadziejnym nastroju psychicznym nawet nie zorientowałem się, że dojechaliśmy do Tarnowa. Wiozą nas bocznymi drogami do więzienia, na podwórzu do kryminału. Wyskakujemy szybko z samochodów, stajemy w kolumny piątkowe i po sprawdzeniu liczbowym, a następnie imiennym odbierają nas po kilkunastu strażnicy więzienni. Po dokonaniu bardzo szczegółowej rewizji osobistej, osadzono mnie w towarzystwie 11 kolegów w celi nr 58 oddziału II. Cella małeńka, przeznaczona zasadniczo na sześciu więźniów, bo tyle jest w niej łóżek na dzień podnoszonych i przymocowanych do ściany. W celi jest jeszcze mały przymocowany do ściany stół i w rogu muszla klozetowa z wodą bieżącą. Cieszyliśmy się bardzo, że w celi mamy wodę i będziemy mogli się obmyć. Ku wielkiemu naszemu przerażeniu skonstatowaliśmy, że w celi jest olbrzymia ilość pluskiew, a w kocach wszy. Rozlokowaliśmy się w naszym nowym pomieszczeniu, by rozpocząć trzeci etap życia kryminalnego.

Odżywianie mieliśmy tu podobne jak w Jaśle – kawa niesłodzona rano, woda z burakami pastewnymi w południe, a wieczorem znowu kawa lub herbata ziołowa i 12 dag chleba. W całości, jak widzimy, było tego za mało, by utrzymać się przy życiu, za dużo zaś, by w krótkim czasie umrzeć śmiercią głodową. Nic też dziwnego, że więźniowie już po kilku tygodniach byli tak słabi, że chodząc po celi, trzymali się ścian. Dostaliśmy pozwolenie na otrzymywanie paczek żywnościowych raz na dwa tygodnie. Nasi najdrożsi zasypywali nas olbrzymimi paczkami, tak że jedzenia w więzieniu tarnowskim nam nie brakowało. Trudniej było z papierosami, bo tych nie wolno było nam posyłać. Palacze zdobywali je jednak za pośrednictwem dozorców, którzy za żywność lub bieliznę dostarczali tytoń. Początkowo mieliśmy duże trudności z przesłaniem „grypsu”, ale po wyrobieniu sobie stosunków poczta



regularnie kursowała między nami a domem. Najczęściej wysyłaliśmy listy zbiorowe, które za pośrednictwem jednego z księży kapituły tarnowskiej były doręczone do domu.

Z uwagi na to, że każdemu nowicjuszowi kryminalnemu niezwykle dokuczają bezczynność, staraliśmy się wspólnymi siłami urozmaicić dzień, jak tylko nas stać na to było. Pobudkę mieliśmy o godz. 6.00. Do godz. 7.00 sprzątanie, mycie się. Następnie otrzymaliśmy śniadanie. Od godz. 8.00 rano – przez cały dzień bez przerwy – odbywały się spacery, ale po celi. Zorganizowaliśmy się w ten sposób, że po dwóch kolegów przez dwie godziny bez przerwy spacerowało, mając możliwość wykonania w prostym kierunku sześciu małych kroków. Inni tymczasem spali lub czytali przemycone książki. Niektórzy uczyli się języka niemieckiego. Graliśmy również i w szachy, które ulepił nam z chleba Leszek Rusinek. O godz. 18.00 odbywał się apel. Na sygnał dzwonka każdy z nas musiał być ubrany i gotowy do wyjścia. Ustawialiśmy się trójkami i oczekiwaliśmy przyjęcia strażnika, zwykle starszego, na odebranie raportu. Po otwarciu celi nasz izbowy ks. Herr meldował: „Achtung! Zimmer Nr.58 belegt mit 12 Schutzhäftlingen alles in Ordnung”. Po zamknięciu celi mieliśmy swobodę, aż do następnego ranka. Po odmówieniu wspólnej modlitwy wieczornej przygotowywaliśmy nasze łóżka do spania. Niestykanie trudno je było pościelić, ponieważ w łóżkach było pięć do sześciu żelaznych prętów, na które kładło się prawie puste i podarte sienniki. Spaliśmy na łóżkach po dwóch. Hałas z Lewickim, Sikora z Mielowskim, Pazurkiewicz z Wegrzyńskim, Wójcik z Beniszem, Rusinek z Preszem, ja z ks. Herrem. Po ułożeniu się do spania, każdy z nas musiał kolejno wypełnić program wieczoru, tak długo dopóki nie pozasypialiśmy. Ksiądz Herr najczęściej nas zabawiał, streszczając przeczytane powieści, młodzie opowiadali najczęściej treść filmów, kolega Pazurkiewicz z mitologii, ja zaś opowiadałem różne przygody z czasów wojny światowej. Nie obeszło się również bez wiców, do których mieli zdolności niektórzy koledzy – czym nieraz gorszył się Herr. W niedzielę śpiewaliśmy nieszpory. Jeżeli już bardzo się nudziliśmy i nie mogliśmy znaleźć zajęcia, to bawiliśmy się w tzw. dupaka. Zabawa powszechnie znana w więzieniu. Polega na tym, że jednemu zakrywa się oczy, a jeden z biorących udział w zabawie bije go dłonią w pośladki. Jeżeli zgadnie, to biją tego drugiego, a jeżeli nie, to kładzie się ten sam drugi raz. Nie raz znalazła się taka ofiara, że i dziesięciokrotnie raz po razie musiała się kłaść do bicia. Zwyczajnie zaczynało się od lekkich uderzeń, ale po pewnym czasie była rywalizacja, kto mocniej bije. Często więc nasi chłopcy mieli popuchnięte „siedzenia” i dłonie od bicia. Graliśmy również w karty, które zrobiliśmy sobie z kartonu. Najczęściej był bridge [brydż], ale w innych celach najczęściej grywali w 66.

Ponieważ więźniowie nie mieli pieniędzy, o które mogliby grać, więc grano na tzw. kinol. Polegało to na tym, że wygrany bił przegranego kartą w nos tyle razy, ile punktów wygrał. Po skończonej takiej grze wstawali partnerzy z popuchniętymi nosami (kinolami), nierzadko byli też i zakrwawieni. Tak schodził nam dzień za dniem i tydzień za tygodniem. Przechadzek takich jak w Jaśle nie mieliśmy, stąd też brak ruchu, słońca i świeżego powietrza już po dwóch tygodniach odbił się na naszym wyglądzie. Twarze nam pożółkły i mimo forsownego odżywiania domowymi paczkami, czuliśmy, że słabniemy. Mimo że byliśmy zamknięci, mieliśmy zorganizowany doskonały kontakt ze światem zewnętrznym. Dochodziły do nas codziennie różne grypsy. Otrzymywaliśmy nawet i gazety. Z celami sąsiednimi mieliśmy stały kontakt i tak z parterem porozumiewaliśmy się „konie”. Był to na nitce uwiązany list, który w ciemności opuszczaliśmy na parter. Jeżeli chcieliśmy skontaktować się z II piętrem, stukaliśmy w sufit, a oni natychmiast spuszczały nam nitkę, do której przywiązaliśmy list. Z celami po drugiej stronie korytarza rozmawialiśmy przez „judasza”. Było to okienko w drzwiach, przez które kontrolowała nas straż więzienna. Trudniejszy był kontakt z celami sąsiednimi po lewej i prawej stronie. Ale i na to wynaleziono sposób. Łóżka do ścian były przymocowane długimi śrubami. Gdy ktoś chciał z nas wiadomości od sąsiadów, wykręcał śrubę, oczywiście tylko prowizorycznie włożoną do otworu w murze, i przez ten otwór rozmawiał. Podawał papierosa na drucie lub ogień do zapalenia papierosa. Mieliśmy i alfabet na migi, ale nim niebezpiecznie było porozumiewać się, gdyż więzienie było pilnowane przez straż. Przyłapany na gorącym uczynku otrzymywał „baty”, a nawet zamykano go do bunkra, gdzie morzono głodem. Ze strażnikami Polskimi żyliśmy w jak najlepszej przyjaźni. Natomiast strażnicy Ukraińcy, których było stosunkowo dużo, byli dla nas niebezpieczni, gdyż często nas denuncjowali. Pewnego wieczora przyjechało do więzienia gestapo z Jasła. Widzieliśmy ich, gdyż każdy ruch samochodowy, a nawet pieszy, był obserwowany przez nasze małe okieneczko. U nas poruszenie. Coś będzie nowego. W parę minut otwierają drzwi do naszej celi i zabierają od nas kolegę Benisza. Dowiedzieliśmy się później, że Benisz został zwolniony. Na jego miejsce przyszedł do naszej celi kolega Wieckowski. Pewnego razu gruchnęła wiadomość, że odjeżdżamy, ale dokąd i kiedy, tego nie wiemy. Żyjemy teraz pod wrażeniem odjazdu z więzienia. Na podstawie informacji wiedzieliśmy, że jedziemy do obozu, ale do którego to było zagadką. 7 października 1940 r., ok. godz. 7.00 rano, polecono nam spakować się, gdyż rzeczywiście odjeżdżaliśmy. Jakiś czas później zawezwano z sąsiedniej celi Bartusiaka, a z naszej mnie. Serce we mnie zamarło, przypuszczałem, że idę na wolność. Przypuszczenie moje opierałem na tym, że o zwolnienie Bartusiaka, jako o obywatela

amerykańskiego, czynili starania jego rodzice w Konsulacie. Wyczytanie zatem mojego nazwiska, łącznie z Bartusiakiem, upewniło mnie w tym przekonaniu. Jakież było jednak moje rozczarowanie, gdy wychodząc, zauważyłem już dużo kolegów z innych cel zebranych na podwórzu więziennym w celach transportu. Wyczytano nas razem z tytułu sąsiedztwa alfabetycznego. Na podwórzu więziennym zebrano ok. 320 więźniów, gdzie czekaliśmy do wieczora. Dokąd jedziemy na dalszą tułaczkę? Oto pytanie, które każdemu ciśnie się na usta. Wieczorem umieszczano nas po korytarzach i celach w suterrenach i rozdano nam żywność na dwa dni. Na drugi dzień rano zebrano nas znowu na podwórzu więziennym, gdzie po przeczytaniu [nazwisk] ładowano nas do samochodów policyjnych i pod silną eskortą odwożono na dworzec. Tu załadowano nas po 50 do wagonów osobowych, konwojowanych przez policję. Zauważyliśmy, że nasi konwojenci byli do nas przychylnie ustosunkowani. Pozwalali nam rozmawiać i palić. Byliśmy niezwykle zdziwieni, gdyż zezwolono na doręczenie nam papierosów od jakiegoś komitetu. Podróż koleją mieliśmy za to dość przyjemną. W Bochni dołączono do naszego transportu 30 kolegów tak, że razem jechało nas 350. Od naszych konwojentów dowiedzieliśmy się, że jedziemy do obozu w Oświęcimiu. Dreszcz niepokoju przeszedł po mnie, bo słyszałem jeszcze w celi więziennej, że w obozie oświęcimskim jest bardzo źle.

## POBYT W OBOZIE W OŚWIĘCIMIU

Około godz. 13.00 dnia 8 października 1940 r. zajeżdżamy do *Konzentrationslager* Auschwitz. Pociąg nasz nie zatrzymuje się na stacji w Oświęcimiu, lecz zajeżdża na bocznice pod obóz. Na dany znak wysiadamy. Przed wagonami oczekują nas SS-mani, którzy mają nas odebrać z rąk policji. W tempie „na łeb na szyję” wysiadamy z wagonów. Policjanci pokazali tu swoje pazurki wobec SS-manów, biją i kopią opieszających. Wyrzucamy nasze bagaże, aby jak najprędzej wyjść z wagonów. Ustawiają nas piątkami i maszerujemy. Przechodzimy koło tzw. *Holzofu*! Już z dala widzimy naszych przyszłych kolegów ubranych w pasiaste ubrania i zajętych rżnięciem i rąbaniem drzewa. Wreszcie dochodzimy do obozu. Stajemy przed wielką żelazną bramą, na której widnieje napis „Arbeit macht frei”. Po zliczeniu nas zostaliśmy wprowadzeni do obozu i na wielkim placu apelowym ustawieni w kolumnę dziesiątkową. Mimo że był to już październik, dzień był niezwykle upalny. Objuczony plecakiem wyładowanym żywnością na zapas i ubrany po zimowemu w krótki kożuch, mając jeszcze na ręku palto i koc, ostatkiem sił z powodu gorąca, dowlokłem się na ów plac.

Musiąłem przy tym uważać, aby nie oberwać od SS-manów, którzy opieszających popędzali drągami i gumami, mokry byłem, jak gdybym wyszedł z łaźni.

Po godzinnym postoju, w czasie którego nie wolno było siadać, nadszedł ówczesny *Lagerführer* Fritsch [Fritzsich] i wygłosił do nas przemówienie. Powiedział nam, że jesteśmy skazani na pobyt w obozie jako niebezpieczni dla wielkich Niemiec, na cały czas wojny. „Zapomnijcie o tym, kim byliście w cywilu – gdyż tu jesteście tylko numerami. Musicie pracować dla wielkiej Rzeszy, bo tylko ta zapewni wam przyszłość. O wolności nie macie nawet, co marzyć. Wolność może być dla was przez «komin»”. Tu wskazał nam ręką wysoki i dymiący komin krematorium. Następnie powiedział nam formułę, której kilka tygodni uczyliśmy się na pamięć „Es gibt nur einen Weg zur Freiheit und seine Meilensteine heißen: Gehorsam, Fleis Ordnung, Sauberkeit, Nuchtarbeit, Opferainn und Liebe zu Vaterland”. („Jest tylko jedna droga do wolności, do której prowadzą: Posłuszeństwo – Pilność – Porządek – Czystość – Trzeźwość – Ofiarność i Miłość do Ojczyzny). Słów *Lagerführera* nie wzięłem sobie do serca, gdyż nie wierzyłem mu. Ot, tak mówi, by nas nastraszyć. Najbardziej buntowałem się przeciwko jego powiedzeniu: „droga do wolności prowadzi tylko przez komin”. Nie. To jest wykluczone. Wszystko przetrzymam. Nie dacie mi rady. Muszę wrócić do domu. Muszę widzieć jeszcze moich najdroższych. Zadrzałem cały, bo w mej duszy powstał bunt – jak gdyby przysięga – że staję do walki – ale z niej wyjdę zwycięsko. Po przemówieniu Fritzscha odliczono nas do 50 i takimi oddziałami podchodzimy daleko od obozu pod wielki piętrowy blok. Podchodzimy kolejno po pięciu i zostajemy dosłownie obrabowani. Środki żywnościowe składamy do olbrzymiej paki, noże itp. drobiazgi oddzielnie, na ubranie dostajemy zaś papierowy worek. Wolno nam pozostawić tylko buty bez skarpetek, pas lub szelki i jedną chusteczkę. Młodzi, widząc, że zabierają nam jedzenie, zjedli, co mogli, nie przebierając kolejności – co wpadło pod rękę. Masło z cukrem, kiełbasę z ciastkami, miód z wędzonką, słowem wszystko co mieli, aby nic nie oddać. Jedyne oddawali chleb, uważając go za mało treściwym do zaprzątania sobie żołądka. Skutki tego „pożerania” okazały się jeszcze tej nocy katastrofalne. By nie oddać mych środków żywności – rozdałem je chłopcom do skonsumowania.

Na golasa, trzymając w jednej ręce buty, a w drugiej torbę z ubraniami, podchodzę do stołu i otrzymuję wypisany na tekturze mój nr 5636. Tu oddałem torbę z ubraniami i wypchnięty zostałem tęgim kopniakiem do kąpieli. Tu przed kąpielą strzygą. Aby nie oberwać, pilnie śledzę moich poprzedników i robię to, co i oni. Stoję w kolejce do strzyżenia. „Mistrz fryzjerski”, który

z zawodu był kowalem, a może górnikiem, nigdy jednak fryzjerem, przejechał mi nie więcej jak dziesięć razy maszynką po głowie i odstawił mnie następnemu mistrzowi, który strzygł brodę i wąsy. Jednym cięciem pozbyłem się wąsów, dwoma zaś cięciami straciłem brodę, którą zapuściłem w więzieniu tarnowskim. Zostałem potwornie ostrzyżony, ale patrząc na kolegów, nie przejmowałem się tym. Widocznie tak musi być. Ostrzyżony „na niby”, biegnę pod tusz. Boże! Zimna studzienna woda, a ja spocony – jak gdybym już wyszedł z kąpieli. Stałem chwileczkę pod owym tuszem i udaję, że się myję, a patrzę, aby chwycić moment i wyrwać spod niego. Udaje mi się to. Idę mokry na korytarz. Drzwi na przestrzał otwarte i przeciąg niemożliwy. Na owym korytarzu otrzymuję w jednym miejscu koszulę, w innym kalesony a oddzielnie spodnie i bluzę w niebieskie paski. To wszystko odbywało się biegiem bez przymierzania. Koszulę dostałem bez guzików, kalesony bez tasiemki, spodnie na moje szczęście były dobre, natomiast bluza bardzo mała. W jednej minucie zależało te szmaty powciągać na siebie i jak gęś podskubany strzyżeniem stanąć w osobnej kancelarii, gdzie podawaliśmy najdokładniej swoje personalia. Tu znowu zagniewało mnie pytanie: „Kogo zawiadomić na wypadek śmierci?”. Podałem oczywiście adres, ale to mnie zastanowiło. Coś w tym obozie musi być nieszczególnie, jeśli jest tego rodzaju rubryka. Po tym zapisie wychodzę przed blok, gdzie ustawiają nas znowu po pięciu i tak czekamy. Zbliża się już ku wieczorowi i jest mi zimno. Boje się, by po tym zmęczeniu – wypoceniu się i zimnym tuszu – nie przeziębic się lub nie dostać zapalenia płuc. Z tego jednak co widzę, rubryka kogo zawiadomić na wypadek śmierci, jest słuszna. Jak przekonałem się jednak z codziennych późniejszych przeżyć w obozie, organizm ludzki, nastawiony psychicznie, że jest zdany na łaskę losu, sam cudownie się broni i dostosowuje do warunków życiowych. Gdy zebrała się nas 50, przyszedł „Pan blokowy” i zabrał nas na blok 17a. Piszę w cudzysłowie „Pan blokowy”, bo jak przekonałem się, w następnych dniach pobytu w obozie, jest to pan życia i śmierci. Nasz „Pan” znany pod pseudonimem „Krwawy Alojz” był z zawodu marynarzem. W kryminale siedzi od 1933 r., a obecnie należy pod każdym względem do asów obozowych. Przekonałem się o tym. Już na wstępie, gdy tylko przyszedł, zbił kilku kolegów po twarzy dlatego, że nie kryli w szeregu. Silny był, bo kogo uderzył, ten musiał się wyrzucić. Po przyjsciu na blok na I piętro weszliśmy do wielkiej długiej sali, którą mieliśmy zamieszkiwać. Oprócz sienników i koców ułożonych w piękną kostkę na sali nie było żadnych sprzętów. Ustawiono nas w dziesiątkową kolumnę i znowu kazali stać. Alojz oddał nas izbowemu Ludwikowi (nazwiska nie pamiętam) z warszawskiego transportu, który był jego godnym naśladowcą. Ludwik, gdy wpadł w złość, bił winnych i niewinnych tym, co miał pod ręką. Staliśmy tak beczynnym do wieczora, do gongu,

godz. 8.30. Teraz rozłożono na całej podłodze sienniki i rozdano nam po jednym kocu. Na izbie [zrobiło się] aż ciemno od tumanów kurzu. O godz. 9.00 drugi gong, a z jego uderzeniem światła na bloku gasną, wszystkie okna zamykają i nastaje bezwzględna cisza. Ze względu na szczupłość miejsca, musiało na jednym sienniku spać trzech kolegów. Stłoczeni byliśmy jak śledzie w beczce. Ułożyłem się obok ks. Herra. Całą noc nie podobna było zasnąć, dokuczały nam niemożliwie pchły i brak świeżego powietrza. O godz. 4.00 rozległ się gong, jako pobudka do wstawania. W kilka minut musieliśmy być ubrani, bo drągami i gumami wypędzają nas z bloku. Na sali pozostali jedynie siennikowi, których zadaniem było ułożyć sienniki i koce w piękną i miarową kostkę. Zostali również podłogowi, których zadaniem było zamieść i umyć podłogę. Od wczoraj, od chwili przybycia do obozu, nie dostaliśmy nic do jedzenia, jesteśmy głodni jak wilki. O godz. 6.00 udaliśmy się na plac apelowy, gdzie już wszystkie bloki były ustawione. Po odebraniu apelu i uzgodnieniu stanu liczbowego książkowego ze stanem faktycznym starsi więźniowie udali się do swych komand pracy. Myśmy jeszcze przydziału do pracy nie dostali i pozostaliśmy na placu apelowym. W obozie więzień nie może przebywać bezczynnie. Na bloku nie wolno nikomu pozostać prócz izbowych – wszystko przy pracy. Dla nas nowicjuszków także obmyślili zajęcie, dali nam „sport”. Naszym trenerem jest blokowy Alojz. Ćwiczenia rozpoczyna biegiem dookoła placu apelowego, następnie padnij i pełzanie po ziemi – przechodzi potem do tzw. żabki – to znowu każe powstać, ręce podnieść do góry, zamknąć oczy i obracać się w koło. Ten program zmienia co jakiś czas i tak ćwiczmy z nami godzinę, drugą i trzecią godzinę. Forsuje nas, opieszających bije drągiem, kopie, znęca się. Wokół nas zbiera się kilku SS-manów, którzy pomagają mu i biją nas bezlitośnie, szczególnie słabszych i niemogących podołać tym nadludzkim wysiłkom. Serce bije mi w nieznanym po dziś dzień tempie. Czuję, że mam go w gardle – dusi mię – brak mi tchu. Jezu! Ratuj mię! To ciche westchnienie mam stale na ustach. Jeden z kolegów Gąsienica z Zakopanego padł zemdlony. Przynieśli kilka wiader zimnej wody i leją na niego. Gąsienica nie odzyskuje przytomności i odnoszą go do szpitala. Z powodu tego wypadku [nastąpiła] krótka przerwa, mały odpoczynek, ale potem znowu sport. Słowo „sport” jak pięknie brzmi mi ten wyraz, którego przez całe życie byłem propagatorem i nauczycielem. A dziś ten „sport” w rękach szaleńca staje się torturą – męczarnią. Alojzowi pomagają nie tylko SS-mani, ale i kapo, którzy bijąc słabych, potęgują grozę owego „piekielnego turnieju”. Na szosie, prowadzącej obok obozu, przystają grupy ludzi i przyglądają się tym niezwykłym harcom. Jak nam później opowiadano, mówiono, że Niemcy zakładają w Oświęcimiu cyrk i w ten sposób ćwiczają nas na akrobatów. Inny był cel tych ćwiczeń. Celem ich było złamanie więźnia tak pod względem fizycznym, jak i psychicznym.

Przez cierpienia fizyczne odbierano więźniowi jego ducha, łamano siłę woli i urabiano go na potulnego, cichego, znoszącego bez krzty sprzeciwu najgorsze szykany, najcięższą pracą. Do godz. 11.00 trwała ta niezwykła gimnastyka, a więc około pięciu godzin. Alojz oddał nas pod kierownictwo jednego z naszych kolegów, aby ćwiczył z nami zakładanie i zdejmowanie czapki. Odetchnęliśmy. Dano nam spokój, ale nie dlatego, że w nas ledwie dusza się plątała, ale dlatego, że sami byli zmęczeni, a może głodni. Do godz. 12.00 odpoczywaliśmy pod kierownictwem kolegi. Na sygnał gongu ustawiliśmy się znowu do apelu południowego, który zgadzał się i dlatego trwał krótko, zaledwie kilka minut. Po apelu otrzymaliśmy po 24 godzinach pierwszy posiłek w obozie, trzy czwarte litra zupy obiadowej. Obiad wypłem, gdyż nie miałem łyżki, i to tempie szybkim, bo miskę należało oddać drugiej partii. Oczywiście przy obiedzie nie obeszło się bez rozbijania głów. Wyczyniał to izbowy Ludwik natrętom, którzy nie zachowywali należytego porządku w czasie wydawania obiadu. Otrzymana ilość zupy tylko zaostrzyła apetyt, a tu więcej nic nie dają – należało w siebie wmówić „Jestem syty”. Do godz. 12.00 mieliśmy przerwę obiadową. W tym czasie musiał się odbyć apel i musieliśmy zjeść obiad. O ile zatem dłużej trwał apel, o tyle krócej mieliśmy przerwę obiadową. Bywało i tak, że w południe zupełnie nie otrzymaliśmy obiadu aż do wieczora. Po południu podzielono nas na mniejsze grupy i ćwiczyliśmy do apelu wieczornego. Ćwiczyliśmy zwroty w miejscu, krótkie marsze w kolumnie piątkowej, nadto zakładanie i zdejmowanie czapek. Śmieszne były te ćwiczenia z czapkami, których zupełnie nie mieliśmy. Jedną z grup dostałem i ja jako instruktor. Po południu mieliśmy prawdziwy odpoczynek. Jednak ćwiczenia przedpołudniowe, ta straszna męczarnia znużyła nas i wyczerpała, że ledwie trzymaliśmy się na nogach. Kilkutygodniowe więzienie, niedostateczne odżywianie spowodowały, że muskulatura nasza zwiotczała i czuliśmy się na ogół słabi i to było powodem naszego kompletnego wyczerpania. Od godz. 18.00 przychodziły komanda po pracy, a o godz. 18.30. odbył się znowu apel wieczorny. Wszyscy więźniowie ustawili się na z góry oznaczonych miejscach przy swoich blokach. Do każdego bloku wyznaczony był SS-man, jako tzw. *Blockführer*. On odbierał apel od blokowego, a następnie składał go *Rapportführerowi*. Ówczesnym *Rapportführerem* był słynny ze swych morderstw Palitsch [Palitzsch]. Liczba więźniów ustawionych do apelu musiała zgadzać się z liczbą podaną przez pisarzy blokowych, na tzw. odprawie, która odbywała się dwie godziny przed apelem w głównej kancelarii obozowej. Ten mój pierwszy apel wieczorowy zgadzał się, więc trwał krótko. Po apelu nastąpił odmarsz w kolumnie dziesiątkowej, a następnie pojedynczo w tempie biegiem udaliśmy się na blok. Ustawiliśmy się znowu w kolumnę dziesiątkową i podchodząc kolejno, otrzymywaliśmy kolację składającą się: 40 dag chleba, dwa deko margaryny i ćwierć litra kawy. Po kolacji wolno nam było



usiąść, a izbowy i jego zastępca informowali nas, jak należy się zachowywać w obozie, a następnie jeden ze starszych więźniów uczył nas śpiewać po niemiecku: „Im Lager Auschwitz war ich zwar – Hola – ria – hola – rio. So manche Monat, Tag und Jahr, Hola – ria – hola – rio So denkt ich froh, gemuth und gern, An meine Lieben in der Fern. An jeden Morgen in der Früh Hola – ria, hola – rio. Beginnt des Tages Last u. Müh Hola – ria – hola – rio. Ob. Arbeitsdienst, ob Sport uns zwingt. Doch stets ein frohes Lied erklingt. Doch auch für uns kommt mal die Zeit Hola-ria, hola-rio. Wo aus der Schutzhaft wird befreit, Hola-ria, hola-rio. Dann werden froh wir heimwerts zien Ganz gleich ob schneits, ob Rosen bluhn”.

Po śpiewie otrzymaliśmy sienniki i koce i ułożyłem się do snu obok ks. Herra. Udało nam się z księdzem zdobyć ręczniki, które moczyliśmy w wodzie i w ten sposób mieliśmy kompresy na kolana. Po sporcie przedpołudniowym popuchły nam bardzo nogi. Jeden z kolegów oberwał od blokowego za to, że uklęknął do modlitwy, przy czym dowiedzieliśmy się od tego zbója, że nie ma Boga na świecie – Bogiem jest teraz Hitler. Wskutek wyczerpania fizycznego oraz osłabienia spałem doskonale. Tej nocy nie dokuczały mi pchły i nie odczuwałem braku świeżego powietrza. Znużenie wzięło górę nad wszelkimi dolegliwościami. O godz. 4.00 znowu gong i zaczynamy trzeci dzień w obozie. Nieobmyci, nieubrani wybiegamy jak dzikie zwierzęta z klatki i czekamy do czasu zrobienia porządku na izbie. Po apelu pozostaliśmy znowu na miejscu i blokowy zaczął z nami drugi dzień sportu. W tym dniu jednak tempo ćwiczeń zmalało. Alojz znalazł sobie ofiary, które z powodu osłabienia nie mogły podołać wysiłkom. Bił po twarzy, wymierzał ciosy w żołądek, a gdy nieszczęśliwiec wywrócił się, to go kopał, nie bacząc gdzie. Wielu z kolegów miało podbite oczy, rozbite i pokrwawione wargi. Kolega Dec z Jasła (rok później zwolniony) ucierpiał z nas może najwięcej. Rozbił mu okulary, pokaleczył go, zdawało nam się, że go na miejscu zabije. Po apelu wieczornym znowu lekcja „przyzwoitego zachowania się w obozie” i znowu śpiew. Gong – ścielenie sienników – drugi gong – cisza nocna i znowu pobudka itd., itd. Przeżycia jednego dnia w obozie niczym nie różniły się od drugiego, trzeciego, czwartego i piątego dnia. Jedynie tylko z każdym dniem ćwiczenia sportowe były łagodniejsze. Widok zabitego człowieka przestał na mnie działać – zdawało mi się, że jestem za życia w piekle. Głębokie przekonanie, że wszystko przetrzymam, silna wiara w zwycięstwo, umacniały mnie na duchu i mimo że fizycznie czułem się czasami słaby – duch mój ani na moment nie załamał się, a nawet wręcz przeciwnie był co raz silniejszy. Wszelkie cierpienia i trudy znosiłem pogodnie, praca nawet najcięższa nie była dla mnie karą, wykonywałem ją z uśmiechem

i zadowoleniem, owszem cieszyło mnie, że mimo podeszłego wieku dorównuję i w niczym nie ustępuję młodszym. Starłem się na każdym kroku wypełnić swe obowiązki, aby nie być przyłapanym. Skupiłem wszystkie siły, zapomniałem o rodzinie, stanąłem do walki o utrzymanie życia. Nie paliłem papierosów i o tyle było mi lżej, aniżeli kolegom palaczom, którzy za papierosa sprzedawali chleb lub dodatki tłuszczowe. Kolegom, którzy robili tego rodzaju transakcje, mówiłem w oczy, że są samobójcami. Ale to nic nie pomogło – bo cierpienia fizyczne szukały źródeł podniety, szukały narkotyzmu. Ludzie ci ginęli w oczach i po dwóch, trzech tygodniach umierali. Pamiętam, gdy po czterotygodniowym pobycie w obozie wolno nam było napisać list do domu, zrezygnowałem z tego, bo za papier listowy ze znaczkiem trzeba było zapłacić porcją chleba z dodatkiem tłuszczowym. Wiedziałem, że rodzinie zrobię przykrość, że nie dostanie ode mnie wiadomości, ale i to wiedziałem, że dziesięciokrotnie większą przykrość wyrządziłbym im, gdyby wiedzieli, że ten list tak drogo mnie kosztuje. Kupiłem go po terminie pisania listów za bochenek chleba i przechowałem do następnego terminu, który zwyczajnie był co dwa tygodnie. Przyglądając się bliżej urządzeniu całego obozu, przyszedłem do przekonania, że zimy w tym obozie i w tych warunkach spędzać nie będziemy. Brak studzien, gdyż było ich zaledwie dwie i jedna pompa do kuchni, brak odpowiednich urządzeń wodociągowych, brak pieców po blokach, brak urządzeń klozetowych, [to wszystko] wyrobiło w nas przekonanie, że puszczą nas na zimę. Przemawiało jeszcze za tym to, że w zimie nie będą mogli prowadzić robót budowlanych, a zatem brak będzie dla nas pracy, a za darmo jeść nam nie dadzą.

Tylko pięć dni trwała nasza zaprawa obozowa, gdyż po tym terminie przydzielono nas do różnych komand. Czuliśmy się doprawdy szczęśliwi, gdy choć na dzień wyrwaliśmy się z rąk „Krwawego Alojza”. Nie wszyscy gorliczanie byli ze mną na bloku 17a – druga grupa ,począwszy od litery „M”, była na bloku 14. i ci nie mieli blokowego takiego jak my bandyty. Nasza paczka została przydzielona do pracy na tzw. *Industriehof I*. Tu pracowaliśmy przy robotach ziemnych. Niwelacja, budowa dróg, w późniejszym zaś terminie burzenie baraków było naszym zajęciem. Pracę mieliśmy bardzo ciężką, gdyż do pracy pędzono biciem. Każdy kapo był uzbrojony w gruby drąg, zazwyczaj stylisko od kilofa lub gumową pałkę, i bił [tego] kto mu wpadł pod rękę. Z próżnymi taczkami należało biec, z pełnymi zaś iść szybkim krokiem. Lżejsza praca była przy łopacie – ale te były rozchwytywane. Już w kilka dni pracy na owym *Industriehofie* został ks. Herr w mojej grupie *Vorarbeiterm*. Było nam już lżej, ale stale musieliśmy być na baczności, by któregoś z nas nie przyłapano, że spoczywa i nie

pracuje. Zasadniczo w dniach zimnych i słotnych nie trzeba było nas popędzać do pracy, gdyż z konieczności musieliśmy się poruszać, aby nie zmarznąć. Ubiór bowiem, składający się z kalesonów, koszuli, drelichowych spodni i takiej samej bluzy, bez swetra, bez czapki, był niedostateczny. Tragiczny wprost był dla nas dzień słotny. Mimo największego deszczu nie wolno nam było schować się pod dach – a więc dygotaliśmy od przemarznięcia. Po takich dniach wielu z naszych kolegów zachorowało na żołądek na tzw. *Durchfall* – biegunkę. Choroba ta, jak osobiście się przekonałem, powstawała z powodu zziębnięcia całego organizmu, a więc i organów wewnętrznych, żołądka, jelit i w ogóle przewodów trawienia. Chory na te przypadłości musiał wstrzymać się całkowicie od jedzenia, gdyż w przeciwnym razie nie raz już po tygodniu umierał. Z braku nieodpowiedniej ilości pożywienia, przy cięższej pracy oraz z braku odpowiedniego ubrania w dniach mroźnych i deszczowych spadaliśmy z ciała z dnia na dzień w tempie niezwykle przyspieszonym. Otrzymywane ilości kalorii w pożywieniu nie pokrywały potrzebnych ilości kalorii do wykonania ciężkiej pracy fizycznej, jak też do utrzymania odpowiedniej ciepłoty ciała. Braki organizm musiał czerpać z własnych zasobów. Już po tygodniu straciliśmy podściółkę tłuszczową, a w następnych organizm zaczął zużywać i własną muskulaturę. Z czerstwego, tryskającego zdrowiem osobnika żyjącego na wolności zrobił się szkielet, zwany powszechnie w obozie „muzułmanem”. Pierwszym objawem owego „muzułmaństwa” było puchnięcie nóg i ich bezwład, w nocy zaś opuchnięcie twarzy. Po jakimś czasie osobnik taki tracił władzę w nogach i wywracał się. Bito go wówczas, kopano i najczęściej na komandzie zabijano, a do obozu przynoszono trupa. Jeśli jeszcze żył, to wleczono takiego „kolapsa” do szpitala w obozie, gdzie w parę godzin kończył życie. Pierwszą ofiarą bandytyzmu germańskiego z naszego transportu był śp. Jacek Delekta, asystent profesora, który zmarł z powodu osłabienia.

Pewnego dnia gruchnęła wiadomość, że 15 listopada zostaną zwolnieni więźniowie polityczni, których połapano na ulicach. Pozostaną jedynie przestępcy, którzy zostali do obozu sprowadzeni za wyrokami. Źródło tej wiadomości było tak pewne, że nie podobno było nie cieszyć się tą wiadomością. Liczyliśmy więc od tego czasu tygodnie, a potem i dni. Niestety okazało się, że była to bajka, jak wiele, wiele innych. Była w obozie pewna garstka ludzi, przede wszystkim starszych więźniów, w liczbie których i ja byłem, którzy z rozmysłem rozpuszczali między więźniami różne sensacyjne wiadomości, aby słabszych, opadających na duchu kolegów pocieszyć. Gdy termin 15 listopada minął, doszła nas wiadomość, że zwolnienia zostały przesunięte na gwiazdkę. Wiadomość pewna, murowana. I znowu liczenie dni i znowu

marzenia o wolności. W obozie były zwolnienia. Raz lub dwa razy w tygodniu zwalniano więźniów i to przeważnie z transportów warszawskich. Pamiętam, że w pierwszych dniach listopada 1940 r. zwolniono z naszego bloku 17. a kilku więźniów. Numery ich wyczytano po apelu, gdyż wieczorem musieli być ogoleni, wykąpani i przygotowani do zwolnienia. Nasz blokowy Alojz ustawił ich przed blokiem w jeden szereg i wygłosił do nich mowę pożegnalną, a wreszcie pyta się ich: „Który z was nie otrzymał ode mnie bicia?”. Wystąpiło kilku kolegów, wielce zadowolonych z nadzieją, że blokowy zapewne ich pochwali za wzorowe zachowanie się w obozie. Alojz nie lubił chwalić ani nikomu przebaczać – przystąpił do nich i po kolei uderzał każdego w twarz z taką siłą, że nasi kładli się jak snopy.

W pierwszych dniach listopada 1940 r. po silnym przeziębieniu z powodu przemoknięcia zachorowałem na *Durchfall*. Za radą starszych kolegów więźniów, wstrzymałem się na kilka dni od jedzenia chleba, który mi bardzo szkodził i po tygodniu przeszła mi ta straszna choroba. Jako lekarstwa używałem zwykłego węgla drzewnego, który zbierałem na ognisku. W chorobie tej zaczęły mi puchnąć nogi. Była to nagminna choroba wszystkich źle odżywionych więźniów. W nocy schodziła nieco spuchlizna nóg, ale za to obrzmiewała twarz. Pod oczyma opuchnięte woreczki, a po bokach zwisające opuchłe policzki oto był wygląd 50 proc. więźniów po przespanej nocy. Straszne były dla nas mroźne i wietrzne poranki listopadowe, gdy wypędzano nas o zmroku po godz. 4.00 na pole w cienkich ubraniach, bez swetrów, bez płaszczy i czapek. Dygotaliśmy z zimna. Aby nie tracić dużo ciepła, zbijaliśmy się do gromady, przytulając się jeden do drugiego, by grzać się własnym ciepłem. Zupełnie podobnie jak pszczoły w ulu zebrane na plastrze w porze zimowej. Straszne były dla nas dni listopadowe, w których padał najczęściej deszcz ze śniegiem, gdy przemoknięci do nitki, zmarznięci do szpiku kości, zgrabiętymi z zimna palcami rąk nie mogliśmy utrzymać łopat – robiliśmy, by pracą się ogrzać i zupełnie nie skostnieć. Wielu z nas nie mogło przetrzymać, a więc padali tam, gdzie pracowali. Nie wolno się było nimi zaopiekować, schronić do ciepłego miejsca. Leżeli tam, gdzie padli, do wieczora. Po skończonej pracy zbierało się całe komando do odejścia do obozu. Teraz musieliśmy być wszyscy, a więc i ci, którzy leżeli. Jeżeli dany biedak żył, to go bito i kopano, aby wstał do odejścia, jeżeli jednak i tym nie zdołano go postawić na nogi, to brało go czterech jego kolegów z danej piątki w ten sposób, że dwóch zarzucało jego ręce na swe barki, a dwóch trzymało go za nogi. Zwyczajnie w czasie niesienia pościągano z niego ubranie i na pół nagiego wleczono do obozu na plac apelowy. Tak transportowano chorego, gdy jego towarzysze z danej piątki byli zdrowi i mieli jeszcze na tyle

sił, aby go nieść. Jeżeli byli słabi, to takiego chorego „kolapsa” nie nieśli, ale wlekli za sobą. Na placu apelowym zwyczajnie dobijał go blokowy, który znowu biciem zmuszał go do stania w kolumnie dziesiątkowej.

Praca pod gołym niebem, dokuczliwe zimno dni listopadowych, nadto choroba żołądka wykończyły mnie w zupełności. Goniłem już ostatkiem sił. Nie upadłem jednak na duchu, nie straciłem ani na moment nadziei, że tu nie umrę. Zacząłem energicznie szukać pracy pod dachem lub też na bloku, [starałem się] dostać jaką czynność uboczną, oczywiście poza całodzienną pracą w komandzie i przez to dostać czasami dodatkową zupę obiadową. Na bloku było takich czynności bardzo dużo. Oprócz blokowego, pisarza, izbowych i ich zastępców, byli fryzjerzy, podłogowi, siennikowi, ustępowi, korytarzowi, miskowi, kotlarze, którzy nosili z kuchni jedzenie, a nadto oprócz tych wszystkich na owe czasy, mogę śmiało rzec dygnitarzy, byli pupile pana blokowego czasem pisarza, a najczęściej kapo. Rekrutowali się oni z młodych ładnych chłopców i byli używani do wszystkiego, tylko nie do pracy. Mieli oni tak wielkie przywileje na bloku, jak ich pan. Dygnitarze ci otrzymywali obiady podwójne, a niektórzy tyle porcji ile chcieli. Obiad zatem musiał być tak rozdany szarym więźniom, aby starczyła reszta dla wszystkich funkcjonariuszy blokowych. By dostać jakąś czynność na bloku lub otrzymać zajęcie pod dachem, nie wystarczyło mieć piękne oczy lub zdobyć to prośbą, trzeba to sobie było kupić za chleb, tłuszcz, papierosy lub też mieć znajomych, wpływowych kolegów, którzy przez protekcję wyrabiali ci lepsze zajęcie. Nie miałem chleba ani żadnych artykułów żywnościowych ani nie spotkałem żadnego znajomego w obozie – należało więc szukać innych dróg. Będąc z amatorstwa zamiłowanym stolarzem, postanowiłem czynić zabiegi, aby dostać się do warsztatu [warsztatu]. Rzecz to jednak nie była łatwa. Trzeba było wielkiej protekcji u kapo, aby cię zwyczajny szary więźniu wzięli pod dach. Pomógł mi tu jednak kolega Józiu Gramatyka z Zakopanego, który pracując jako stolarz, wiedząc, że jest zapotrzebowanie, przedstawił mnie kapo. Zapytany jak długo pracowałem jako stolarz, odpowiedziałem bez zająknięcia – przeszło dziesięć lat. Kapo kazał mi następnego dnia zgłosić się w stolarni. Zapomniałem o głodzie, zapomniałem o wszystkich cierpieniach – wstąpiła we mnie nowa energia – nowe życie. Przeszanę marznąć, moknąć na deszczu, obiad otrzymam w stolarni, nie będę stał na apelu w południe, gdyż stolarze byli tzw. *Kommandiert*. Po obiedzie do godz. 1.00 odpoczynek, mogę się przespać, mogę się umyć do czysta, mam czas przeszukać bieliznę – bo wszy nam bardzo dokuczały. Doprawdy za wiele szczęścia. Odrodzony na duchu, jakby odmłodzony,

pełny nieznaney mi energii życiowej idę następnego ranka do stolarni. Kapo kazał wszystkim nowicjuszom wystąpić i przydzielił każdego z nas do warsztatu stolarskiego, przy którym miało zwykle pracować czterech stolarzy. Dostaję warsztat nr 5. Stoi przy nim trzech kolegów, dwóch młodszych ok. 22 lat i trzeci ok. 30 lat. Patrzą na mnie z „podełba” jak na jakiegoś intruza, bo może który z nich protegował na to miejsce swego przyjaciela, a tu przychodzi stary i nieznanany im gość. Podchodzę do nich, witam się z nimi i wyczuwam u nich wielką do mnie nienawiść. Każdy z nich coś dłubie, więc proszę i ja o zajęcie. „Dostaniesz zaraz” – odpowiada jeden z najmłodszych moich nowych współtowarzyszy, „a teraz stój jak...”. Użył odpowiedniego soczystego wyrazu. Po jakimś czasie przyszedł do mnie jakiś starszy kolega, jak się później przekonałem, był to majster w owej stolarni i dał mi dwie długie deski do tzw. fugowania do sklejenia. Z wprawą rutynowanego dziesięcioletniego mistrza stolarskiego, zakręciłem deskę do warsztatu oczyściłem jej brzeg strugiem, a następnie zacząłem heblować długim heblem. Wyczułem na sobie wszystkie ślepia – począwszy od kapo, który z oddali mnie obserwował, jak też owego majstra, moich trzech towarzyszy i innych sąsiadów. Widocznie nadałem się, bo kapo i majster odeszli, a po ich minie zauważyłem, że są zadowoleni, następnie i moi towarzysze przestali mnie obserwować. Egzamin zdałem i wciągnięto mnie na listę nie pomocników stolarskich, ale majstrów. Zacząłem nowe życie w owym dla mnie pamiętnym dniu 12 grudnia 1940 r. Dzień ten był bardzo zimny i deszczowy. Ach! Z jaką dziką rozkoszą strugałem deski, będąc w cieple, suchy i nie bity. Doprawdy nie przesadzę, zdawało mi się, że jestem u siebie. Józiovi Gramatyce z Zakopanego składam na tym miejscu serdeczne podziękowanie, za jego pomoc udzieloną mi przy przyjęciu do warsztatu. Może byłbym wcześniej dostał się do warsztatu, gdybym miał okulary – albowiem zaraz w pierwszych dniach pobytu w obozie zgubiłem moje szkła, które z braku kieszeni chowałem w nogawki u kalesonów, u dołu je zawiązując. Musiałem więc czekać do chwili, aż przysłał mi nowe szkła z domu, o które pisałem w drugim liście. Listy wolno nam było pisać zwyczajnie co dwa tygodnie – chociaż czasami ograniczano nam termin do jednego miesiąca. Niestety treść listu musiała być kłamliwa. Musiałeś biedaku napisać, że jesteś zdrowy, że ci jest dobrze, że lekko pracujesz itd., itd. Wszystko dodatnie, nic ujemnego. Tak musieliśmy okłamywać naszych najdroższych przez cały czas pobytu w obozie. Stąd bywały takie przypadki, że rodzina w jednym dniu otrzymywała radosną treść listu, a na drugi dzień wiadomość o śmierci. Zdarzało się i tak, że przychodziło najpierw zawiadomienie o śmierci, a parę dni [później] przychodził od niego list. Nie dziwię się więc, że rodzina nie wierzyła o śmierci swych najdroższych. Komentowano to najczęściej tym,

że Niemcy umyślnie donoszą o śmierci niektórych więźniów, których następnie wywożą do różnych robót, skąd nie wolno im pisać.

Zawiadomienia o śmierci zawierały również odpowiednią uwagę, że prochy zmarłego można wykupić, po przesłaniu odpowiedniej gotówki. Tu oświadczam, że prochy te, to nie były szczątki danej osoby, lecz były to prochy zebrane najordynarniej łopatą spod rusztu w krematorium i wsypane do małej paczki. Pamiętam, jakiegoś czasu robiliśmy w stolarni na zamówienie 2000 takich paczek, do których następnie uprzątnięto ilości popiołu z krematorium, z którym nie wiadomo, co robić. A zatem rodziny, które sprowadziły szczątki swych najdroższych, niech oddadzą im cześć symboliczną jako „Niezanego męczennika” kultury germańskiej, a nigdy niech ich nie czczą jako szczątków swych najdroższych. Niemcy i z tego zrobili sobie dość rentowne przedsiębiorstwo. Musimy być szczerzy i przyznać Niemcom, że ich działalność organizacyjna na każdym polu mogłaby być wzorem dla innych narodów. Z góry określony plan pracy, ustalone całodzienne zajęcia więźnia, z góry ustalone racje żywnościowe każdego dnia w tygodniu, zapewniły więźniowi, że to, co ma przepisane, otrzyma. Oczywiście, że owe racje żywnościowe ulegały w tym długim prawie pięcioletnim okresie wielkim zmianom i to z każdym rokiem na gorsze. W pierwszych latach w 1940 r. do jesieni 1942 r. mieliśmy dobre obiady. I tak w niedzielę była zupa na mięsie z ryżem lub inną kaszą, ewentualnie z makaronem, w innych dniach fasolowa lub grochowa, kartoflanka, dwa razy w tygodniu zupa „Awo”, do której dodawano ziemniaki w łupinach. Trzy lub cztery razy w tygodniu była zupa gotowana na mięsie, a reszta dni na margarynie. Zupy były doskonałe, ale niestety za mało. Każdy z nas otrzymywał trzy czwarte litra, a zjadłby najmniej trzy razy tyle. Na kolację otrzymywaliśmy przepisaną ilość chleba 35–40 dag, a od 1942 r. były oprócz tego dodatki chlebowe dwa razy w tygodniu w ilości 50–60 dag. Do chleba otrzymywaliśmy także dodatek tłuszczowy w niedzielę i w środę pięć – sześć deko kiełbasy, a w poniedziałek łyżka marmelady i ser, wtorek i czwartek margaryna, a bardzo rzadko smalec dwa deko, w piątek margaryna i marmelada, a w sobotę ser. Nadto od 1942 r. otrzymywaliśmy dwa razy w tygodniu dodatkową porcję kiełbasy lub innych wędlin w liczbie do 12 dag. Oprócz tego ćwierć litra kawy lub ziołowej herbaty, a we wtorek i piątek na kolację nadto ćwierć litra zupy „Awo” i kartofle w łupinach w liczbie czterech do pięciu sztuk. Jak widzimy z tego zestawienia, była dość duża różnorodność w odżywianiu – lecz racje były za mało dla ciężko pracującego więźnia.

W pierwszych dniach grudnia zostałem przeniesiony na blok 14. Blokowym był Niemiec z czarnym winklem tzw. *Aso*, *Asoziale*, a jego zastępcą Ludwik Mrowiec z Radzionki. Ten zbój

okazał się godnym zastępcą byłego mojego blokowego z bloku 17a. Ludwik bił i znęcał się nad nami czasami zupełnie bez powodu. Najczęściej dawał nam szkołę po drugim gongu. Chodził od izby do izby i swym chrapliwym, bardzo niemiłym głosem życzył „Gute Nacht”. Biada nam było, gdy Ludwik był nie w humorze i gdy odpowiedzieliśmy jego zdaniem za cicho lub niejednogłośnie. Wówczas na siennikach [był] „sport” i bicie gumą, w którą był zawsze uzbrojony. Guma była to rurka gumowa, w której środku był drut żelazny tak giętki jak guma. Po uderzeniu taką gumą następował momentalnie krwawy wylew, a nieraz po mocnym uderzeniu tryskała krew. On wraz z blokowym zbili tak jednego z naszych kolegów, który z głodu wziął z miski jeden ziemniak w łupinie, przeznaczony dla innego więźnia, że na drugi dzień umarł. Bili go obaj na zmianę – bo gdy jeden się zmęczył, bił drugi. Oni obydwaj wykończyli szajkę złodziejską kradnącą chleb kolegom. Z ośmiu członków tej szajki siedmiu zabili w ciągu trzech dni, a jeden tylko przecierpiał wszystko – nie dali mu rady. Zmógł go dopiero tyfus w 1942 r., na który umarł. Morawiec zabił dyrektora więzienia z Lublina i jednego właściciela ziemskiego. Obu nie pamiętam nazwisk. O tym kim był Morawiec, kogo pozabijał, jakiemu słowami lżył naszą Ojczyznę i swych rodaków, może napisze kolega Ludwik Kończal, który był wówczas moim izbowym. Przypadek zrządził, że dla mnie osobiście Morawiec był względny. Miał on kolegę w Bieczu, z którym chodził do szkoły i do którego wybierał się w odwiedziny po wojnie. Ponieważ Biecz leży w powiecie gorlickim, mówił, że i o Gorlice zawadzi. O kolego Morawiec – jest już po wojnie, wróciłem do domu i oczekuję twego przybycia do Gorlic i odwiedzenia mnie. Jako nauczyciel wychowania fizycznego pokaże ci lepsze metody sportu. W tym miejscu muszę poświęcić parę słów koledze Kończalowi, który pomijam, że był dla nas czasami za surowy, był jednak tym unikatem, że pomagał „muzułmanom”. Przez kilka miesięcy dał mi od czasu do czasu zupełną obiadową, a nawet raz dał mi bochenek chleba. (W tym miejscu składam ci kolego Kończal serdeczne podziękowania).

W stolarni czułem się jak w domu. Dzień za dniem upływał mi szybko. Wykonywaliśmy różne prace potrzebne dla obozu, a najwięcej dla SS-manów. Pamiętam, że robiliśmy raz 12 szafek nocnych. Mój majster przy warsztacie, młody chłopak, bardzo niesympatyczny, rozmawiał z nami, ale tylko językiem kryminalnym. Będąc wielkim wrogiem tego języka i tępiąc ten sposób wyrażania się, nie mogłem przypodobać się temu młodzieńcowi, więc przy robieniu tych szafeczek musiałem połknąć wiele cierpkich pigułek. Pewnego dnia zostałem wezwany do mojego kapo, którym był Niemiec Artur Belke, więzień BV nr 3. Ten wyciągnął ze mnie protokół w sprawie owych szafeczek nocnych. Tu dowiedziałem się, że mieliśmy robić ich



dziesięć sztuk, a nie wiedziałem o tym, że dwie sztuki był przeznaczony na sprzedaż osobistą przez mojego młodego majstra. Nie pomogły mu tłumaczenia, że nic nie o tym wiedziałem, Balke zabrał nas wszystkich czterech na pole i kazał nam przez godzinę tarzać się w śniegu po kolana. Zmęczyłem się bardzo i gdy zwróciłem się do kapo z prośbą, że nie mogę wykonywać tego forsownego ćwiczenia, oberwałem drągiem po plecach i więcej o łaskę nie prosiłem. Muszę jednak zaznaczyć, że wyrządziłbym krzywdę Balkemu, naświetlając jedynie to zajście w stosunku do mej osoby, gdyż należał on do jednych z najsolidniejszych kapo w obozie. Nie mogę go oskarżać za to, że mi nie uwierzył, bo w obozie więźniów rzadko mówił prawdę, a nadmienić muszę to, że inny kapo byłby nas nie tylko zbił, ale i jeszcze doniósł na nas do komendanta obozu, za co czekałaby nas kara SK tzw. *Strafkompanie*.

Zbliża się okres świąt Bożego Narodzenia, a zarazem i nasz przepowiedziany czas zwolnienia. Ale jakoś jeszcze mało kto o tym mówi, wobec czego przestaliśmy się niepotrzebnie łądzić. Zimą mamy bardzo ostrą. Koledzy pracujący na polu odmrażają ręce, palce u nóg, uszy, nosy – słowem mróz doskwiera nam bardzo. Nasze władze na bloku chorują na czystość naszego ciała. Codziennie rano po gongu o godz. 4.00 każdy z nas musi rozebrać się do połowy, pozostawiając koszulę na bloku, i biec na pole pod studnię do mycia. Tu jednak trzeba stać w ogonku, bo kilkaset więźniów z innych bloków musi się umyć. Pod studnią [odbywają się] walki o zdobycie odrobiny wody, aby nią zmoczyć twarz i pokazać się blokowemu, że jest się umyłym. Wygodę mieliśmy, gdy był śnieg, gorzej gdy go nie było, a im silniejszy mróz tym gorliwiej nas pilnowano, aby przypadkiem który z nas nie przemycił się nieumyty. Widziałem, że biedacy myli się własnym moczem, aby tylko jak najprędzej wrócić na blok do ciepła i nie marznąć pod studnią.

Podobnie jak o czystość naszą, dbano o czystość bloków. Niech Bóg broni, by na oknach, drzwiach lub piecu, jeśli ten był na izbie, znaleziono proch. Dostawał chłostę izbowy, a ten za to mścił się na nas. Podłogę zmywano dwa razy dziennie, rano po wstawaniu i w południe po obiedzie. Mycie polegało na tym, że wylewano kilka wiader wody, szorowano ją starymi miotłami, a następnie zbierano wodę do kubłów. W ten sposób i tak często myta podłoga była zawsze mokra i nawet w porze letniej całkowicie nie wysychała, a cóż dopiero w zimie. Wilgoć była zatem nie do opisanego, po ścianach lała się woda, szyby okien pojedynczych nie były zamrożone, ale pokryte grubą warstwą szronu. Sienniki ułożone do spania na podłodze były tak mokre, że już po paru miesiącach zgniły z wilgoci.

Przed świętami dostaliśmy zezwolenie pisania do domu po ciepłą odzież. Każdy z nas musiał wysłać do domu list, w którym wyszczególniał, co miał mieć posłane. Wolno było przysłać sweter, szal, rękawice, skarpetki lub pończochy. Cieszyliśmy się tym niezwykle, bo zimno dawało nam się we znaki. W tydzień po tym zawiadomieniu wolno nam było znowu pisać listy z doniesieniem o zezwoleniu posyłania nam paczek żywnościowych wielkości jednego kilograma. W tym liście musieliśmy znowu wyszczególnić, co wolno nam posyłać. Bałem się, że w domu źle zrozumieją ten list i przysła mi wszystkiego po odrobinie, a mnie bardzo zależało na tłuszczu. Piszę więc list ściśle według przepisów, a w adresie nadawcy podaję m.in. „Halb Kg Speck”.

Listy pisane przez nas do domu były, jak to już zaznaczyłem, kłamliwe – były jednak nie raz i ciekawe. Jako znający jako tako język niemiecki, pisałem kolegom listy, których treść nie raz była komiczna. Jeden z moich kolegów pisał zawsze, regularnie, co dwa tygodnie list o takiej lakonicznej treści: „Liebe Eltern! Ich lebe noch – Herzliche Grüsse” – podpis. Jeden zaś z kolegów napisał tak do żony: „Liebe Frau! Es gibt nur einen Weg zur Freiheit und seine Meilensteine heißen: Gehorsam, Fleiss, Ordnung, Sauberlichkeit, Nüchternheit, Opfersinn und Liebe zur Vaterland – Jetzt Hüpfen Sie über diese Meilensteine”. Podpis. List odszedł, gdyż nie został zwrócony.

Jakkolwiek w stolarni było mi bardzo dobrze, bo nie mokłem na deszczu i nie marzłem na polu, wskutek jednak całodziennego stania na nogach od godz. 4.00 do 20.00, a nawet i dłużej, zaczęły mi puchnąć nogi. Przez noc opuchnięcie nóg nieco było mniejsze, lecz ku wieczorowi było to samo. Choroba z każdym dniem wzmagała się tak, że 22 grudnia 1940 r. na dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia zaprowadzili mnie koledzy do szpitala. Lekarz dyżurny, również więzień, widząc moje opuchnięcie, przyjął mnie bez zastrzeżeń do szpitala. Przyjęcie do szpitala w owym czasie było niezwykle trudne. Trzeba było mieć ponad 39 stopni gorączki lub być dosłownie półtrupem. Widocznie pozałowania godny był mój stan, skoro nadałem się do szpitala. Przydzielono mnie na salę, gdzie leżeli przeważnie „durchfalowcy”. Mimo że na sali były pootwierane wszystkie okna, smród był nie do zniesienia. Wielu chorych było bowiem tak słabych, że załatwiali swe potrzeby fizjologiczne pod siebie. Po dwóch dniach leżenia nogi mi skłęły i czułem się nieco lepiej.

Nadchodzą moje pierwsze święta Bożego Narodzenia, które spędzam w szpitalu. Sądziłyśmy, że na święta otrzymamy lepsze racje żywnościowe i już z góry cieszyliśmy się, że nie będziemy głodni. Tymczasem zawiedliśmy się zupełnie. Wieczorem w dniu wigilijnym otrzymaliśmy

zwyczajną porcję chleba z dodatkiem tłuszczowym. Po rozdaniu tego chleba, nasz izbowy zaintonował kolędę: „Wśród nocnej ciszy”. Cichym, drżącym i słabym głosem śpiewamy dalej „głos się rozchodzi...” Liczba śpiewających maleje, bo wielu już nie śpiewa, ale cicho płacze, reszta przy tym akompaniamencie kończy kolędę, ale tak, że ostatnie jej słowa „przywitać Pana” odśpiewało już tylko kilku kolegów. Nie ma między nami ani jednego, który by nie płakał. W umysłach naszych burza, serce bije w przyspieszonym tempie, oddech szybki, jak przy jakimś niezwykłym wysiłku. Oto nasz nastrój wigilijny. Wreszcie przerywam tę nastrojową chwilę, siadam na moim sienniku na podłodze i spokojnie głęboko wzruszony mówię: „Koledzy! Dlaczego płaczymy? Nam nie płakać, nie smucić się, ale radować trzeba. Radować się potrzeba, bo jeszcze żyjemy, podczas gdy wielu naszych kolegów już nas opuściło. Radować się trzeba, że cierpimy za to, że kochamy gorąco naszą Ojczyznę i byliśmy jej dobrymi synami i za nią cierpimy. Jak dziś w dniu Narodzenia Chrystusa budzi się nowa era, tak i dla nas nadchodzą inne czasy. Czy wiecie o tym, że Niemcy wskutek zajęcia prawie całej Europy osłabiły się tak bardzo, że dziś czuję się tak, jak Napoleon pod Moskwą. Czy wiecie o tym, że Włochy lada dzień odstąpią od Osi i swym historycznym zwyczajem połączą się z aliantami i pójdą przeciw Niemcom. Koledzy w górę głowy! Wypogodzić czoła, bo widzimy przed sobą tylko jasną, niedaleką przyszłość. A zatem nie płaczymy, ale już radośnie zaśpiewajmy: „Lulajże Jezuniu”. Odśpiewaliśmy kilka kolęd już w duchu pogodnym i nikt nie płakał. Mnie zasypano pytaniami, czy to prawda o Włochach i czy Niemcy rzeczywiście są tak słabe. „Naturalnie” odpowiadam, bo wiadomości mam z pierwszorzędного źródła pochodzącego z zagranicy. Zjedliśmy kolację, słabi na leżąco, inni na siedząco i gwarzyliśmy już wesoło.

O gdyby moje przemówienie znał *Lagerkommandant* Fritzsch lub z Oddziału Politycznego Bogier [Boger] lub Lachmann, zapewne nie żył bym dłużej niż dwa dni.

Na moją prośbę, aby przeniesiono mnie na inną salę, gdyż żołądek mam zdrowy, zostałem przydzielony na salę, w której leżeli chorzy na różne flegmony. Wpadłem „z deszczu pod rynnę”. Smród był jeszcze większy, ale co było robić? W nowej sali skradziono mi w nocy chleb, który zaoszczędziłem sobie na dzień następny. Zaznaczyć muszę, że przy ówczesnym głodzie, porcja chleba miała bardzo wielką wartość. Izbowym na tej sali był wówczas (nie pamiętam jego nazwiska) podobno były kapitan marynarki, rosły, silny i zdrowy, niczym tur. Opowiadał nam co wieczór, całymi godzinami dość barwnie swe przeżycia i różne przygody morskie. Miał on bardzo niemiły zwyczaj, a mianowicie wieczorami przechodził między chorymi i wskazując palcem, mówił: „Ten i ów umrze tej nocy”, co zwyczajnie trafnie oceniał.

Pewnego wieczora zaliczył i mnie do grona najbliższych nieboszczyków. Byłem oburzony i wprost wyprowadzony z równowagi. Odpowiedziałem mu bardzo trywialnie „Ja ci gu... zik umrę, ty prędzej nogi wyciągniesz”. W odwet za to postarał się izbowy, że w Nowy Rok wypisano mnie ze szpitala. Ubrany w drelich, głodny i słaby, a nade wszystko wynędzniały, wracam na blok. Tu otrzymuję płaszcz więzienny w niebieskie paski oraz czapkę. Bóg czuwał nade mną, gdyż otrzymałem z domu pakunek z okryciem zimowym. Ubrany w płaszcz i sweter oraz ciepły szal, mając na rękach rękawice narciarskie z futerkiem, a na głowie po raz pierwszy w obozie czapkę, przechadzałem się, aby uzyskać nieco zaprawy do jutrzejszego wymarszu do pracy. Wtem biegnie za mną jeden z kolegów i zawiadamia, że poszukują mnie na bloku, nadeszła bowiem do mnie paczka żywnościowa. Uradowany spieszę na blok i otrzymuję kilogramową paczusię, w której było pół kilo kruchego ciasta z konfiturą i pół kilo słoniny. Brawo. Przeczytali w domu, co napisałem w adresie nadawcy w drugim liście. Ciasto kruche zjadłem z miejsca, a słoninę schowałem za „pazuchę” pod koszulę z obawy, aby mi nie skradziono. Używałem sobie na niej prawie dwa tygodnie, dodając jej po trochu do zupy.

Cudownie zacząłem 1941 r. Wyszedłem ze szpitala, ubrałem się ciepło i najadłem do syta. Minęły święta Bożego Narodzenia, minął Nowy Rok, a z obozu nas nie zwolniono.

Kto chciał obóz przeżyć, ten musiał się dożywiać. Dwie do trzech dodatkowych porcji chleba, dwie do trzech obiadowych zup, wystarczało przy dobrym zdrowiu, aby utrzymać się przy życiu. Kto chciał wówczas żyć, nie wolno mu było palić papierosów, gdyż te musiał zdobywać za chleb lub dodatki tłuszczowe.

Już przy założeniu Oświęcimia najlepsze miejsca pracy zajęli Polacy. Pracowali oni po różnych magazynach, biurach, w kuchni dla SS-manów, w kuchni dla więźniów itd. Pierwszy transport, jaki przybył do Oświęcimia w pierwszych dniach czerwca 1940 r., to było 23 Niemców, przeniesionych z innego obozu. Następny transport, prawie tysiąc więźniów, to byli Polacy przybyli z więzienia z Wiśnicza, a trzeci transport był z Warszawy, ponad 2000 osób. Nic więc dziwnego, że założycielami i organizatorami obozu w Oświęcimiu byli Polacy. Pomagali oni bardzo ofiarnie swoim znajomym kolegom i tym sposobem ratowali im życie. Duża ilość spryciarzy handlowała. Między blokami 16. a 17. był tzw. karcelak, na którym można było kupić papierosy, chleb, tłuszcz, tj. margarynę, lub kiełbasę, miskę zupy itd. Początkowo władze obozowe patrzyły na ten handel przez palce, a w miesiącach późniejszych pędzili handlarzy kijami, odbierając im krwawo zapracowany lub zaoszczędzony

towar. Próbowiałem i ja tego handlu, ale nie miałem szczęścia. Przekonałem się na własnej skórze, żeby umieć tu handlować trzeba było mieć złodziejski spryt. Raz np. wybrałem się na sprzedaż paczki papierosów, które dostałem za trepy drewniane własnego wyrobu. Cenę sprzedaży uzgodniłem na 25 fenigów za sztukę. Gość kupujący, nieznany mi więzień, schował papierosy do kieszeni, sięgnął ręką za koszulę do torebki z pieniędzmi wiszącej na szyi, wyjął jedną markę i wręczając mi ją jako zapłatę za moje 20 sztuk papierosów, rzekł: „Płacę ci cenę jaka obowiązuje w handlu po pięć fenigów za sztukę, a jeżeli ci się nie podoba, możesz iść na mnie na skargę”. I odszedł. Cóż miałem robić? Zmartwiony opuściłem karcelak, którego długi czas unikałem. Raz znowu miałem taką przygodę: Zachorowałem na żołądek i nie mogąc jeść chleba, zaoszczędziłem go sobie całą połówkę. Przetrzymanywać go nie mogłem, bo nie miałem gdzie, do pracy nie wolno było brać chleba ze sobą, więc mogłem go tylko sprzedać. Poszedłem więc na karcelak. Cena sprzedaży wynosiła 5 RM [Reichsmark]. Jakiś nieznany mi kolega oglądnięt chleb i zgodził się na cenę. Mówi mi jednak: „Słuchaj, ja pieniędzy nie mam, więc chodź ze mną pod szpital, a tam kupi go mój kolega sanitariusz”. Wziąłem chleb pod rękę, owijając go w papier z worka cementowego i podążam za kupującym. Pod szpitalem pobiegł on po owego sanitariusza, który miał kupić ów chleb. Po dłuższej chwili przychodzi nieznany mi kolega, bierze ode mnie chleb, waży go w rękach i w mgnieniu oka wykonuje start do biegu i ucieka z całym moim majątkiem. Próbowiałem go dogonić, ale niestety był szybszy ode mnie – uciekł. Przygnębiony, ze łzami w oczach minąłem karcelak, przyrzekając sobie, że więcej nie dam się okraść w tak bezczelny sposób.

W pierwszej połowie stycznia otrzymałem po raz pierwszy przesyłkę pieniężną z domu. Pieniądze wypłacano nam początkowo dwa razy w miesiącu po 10 RM, następnie raz na miesiąc po 20 RM, a w 1942 r. i późniejszych latach po 40 RM. Mając już gotówkę, mogłem się poratować, kupując chleb lub zupę. Tu znowu trzeba było kombinować i nie kupować żywności zaraz po wypłacie, bo ceny były niejednokrotnie trzy razy wyższe od normalnych, ale należało jakiś czas poczekać, aż kupujących będzie mało z powodu braku gotówki. Łatwo to jednak tak napisać, ale jak to wykonać? Gdy bok do boku przysycha z głodu, a w torebce na szyi trzyma się pieniądze. Trochę silnej woli i rozsądku, że za dwa tygodnie z głodu nie umrę, a po tym terminie dostarczę memu organizmowi trzy razy tyle niż w dniach wypłaty.

Niezależnie od gotówki, jaką regularnie otrzymywałem co miesiąc (20 RM), jeszcze zarabkowałem. Robiłem najczęściej w warsztacie stolarskim szachy, a w porze letniej trepy drewniane. Szachy wykonywałem z drzewa twardego, malując czarnym tuszem

lub czarnym lakierem. Pierwsze wyroby były trochę nieudolne, ale po pewnym czasie doszedłem do takiej wprawy, że na ogół bardzo się podobały. Prawie co tydzień lub dwa miałem jeden komplet do sprzedaży. Otrzymywałem za nie dwie porcje chleba lub trzy do czterech obiadów. W wyrobie trepów drewnianych doszedłem również do wielkiej wprawy. Były one bardzo mocne i ładne. Robiłem je nie tylko dla kolegów więźniów, ale i często zamówienia miałem dla żon lub dzieci SS-manów. Za trepy uzyskiwałem również dwie do trzech porcji chleba od kolegów. SS-mani płacili mi źle, bo ukradkiem rzucili mi czasem parę sztuk papierosów. Robienie szachów i trepów w warsztacie było bardzo surowo zakazane. Nazywano to czarną robotą tzw. *Schwarz Arbeit* i jeżeli kogoś przyłapano odbierano mu robotę, został obity, a nawet z warsztatu wyrzucony. Bóg jeden wie, ile nerwów kosztowała mnie każda figurka szachowa lub wykonanie takich trepów. Mimo niezwyklej ostrożności, może aż do przesady, podpadłem kilkakrotnie. Dwa razy zostałem pobity, a jednego razu o mało nie wyrzucono mnie z warsztatu. Uratował mnie Władziu Kupiec, stolarz z Zakopanego, który wstawił się za mną u kapo.

Pierwsza zima przeżyta w obozie była bardzo mroźna. Ogromna ilość kolegów pracujących na polu podmrażała sobie ręce, nogi, uszy, nosy i dlatego bardzo dużo chorych leżało w szpitalu. Dotychczasowa liczba trzech bloków nie wystarczała na pomieszczenie chorych i dlatego przeznaczono jeszcze na szpital sąsiednie dwa bloki. Z powodu powiększenia szpitala było wielkie zapotrzebowanie na lekarzy i sanitariuszy. Mając duże zainteresowanie w tym kierunku zgłosiłem się na sanitariusza i po egzaminie zostałem przyjęty. W pierwszych dniach lutego 1941 r. zacząłem nową karierę w obozie jako sanitariusz. Przydzielono mi jedną salę, na której leżeli chorzy na odmrożenia. Straszny był stan tych ludzi. Przy złym odżywianiu rany nie tylko się nie goiły, ale i z dnia na dzień się powiększały. Niezwykła ilość ropy wylewała się z tych ran. Pogniły biedakom palce u rąk, nóg, potworzyły się flegmony na całym ciele. Do opatrunków używaliśmy bandaży papierowych, które były nietrwałe i po jednej nocy trzeba było je zmieniać. Smród na sali mimo otwierania okien był nie do zniesienia. Całymi dniami bolała mnie głowa i jako sanitariusz czułem się bardzo źle. Chciałem wrócić z powrotem do stolarni, lecz zmiana komanda nie była tak łatwa. Dopiero bardzo przykry dla mnie przypadek dopomógł mi w wyrwaniu się z tego stanowiska. Jeden z chorych na *Durchfall* oddał mi swoją porcję chleba z tym, że po wyzdrowieniu oddam mu taką samą ilość. Podmówiony jednak przez swych kolegów, następnego dnia zażądał ode mnie zwrotu chleba. Nie pomogły moje wyjaśnienia, że teraz nie mogę mu go oddać,

że dostanie wieczorem. Zaczął na całe gardło wołać: „Oddaj mi chleb”. Ktoś doniósł o tym blokowemu, bo zawezwano mnie do kancelarii i tu niejaki Antoni Kowal, pisarz blokowy, wspólnie ze swym przyjacielem (nie znam jego nazwiska) wlepili mi 25 razy styliskiem od kilofa. Na wpół przytomny z odbitymi mięśniami na pośladkach nie wróciłem więcej do szpitala, lecz udało mi się powtórnie dostać do stolarni. Leczyłem się prawie miesiąc po tym biciu, nie mogłem ani siedzieć ani leżeć.

W obozie ani spostrzegłeś się, gdy znienacka zostałeś napadnięty i obity. Nad porządkiem w obozie czuwało dwóch więźniów tzw. *Lagerältester*. Byli nimi na początku nr 1 Bruno Brodniewicz i nr 23 Leon Wieczorek [Wietschorek], obaj Niemcy, ale nazwiska dyktują, że byli polskiego pochodzenia. Raz, przechodząc koło Wietschorka, przepisowo ukloniłem się, a ten zawołał mnie do siebie i zbił po twarzy.

Utrapieniem naszym był wilczur, który szczuty przez swego pana, jednego z SS-manów, rzucał się na więźniów i gryzł ich. Napadł raz i na mnie. Wiedząc jednak o tym, że nie wolno mi krzyczeć, ale [powinienem] się bronić mimo wielkiego bólu, bo pies gryzł mnie po udach ani nie drgnąłem i puścił mnie. Raz tak bardzo pokaleczył kolegę Pazurkiewicza, że ten leczył się z ran przeszło trzy miesiące w szpitalu. Znęcali się nad nami niektórzy SS-mani, bijąc nas bez powodu, ot tak dla sportu. Jeden z nich zapewne był bokserem, bo kogo uderzył, ten leżał na ziemi, jak ścięty z nóg. Ten sam SS-man uderzył mnie raz z taką siłą w klatkę piersiową, że nie zdaje sobie sprawy, z jaką szybkością wywróciłem się w tył, ale na moje szczęście uderzyłem głową w trawę. Najczęściej można było być napadniętym znienacka z tyłu. Dostałeś kopniaka lub tak silne uderzenie w kark, że musiałeś leżeć. Postrachem dla tzw. muzułmanów był SS-man Storch. „Muzułmanami” zwano osobników wychudzonych, słabych, u których dni życia były policzone. Takich właśnie biedaków dołapywał Storch, chwycił obydwoją rękoma za szyję i dusił tak długo, dopóki ofiara nie straciła przytomności i nie padała na ziemię. Konającego dobijał kopaniem, a jeżeli i to nie pomogło, to robił jeden skok obydwoją nogami na klatkę piersiową lub brzuch i powodował u denata śmierć. Ów Storch, zwany powszechnie „Dusicielem”, wstawił się jeszcze przy naszej ewakuacji z Oświęcimia, o czym będę jeszcze pisał.

W stolarni pracowałem do 12 czerwca 1941 r. Za karę, że przyłapano mnie na czarnej robocie, to jest robieniu trepów, wyrzucono mnie ze stolarni, a na pożegnanie i jako zapłatę za moją półroczną pracę oberwałem pięć tęgich buków. Urzędowe przeniesienie mnie do innej

stolarni DAW [*Deutsche Ausrüstungswerke*]. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, mówi ludowe powiedzenie. Za ledwie kilka dni pracowałem przy warsztacie, gdyż nadałem się jednemu SS-manowi, wiedeńczykowi nazwiskiem Putzik, i ten przydzielił mię do magazynu narzędzi stolarskich. Od tego czasu przeszło 13 miesięcy byłem magazynierem w DAW. Wypożyczałem stolarzom narzędzia i to było moje całodzienne zajęcie. Teraz dopiero miałem czas na robienie szachów, trepów, kaset i różnych zabawek, które zamawiali SS-mani.

Od października 1941 r. do lutego 1942 r. karmiono nas brukwią. Dostawaliśmy ją pięć razy w tygodniu. Więźniowie zaczęli bardzo chorować na biegunkę głodową tzw. *Durchfall*. Dwukrotnie zachorowałem na żołądek, ale jakoś cudem potrafiłem się wygrzebać, pomagając sobie moją majsterką.

Szeregi naszych gorliczan zmniejszyły się. Pierwszy zmarł śp. Jacek Delekta. Następnym był śp. Tadeusz Prasz, który umarł na biegunkę. Do grudnia 1940 r. trzymał się doskonale. Przed świętami otrzymał z domu pakunek z ciepłą bielizną. Jego piękne futrzane rękawice budziły zainteresowanie u blokowych i różnych kapo, którzy chcieli je od Tadzia kupić. Sprzedał je za żywność. Był zawsze cichy, spokojny i bardzo uprzejmy. Tadzium. Zachowaliśmy Cię na zawsze w naszej pamięci.

Zmarł śp. Wacław Cyl, inżynier agronom, przybyły ze wschodniej Małopolski, a zamieszkały chwilowo w Bieczu. Zmarł w nocy na naszej izbie z powodu kompletnego wycieńczenia.

Zginął tragicznie śp. Ignacy Mielowski. Mieszkał wówczas na bloku 3., gdzie urzędował jako zastępca blokowego sławny ze swych okrucieństw Emil Bednarek. Jemu nie podobał się Ignaś, ponieważ był rzekomo brudny. Rozebrano go do naga, złożono do długiej muszli w umywalni, odkręcono wszystkie kurki z zimną studzienną wodą i szorowano go ryżowymi szczotkami. Ignaś zmarł po trzech dniach, jak później dowiedziałem się na zapalenie opon mózgowych. Składam Ci cześć nasz kochany męczenniku.

Ubył z naszego grona śp. Ludwik Bartusiak z Bieczu. Uczęszczał on do gimnazjum gorlickiego. Aresztowany w czasie pierwszej łapanki w Gorlicach, łudził się zawsze, że jako obywatel amerykański będzie zwolniony. Ludwik Bartusiak miał nieprzeciętne cechy charakteru, zaświadczy o tym fakt, że prawie przez dwa lata w czasie swych studiów sprawował władzę wójta gminy zbiorowej uczniów gorlickiego gimnazjum. Trudów obozowych nie mógł znieść. Zachorował na biegunkę głodową tzw. *Durchfall* i zmarł w zimie 1941 r.



Odszedł od nas na zawsze śp. Andrzej Lewicki, student Politechniki Lwowskiej. Aresztowany 21 sierpnia 1940 r. i podobnie jak my wszyscy został skazany na pobyt w obozach do końca wojny. Świętej pamięci Jędrusia znałem od małego dziecka i przebywałem z nim w obozie aż do czasu jego śmierci. Patrzyłem więc na Jędrusia ucznia, jako jego nauczyciel, patrzyłem na Jędrusia harcerza, jako opiekun i hufcowy drużyn harcerskich, patrzyłem na Jędrusia więźnia, jako jego kolega więzień, i stwierdzić muszę, że śp. J. Lewicki był młodzieńcem o niezwykłych cechach charakteru. W najcięższych chwilach, kiedy należało ratować swoje życie, potrafił Jędrus dzielić się z kolegami ostatnim kęskiem chleba. Jędrus nie znał kłamstwa i nie potrafił skłamać w chwili, gdy chodziło o jego życie. A było to tak: pracował w fabryce DAW jako przodownik i sprawował nadzór nad ośmioma kolegami-więźniami. Czyścili podłogi. Pewnego razu zobaczył ich odpoczywających SS-man, a na zapytanie dlaczego nie pracują, Jędrus odpowiedział: „Dałem ludziom odpoczynek”. Jędrus został pobity i za karę przeniesiony do prac ziemnych. Jędrus przejął się zasadami harcerskimi i owe dziesięć przykazań harcerskich przeszczepił w swą duszę i wprowadził je w czyn. Świętej pamięci Andrzej Lewicki winien być wzorem harcerstwa a podobizna jego winna zdobić naszą gorlicką gimnazjalną świetlicę harcerską. Jędrusiu – czuwaj z zaświata nad swoimi młodymi kolegami harcerzami, aby kierowali się w swym życiu twoimi zasadami.

Zmarł śp. Aleksander Pazurkiewicz, profesor gimnazjum w Gorlicach. Aresztowany również 21 sierpnia 1940 r. na ulicy z wyrokiem sądu gestapo, z tytułu swojego zawodowego stanowiska, skazany na pobyt w obozach do końca wojny. 8 października 1940 r. przekroczył wraz z całym naszym transportem żelazną bramę piekła oświęcimskiego. Fizycznie bardzo silny i odporny znosił początkowo pogodnie trudy, zimno i głód. Nerwowo był jednak za słaby. Często załamywał się i był zdecydowany na wszystko. Punktem kulminacyjnym takiego załamania psychicznego była zima 1942 r., kiedy pogryzł go pies SS, umyślnie na niego poszczuty. Z obozu oświęcimskiego został przeniesiony do obozu w Mauthausen. Poszedł z jednego piekła do drugiego. Przydzielony został do pracy w kamieniołomach w Gusen. Tu nie podołał trudom, zmarł dnia 11 grudnia 1942 r.

Komendantem fabryki DAW [był] *Haupt Wagner*, człowiek niezwykle głupi i dlatego może krzywdy nam nie robił. Pracowało w fabryce wówczas ponad tysiąc ludzi. Pracowali również robotnicy cywilni, z którymi nasi więźniowie utrzymywali stosunki handlowe. W zamian za złoto i drogie kamienie, które w wielkich ilościach napływały do obozu z nowymi

transportami Żydów, dawali chleb, tłuszcze i papierosy. Władze dowiedziały się o tym i pod surowymi karami zabronili mieć podczas pracy [przy sobie] żywność oraz tytoń i papierosy, zapalniczki i zapałki. Pech chciał, że wybuchł wówczas pożar w DAW z niewiadomych przyczyn, więc przepisy w tym kierunku jeszcze zaostrzyli. Dla postrachu rozstrzelali dwóch więźniów, których rzekomo uznali za winnych pożaru. Pewnego dnia o mało sam się nie narażem. Kupiłem jeden jedyny raz u cywila paczkę tytoniu, którą w celach sprzedaży z dużym zarobkiem musiałem przenieść do obozu. Pech chce, że na bramie stał ówczesny *Lagerführer* Seidel [Seidler]. Wybierał on z komand przechodzących przez bramę do obozu podejrzanych więźniów i oddawał ich SS-manom celem dokonania osobistej rewizji. Między wieloma wyciągnął i mnie. Serce we mnie zamarło, nogi zadygotały, bo już widziałem się w bunkrze, a może i w SK. Jedyny ratunek, jedyna nadzieja – to ciche błagalne westchnienie do Matki Bożej. Rewidował mnie dość groźny *Unterscharführer, Arbeitsdienst* Schoppe. Zaczął mnie obmacywać po plecach, brzuchu, udawałem ze śmiechem, że mam łaskotki, tak że z chwilą, gdy doszedł w rewizji w okolice krocza, odskoczyłem w tył, udając, że dłużej nie wytrzymam. Oberwałem tęgiego kopniaka i puścił mnie. Muszę otwarcie napisać, że mimo bardzo ciężkich przeżyć w obozie należałem do tych szczęśliwców, a może spryciarzy, którzy w wielu wypadkach wymigiwali się od bardzo ciężkiej kary.

Pewnego razu narażem się *Uscha* Kellerowi naszemu *Blockführerowi* dlatego, że rzekomo nie kryłem w kolumnie przy apelu. Keller polecił blokowemu zapisać mój numer i surowo mnie ukarać. Mając numer przyszyty na marynarce i spodniach, nie czekam, aż go mój blokowy, oślawiony Wierzbica przeczyta, lecz wołam głośno po niemiecku: „Funf u. sechzig – drei u. sechzig”. Podałem numer z całą świadomością fałszywie, czytając go odwrotnie po polsku, i widzę, jak blokowy zapisuje 6563 zamiast 5636. Wieczorem na naszą salę przyszedł sławny z bicia i niezwykłego znęcania się nad więźniami ów Wierzbica, trzymając w ręku grubą gumę i woła głośno: „Nro 6363 wystąp”. Leżałem już, usłyszawszy to, nakryłem głowę kocem i zimny pot ze strachu oblał mnie całego. Wierzbica przeszedł po całej celi, na której było nas ok. 200 więźniów, wołał kilkakrotnie ów numer, ale nadaremnie. Syknął ze złości i rzucił stek strasznych przekleństw pod adresem poszukiwanego, mówiąc: „Ja go znajdę”, i wyszedł z sali. Na drugi dzień bezpośrednio po gongu ponowił Wierzbica swe poszukiwania. Słyszając to, wyszedłem z bloku, obawiając się, aby mnie nie poznał. Wtem doniósł mi jeden z kolegów, który znał tę sprawę, że Wierzbica będzie mnie poszukiwał podczas apelu, a wówczas, jak się wyraził, „zabije tego...” (użył odpowiednio soczystego wyrazu). Za pół godziny mamy apel.

Co tu robić, aby nie być poznany, bo z Wierzbicą to nie igraszka. Nie mam ani chwili czasu do stracenia... już mam plan. Biegnę pod szpital. Z jednego z bloków niosą trupa do szpitala. Ściągam z niego, na moje szczęście dość dużą marynarkę z jego numerem, ubieram ją na siebie, nie zdejmując swojej, wciskam głęboko czapkę na głowę, zakładam okulary, dobrze się garbię i tak „przefasonowany” staję w zupełnie innym miejscu w kolumnie dziesiątkowej do apelu. Wierzbica chodzi, szuka, porównuje numery, pieni się ze złości i rzucając stek przekleństw pod adresem winowajcy, kończy swe poszukiwania. Odetchnąłem. Zrobiło mi się tak lekko na sercu, czułem się tak dobrze, jak gdyby spotkało mnie wielkie szczęście. O tak było to szczęście. Ominęło mnie co najmniej pięćdziesiąt krwawych razów.

Niedługo po tym znowu miałem taką przygodę. Dostaliśmy po raz pierwszy na blok łóżka. Radość wielka, bo każdy będzie miał swe łóżko do spania, co prawda jeszcze bez siennika, ale będzie sam, może oczyścić się z robactwa. Łóżka były trzypiętrowe. Było to w październiku 1941 r. Będąc zmęczonym, położyłem się raz w niedzielę do łóżka i naprawiałem sobie ubranie. Zauważył mnie zastępca blokowego niejaki Kremser, volksdeutsch, i cichutko, żeby innych również leżących na łóżkach nie spłoszyć, na migi wyciągał każdego winowajcę na środek bloku. Widząc, że będzie egzekucja, pomaleńku wycofuję się niepostrzeżenie w tył między łóżka i czekam, aby na wszelki wypadek być nie daleko i aby nie było podejrzenia, że chciałem uciekać, bo dostałbym dziesięciokrotnie wyższą karę. Franz Kremser w wieku ok. 50 lat, jest niskiego wzrostu, o oczkach małych, obwisłych policzkach, dobrze opasty, oczywiście naszym kosztem. Jest godnym zastępcą swego blokowego Wierzbicy. Po kolei każdemu wymierza gumą po pięć chłost na pośladki. Zbił siedmiu i pyta się, gdzie jest ósmy. Widząc to, że nie zdaje sobie sprawy, kto jest tym ósmym przestępcą, niepostrzeżenie znikam poza łóżkami, wychodzę z bloku i w ten sposób unikam bicia.

Jeszcze jeden raz miałem szczęście wymknąć się szczęśliwie z rąk owego kata Wierzbicy. A było to tak. W każdą niedzielę po południu mieliśmy tzw. apel mundurowy. Polegał on na tym, że biednego więźnia oglądał *Lagerältester*, a zwyczajnie blokowy, jego zastępca i pisarz. Trzy pary ślepi wpijały się w postać więźnia, który, jak na największe święto ubrany, wyczyszczony, umyty, a co najważniejsze nieobdarty, stawał kolejno jeden za drugim do przeglądu. Biada ci, jeżeli zauważono, że brakuje ci guzika albo ubranie nie jest wyczyszczone i połatane, dostałeś bicie lub jakąś inną karę. Znalaziono u mnie odrobinę okruszyn chleba w kieszeni. Nie przypuszczałem nigdy, że u mnie będzie badał kieszenie, wywracając każdą z nich. Zapisywano mój numer i w odosobnieniu wraz z kilkoma kolegami czekaliśmy do końca

apelu zdenerwowani, jaką też karę wymyśli dla nas Wierzbica. Repertuar u niego był bogaty, bo to zboczeniec rozkoszujący się ludzkim cierpieniem, to dziki zwierz, którego płacz i prośba nie rozczuła, ale owszem podnieca i tym mocniej i więcej razy bije, im bardziej kto płacze, im bardziej błaga o litość. Rozkazał nam rozebrać się do naga, postawił nas pod otwartym oknem tuż przy ścianie. Stać mieliśmy do wieczornego gongu, a więc przeszło sześć godzin nago przy otwartym oknie i w nieopalonej izbie. Było to w grudniu. Próbuje ratować się. Wraz ze mną mieszkał na bloku śp. Staś Dubicki, mój uczeń z gimnazjum gorlickiego, nawiasem mówiąc moja sympatia ze względu na duże wyrobienie sportowe. Staś był bardzo lubiany na bloku i liczył się z nim nawet Wierzbica. A więc apeluje do Stasia i ten skutecznie interweniuje u blokowego, który darował mi karę. Śp. Stasiowi zawdzięczam bardzo dużo. Staś bowiem dożywił mnie ze dwa miesiące, oddając mi swoją repetę, którą codziennie otrzymywałem z tytułu tego, że dzielił obiady. Kochany Staś zginął tragicznie. Zagazowano go wraz z tysiącem kolegów chorych na tyfus plamisty. Mimo wszystko dwukrotnie nie uniknąłem kary owego potwora Wierzbicy. Razu jednego między wieloma kolegami wyczytano i mój numer i każdemu z nas wymierzał on, zależnie od swego uznania, po pięć – osiem a nawet dziesięć tęgich chłost. Ponieważ byliśmy już w bieliźnie, tym boleśniejsza była kara, bo tylko cieniutkie kalesony, często podarte osłaniały ciało. Przyszła kolej i na mnie. Musiałem wykonać głęboki skłon w dół i chwycić się za kostki nóg. Z całą rozkoszą zboczeńca, wymierzał uderzenia Wierzbica, przy czym bity musiał liczyć razy. Znając Wierzbicę, że prośba i płacz wpływały na niego podniecająco, więc głośno, bez cienia bólu doliczyłem do pięciu. Wierzbica powiedział: „Ten stary ma twardą...”. I przestał mnie bić. Znaki od uderzenia w kształcie długich czarnych pręgów pozostawały na ciele trzy do czterech tygodni. Nierzadko były wypadki, że biedak musiał iść do szpitala, gdyż po takim biciu potworzyły się flegmony ignięto ciało aż do kości miednicy i kości krzyżowej. Do dziś dnia nie wiem, za co otrzymałem to bicie, ale nie wolno się było pytać, bo byłbym oberwał dwa razy tyle.

Drugim razem, chodząc na blok po apelu, dostałem od stojącego w drzwiach Wierzbicy dwa razy w twarz, ale z taką siłą, że za każdym razem uderzałem głową o mur. Okazało się, że Wierzbica wydał rozkaz, aby ci, którzy mają drewniane trepy, zdejmowali je z nóg i boso wchodzili na blok. Zarządzenie wydał tak cicho, że nikt z nas dalej stojących nie słyszał i każdy, kto się nie zorientował, o co chodzi, był bity.

Wierzbica był specjalistą w wyszukiwaniu sobie ofiar. Ulubioną jego czynnością było badanie czystości ciała, a szczególnie nóg. Nikt nie miałby nic przeciwko temu, że dbał o czystość

więźniów. Ba. Ale Wierzbica robił to wówczas, gdy staliśmy długo na apelu wieczornym i nie mieliśmy czasu nie tylko na mycie się, ale nawet na zjedzenie chleba. Ów pan Wierzbica był strasznym człowiekiem. Baliśmy się go jak ognia, omijaliśmy jak diabła, bo niewiadomo kiedy i za co mogłeś otrzymać lanie. Egzekucje wykonywał wieczorem po gongu i rano przed apelem. Nierzadko były wypadki, że biedakowi, który mu się naraził, wymierzał i sto razy. On to zbił tak strasznie znakomitego artystę rzeźbiarza Józia Karpowicza, że ten w nocy umarł. Nie pamiętam już dziś nazwisk kolegów, którzy w następstwie strasznych razów Wierzbicy udawali się do szpitala i tam umierali. Wierzbica karał więźniów czasami „sportem”. Wymyślał on tak przedziwne ćwiczenia, że nie jeden znawca sportu, nie zdobyłby się na to. Czy znane jest komu pełzanie tyłem, bokiem, robienie przewrotów na kamiennej podłodze, chodzenie na czworakach, ale tyłem. W czasie takich ćwiczeń Wierzbica urządował z gumą w rękę, a prawidłowe wykonanie ćwiczeń egzekwował biciem. Najulubieńszą zabawą dla niego była zabawa w „tracza”. Polegała ona na tym, że dwóch więźniów trzymało na ramionach kolegę, który leżąc na ich barkach na komendę zginał nogi, a wówczas więzień, który go podtrzymywał od tyłu, musiał przy zginaniu nóg swego kolegi leżącego mu na ramionach, zbliżyć swą twarz do jego pośladków.

Wierzbica nie bił więźniów, ale katował, nie wymierzał zasłużonej kary, ale znęcał się nad nami. Winien on stanąć w szeregach zbrodniarzy i opowiadać przed sądem za swe czyny.

Zastępcą Wierzbicy był Franz Kremser. Został on w 1942 r. blokowym i funkcję tę pełnił do dnia ewakuacji Oświęcimia. Nie będę opisywał jego wyczynów, gdyż w moim pamiętniku podaję własne przeżycia i to, co widziałem na własne oczy. Jeżeli zaś coś opisuję w celu dokładniejszego zobrazowania życia więźnia w Oświęcimiu, to przeważnie powołuję się na osoby. Dla mnie Kremser jako starszy człowiek był względny.

Na bloku 10., a u Wierzbicy spędziłem drugie z rzędu święta Bożego Narodzenia. Na wigilię otrzymaliśmy jak nigdy po całym bochenku chleba i 12,5 dag margaryny. Ze względu na nasze ciężkie warunki życiowe i na naszą codzienną walkę o życie już nie byliśmy skłonni do płaczu, jak to opisywałem przy spędzaniu pierwszych świąt Bożego Narodzenia. Nastrój był niezwykle poważny. Po złożeniu sobie życzeń śpiewaliśmy kolędy. W pewnej chwili na salę naszą wchodzi Wierzbica. Składa nam ogólnie życzenia i przemawia do nas w duchu patriotycznym, podkreślając kilkakrotnie swoją Polskość. Zaznaczam, że Wierzbica był volksdeutschem i był uważany w Oświęcimiu za Niemca. W czasie jego przemówienia słyszeliśmy dość często pomruki na

znak protestu. Przemawiałem i ja na temat „kochajmy się”. Był to temat umyślnie wybrany dla Wierzbicy. W przemówieniu swym kilkakrotnie dałem mu odczuć, że moje słowa uderzają w niego. Bałem się, że wyciągnie on w stosunku do mnie konsekwencje – ale nie – dał mi spokój.

Po wybuchu wojny ZSRR z Niemcami 22 czerwca 1941 r. radość ogromna zapanowała w obozie. Cieszyliśmy się, bo byliśmy przekonani, że Niemcy nie pokonają Armii Czerwonej i ten kolos germański musi się załamać. Narody podbite skorzystają z tego, chwycą za broń i zgotują im należytą zapłatę. Takie było wówczas nasze rozumowanie w obozie.

Straszne było dla nas rozczarowanie i chodziliśmy niezwykle przygnębieni na wiadomość o sukcesach niemieckich. Będąc jednak głębokiej wiary, że zwycięstwo musi być tam, gdzie przyświeca idea sprawiedliwości i praworządności – my optymiści, do których i ja należałem, nigdy nie wierzyliśmy w zwycięstwo Niemiec. Wierzyliśmy w to, że tych dzikich Eunów [Hunów] XX w., niosących zagładę całej Europie, torturujących, mordujących i palących, musi spotkać zasłużona kara. Dla nich nie powinno być miejsca w Europie. Dzikie Kongo, kraina żółtej febry i moskitów, powinno być dziś siedzibą dla tych morderców.

Już w pierwszych dniach października zaczęli napływać do naszego obozu jeńcy Armii Czerwonej. Pierwszy transport ok. 500 ludzi, w którym znajdowały się kobiety i dzieci, spotkał straszny los. Zamknięto ich na bloku 11., który stał w sąsiedztwie naszego bloku 10. Okna naszego bloku były pozabijane deskami, abyśmy nie widzieli, co się dzieje na tym bloku stracenia. Wprowadzono tam jeszcze ok. 200 chorych ze szpitala. Z wielkim niepokojem śledziliśmy, co oni zrobią z tymi ludźmi, gdyż po obozie chodziły różne plotki. Wiedzieliśmy to, że kto przekroczył próg bloku 11., ten więcej nie wracał. Niedługo czekaliśmy, bo już wieczorem tego dnia zauważono jednego SS-mana, który z maską gazową u boku wchodził na blok 11. Na dwa dni po tym fakcie blok 11. zamarł. Nikt na blok nie wchodził, ani nikt bloku nie opuszczał. Teraz wiedzieliśmy, co się z nimi stało. Cały transport jeńców Armii Czerwonej oraz ok. 200 chorych poniosło śmierć przez zatrucie gazem.

Znając dokładnie dzieje obozu, interesując się żywo wszystkimi przejawami jego życia, muszę stwierdzić, że było to pierwsze użycie gazu na terenie Oświęcimia. Po dwóch dniach otwarto blok, a nocą samochodami ciężarowymi wywożono trupy. Do pracy używano robotników cywilnych, których podobno w celu zatarcia śladów zastrzelono.

W listopadzie 1941 r. zaczęto masowo przywozić jeńców Armii Czerwonej. Straszliwie bestialsko obchodzono się z tymi ludźmi. Rozbijano głowy kolbami, łamano żebra, słowem

każdy SS-man poczuwał się do obowiązku znęcania się nad tymi ludźmi. SS-mani, którzy nie byli na froncie, chcieli na tych niewinnych ofiarach zakosztować krwi. Byłem naocznym świadkiem tych wyczynów i to, co opisuję, to nie fantazja, ale fakty. Jeńców wojennych radzieckich po wyładowaniu z wagonów kolejowych pędzono do tzw. *Entwesungskammer* odwieszalni, która była umieszczona około półtora kilometra od obozu. Tam każdy jeńiec rozbierał się do naga, był strzyżony, golony i kąpany. Odbywało się to wszystko pod gołym niebem. Gdy zakończono te czynności, przetrzymywano jeńców do nocy, a o zmroku, gdy cały obóz był pogrążony we śnie, pędzono ich nago na podwórze bloku 11. Tu czekali do rana na przydzielenie ich do odpowiedniego bloku. Ponieważ tego rodzaju kąpiele odbywały się w listopadzie, trudno opisać, co działo się z tymi ludźmi. Jeden jęk i płacz słyszeliśmy przez całą noc.

Każdy jeńiec, bez względu na stan zdrowia, musiał iść do pracy. Skutki owej lodowej kąpieli, praca pod gołym niebem, bez względu na stan zdrowia i złe odżywianie, nie dały na siebie długo czekać. Śmiertelność wśród nich była ogromna. Chorych dobijano na komandach pracy i do obozu po pracy znoszono już tylko trupy. W dniach zimnych i słotnych, których w listopadzie nie brakuje, śmiertelność była tak wielka, że do zwożenia trupów użyto nie raz wszystkich wozów i pojazdów mechanicznych. Pamiętam, że jednego dnia przywieziono ponad 300 nieboszczyków. Wracając z pracy w DAW, widziałem taki obrazek. Na wozie leżała pokotem kilkunastu jeńców. Jeden z nich widać było, że resztkami sił dźwignął głowę w górę. Wówczas przyskoczył SS-man i uderzył go tak mocno kolbą w głowę, że pękła mu czaszka. Ze względu na ogromną liczbę nieboszczyków, krematorium nie mogło nadążyć z paleniem ciał i dlatego magazynowano je w piwnicach na bloku 3. i 6. Straszny był to obrazek, gdy ściągano owe trupy z wozów. Zwyczajnie podważano deski lub drabinki u wozów, trupy spadały na ziemię jak kłody drzewa, a następnie ciągnięto je, trzymając za nogi po schodach do piwnicy lub też wrzucano przez okno.

Jeńców armii radzieckiej przybyło do Oświęcimia w październiku i listopadzie 1941 r. ok. 11 tys., a pozostało ich w chwili ewakuacji Oświęcimia ok. 300.

Codziennie wieczorem byliśmy świadkami wynoszenia zmarłych kolegów do krematorium. Początkowo [ciała] wynoszono w trumnach na barkach więźniów. W krematorium zostawiano trupy, a owe trumny odnoszono z powrotem po nowy transport. Gdy liczba zgonów wzrosła, wożono trumny na platformie, przerobionej z karawanu zakładu pogrzebowego w Oświęcimiu.

Po pewnym czasie trumny uległy zniszczeniu, nie robiono nowych, lecz nieboszczyków przewożono na wozach wyłożonych wysoko deskami. Do takiego wozu ładowano kilkudziesięciu nieboszczyków, których przykrywano kocami. Wieziono tak, jak mięso z rzeźni. Gdy taki wóz wyjeżdżał z bloku 11., całą swą drogę znaczył krwią, która spływała z ciał rozstrzelanych kolegów. Nikt nie towarzyszył zmarłym, nikt za nimi nie płakał ani się nie rozczulał, bo śmierć wyrwała ich z naszego grona dziś, a jutro może wyrwać nas. Żegnaliśmy ich cichym i potajemnym szeptaniem: „Wieczne odpoczywanie”. Ręk jednak nie składaliśmy jak do modlitwy, lecz zaciskaliśmy je w pięści, grożąc zemstą.

Moje zajęcia w DAW jako magazyniera zajmowały mi codziennie najwyżej pół godziny. Pracy biurowej miałem bardzo mało, to też wolny czas, jak to już zaznaczyłem, poświęcałem na robienie szachów, trepów, kaset itp. Robiłem jeszcze coś więcej, ale czyniłem to potajemnie, skrycie, bo za to czekałoby mnie niechybnie śmierć. Pisałem na maleńkich świstakach historię Oświęcimia. Czyniłem to dyskretnie, nikomu o tym nie mówiąc, bo bałem się nawet najserdeczniejszego przyjaciela, a przyczyny ku temu miałem, co poświadczy następujący fakt. Pewnego wrześniowego dnia, przyszedł po mnie do magazynu DAW goniec z obozu, wzywający mnie natychmiast do „Politycznego”. Tego rodzaju wezwanie miało różne cele: wypuszczenie na wolność, nowe obciążenie i protokół w tej sprawie, nadejście jakiegoś listu o nielojalnej treści itp. Zostałem wezwany przed znanego polakożercę Lachmanna. Postać mała, prawie że chłopięca, regularne rysy twarzy, o dość łagodnym, nawet sympatycznym ujęciu. Z wyglądu zewnętrznego zdawałoby się, że jest to człowiek bardzo dobry, a była to hiena, która ani chwili w obozie nie spoczęła, lecz szukała nowych ofiar, świeżej krwi. Był on prawą ręką znanego Grabnera, który przez wiele lat prowadził Oddział Polityczny. [Lachmann] w Poznaniu uczęszczał do gimnazjum i tam studiował, jedni mówili, że był na Wydziale Prawniczym, a inni, że ukończył WSH [Wyższą Szkołę Handlową].

W pokoju siedzi on sam przed maszyną. Nie patrząc na mnie, sprawdza moje personalia. Trzyma w ręku kilka arkuszy papieru zapisanego ołówkiem, drobnym pismem, i po pewnej chwili pyta mnie po polsku: „Czy chcielibyście iść do domu?”. Odpowiadam: „Tak jest! Moim marzeniem i największym szczęściem byłoby wrócić do domu”. „Dobrze” – odpowiada Lachmann – „Pójdziecie! Ale wpieryw musicie powiedzieć szczerą prawdę i niczego nie zataić”. Mówi dalej wolno, cichutko, spokojnie, ale niezwykle dobitnie, cedząc przez zęby: „Czy wiecie o tym, że wasze dwie najstarsze córki dopomogły przestępcy, który ciężko ranił żołnierza niemieckiego podczas ucieczki? Że przebrały go w strój kobiety i tym



samym umożliwiły mu ucieczkę?”. Serce we mnie zamarło, nogi zadygotały, zadrzałem cały, pomyślałem – moje biedne córki zapewne w więzieniu są bite i torturowane, czuję się kompletnie załamany, bo jestem już skończony. Był to jednak ułamek sekundy owej depresji, bo momentalnie z dumnie podniesioną głową, z wielką swobodą i pewnością siebie odpowiadam dość podniesionym głosem: „To nie jest prawda! Moje córki wychowałem tak, że nie miały przede mną tajemnic, zwierzały mi się ze wszystkiego i gdyby coś takiego zrobiły, zapewne byłyby mi o tym powiedziały. Powtarzam: Nic o tym nie wiem!”. Na to Lachmann odpowiada cicho i spokojnie, niczym odwrotność mego tupetu i mej pewności. „Tak jest, wy o tym nie wiecie, bo was w domu nie było, byliście nieobecni, gdy to córki robiły!”. Po tym jego powiedzeniu byłem dosłownie ścięty z nóg i przekonany, że ten łotr już o wszystkim wie, gdyż rzeczywiście w chwili, gdy ten chłopiec był u nas, nie było mnie w domu. Łamię się, ale walczę i całym wysiłkiem woli, by nie runąć na ziemię, zdobywam się na jeszcze butniejszą odpowiedź: „To jest nieprawda i moje córki tego nie zrobiły!”. Po długiej chwili milczenia wstaje Lachmann i podniesionym niezwykle pewnym i ironicznym głosem mówi: „Jak to nieprawda, kiedyście o tym opowiadali swym kolegom w obozie i czy temu także teraz zaprzeczycie!”. Skończył i patrzył na mnie jak żbik na swą ofiarę, którą trzyma w swych szponach i cieszy się, że za chwilę żłopał będzie jej ciepłą krew. Byłem kompletnie złamany i zrezygnowany. Własny ojciec był zdrajcą swych dzieci, przez niego będą cierpieć. Nie! – To nie do przyjęcia! – Czuję, że moje godziny życia są już policzone i nie przeżyję tego. Zrywam się jednak jak ten ranny ptak do ostatniego lotu i udając niczym aktor na scenie zupełną swobodę, spokojnie, już niepodniesionym głosem odpowiadam: „Tak jest! Mówiłem o tym w obozie, bo jest tu nas z Gorlic kilkunastu i w wolnych chwilach opowiadamy sobie o różnych rzeczach. Fakt ten pobicia żołnierza niemieckiego przez byłego ucznia gimnazjalnego był znany w całych Gorlicach i nie było to tajemnicą”. Po tym moim oświadczeniu Lachmann długo milczał. To milczenie było dla mnie torturą, chciałem bowiem, by to wszystko jak najprędzej się skończyło, bo nie mogłem w tym napięciu nerwowym dłużej walczyć ze sobą. Było mi już wszystko jedno, tak lub tak. Po upływie paru minut, które były dla mnie godzinami, Lachmann zaczyna mówić spokojnie: „Wzywam Was po dobroci, abyście się do wszystkiego przyznali, bo wy w tej sprawie nie jesteście nic winni”. Odpowiedziałem stanowczo: „Poza tym co powiedziałem, nie mam nic do dodania”. Tu Lachmann skoczył do mnie groźnie z pięściami, ale widząc moją nieugiętą postawę, nie uderzył mnie, zapanował nad sobą i sycząc ze złości, rzekł: „My się do was inaczej weźmiemy, wówczas wszystko powiecie”.

Przeczytał mi moje zeznanie i kazał podpisać. Tu miałem z nim znowu sprzeczkę. Napisał bowiem w protokole, że nic nie chcę zeznać. Sprzeciwiłem się temu, mówiąc: „Chcę zeznać, tylko w tej sprawie nic nie wiem”. Ze złością, ale dopisał moją poprawkę. Podpisałem protokół i wyszedłem.

Teraz nastąpiła u mnie reakcja i [poczułem] odprężenie. Do tej chwili podtrzymywała mnie siła woli, a teraz po wyjściu klapnąłem. Zesłałem tak, że nie mogłem utrzymać się na nogach. Na szczęście spotkałem znajomych, którzy zaprowadzili mnie na blok. Byłem kompletnie załamany. Czułem się tak, jak ten ojciec, który wrócił z pogrzebu swych dzieci. Fakt ten, że mimo woli przyczyniłem się do zdrady własnych dzieci, dobijał mnie zupełnie. Tak jest. Opowiadałem o tym zajściu dwom kolegom w obozie, ale to byli moi serdeczni przyjaciele. Czyżby oni mnie zdradzili i donieśli do władzy obozowej!? Czyżby ktoś podsłuchał mojego opowiadania i mnie zdradził!? Wiem, komu się zwierzałem, pamiętam ich nazwiska, ale nie wiem, kto był moim zdrajcą. Oni! Czy też ktoś trzeci! Jest to do dziś dla mnie tajemnicą. Przypuszczałem, że moje córki zostały aresztowane, a przypuszczenie to potęgował fakt, iż od sześciu tygodni nie miałem listu z domu. Popadłem w wielką depresję i czułem się codziennie gorzej. Z dnia na dzień oczekiwałem zamknięcia mnie w bunkrze i wyciągnięcia dalszych konsekwencji. Minął jednak jeden tydzień i drugi – sprawa ucichła. Pewnego dnia otrzymałem list z domu, a w nim oryginalne podpisy wszystkich moich czterech córek. A więc są w domu niearesztowane! Uspokoilem się. Stosunek jednak mój do kolegów współwięźniów uległ radykalnej zmianie. Dawniej byłem wobec nich szczery, wylewny, pomagałem, jak tylko mogłem, a teraz byłem zamknięty w sobie, najczęściej unikałem kolegów.

Do pobicia i zranienia żołnierza niemieckiego rzeczywiście doszło w Libuszy. Żołnierz niemiecki aresztował niejakiego Krzyszkowskiego, który w czasie ściągania zeń protokołu, wykorzystał pewien moment i uderzył piszącego protokół ciężkim biurowym kałamarzem, a drugiego pchnął bagnetem, skoczył z okna I piętra i uciekł. Jeden z żołnierzy zdołał za nim strzelić i ranił go w ucho. Na jego szczęście padał wówczas ulewny deszcz i mimo pościgu i pomocy psów policyjnych nie dał się przyłapać. Do nas do domu rzeczywiście przyszedł, gdyż jedna z moich córek była jego szkolną koleżanką, lecz był już w stroju kobiecym, a więc moje córki skompletowały mu garderobę i udzieliły pomocy finansowej. Pierwszą wiadomość do nas przesłał z Muszyny, a drugą z Węgier. Jak widać z tego, młodemu bohaterowi udało się przedostać za granicę. Długo jeszcze gestapo poszukiwało go i w związku z tą sprawą aresztowało wiele osób z grona kolegów i rodziny Krzyszkowskiego. Jak później się

dowiedziałem, członkowie AK wyłowili w rzece Ropie topielca, któremu podłożyli papiery i koperty z nazwiskiem Krzyszkowskiego. Dopiero teraz gestapo upewnione, że poszukiwany przestępca nie żyje, zaprzestało dalszych poszukiwań i umorzyło śledztwo.

Aby lepiej poznać obóz i wniknąć w jego najskrytsze tajniki, by u źródła być wtajemniczonym w całą działalność komendy obozu, poznać ich różne fałszerstwa, marzyłem, by dostać zajęcie w kancelarii obozowej. Rzeczą to nie była łatwa. Trzeba było umieć bardzo biegle po niemiecku.

Począwszy od marca 1942 r. zaczęły do Oświęcimia napływać wielkie transporty Żydów z różnych krajów Europy, a tym samym i liczba personelu pracującego w różnych kancelariach musiała być powiększona. Sprzyjało mi niezwykle szczęście i dziwny splot okoliczności, że dostałem zajęcie w głównej kancelarii obozowej, a było to tak: W moim magazynie DAW podpadłem fatalnie. Jeden z SS-manów prosił mnie, abym mu zrobił drewniane trepy. Ze względu, że robienie trepów było surowo zakazane, a ja już parokrotnie zostałem przyłapany na tej czarnej robocie, wyszukałem sobie pracownię na strychu, w maleńkiej zagrodzonej komórce. Tam przenieśliem sobie wszystkie potrzebne narzędzia i w wolnych chwilach majstrowałem. Podpatrzył to jeden z młodych kolegów i nie mówiąc mi o niczym, coś sobie dłubał w mojej pracowni. Miał pecha. Nakrył go bowiem jeden z SS-manów i zaprowadził do *Obersturmführera* Wagnera, komendanta DAW. Przyniósł jednocześnie jako *corpus delicti*, moje prawie gotowe trepy i narzędzia stolarskie. Na domiar złego znaleziono kawałeczek paska, pochodzącego od nart, które całymi wagonami przychodziły w celu pomalowania ich na biało. Awantura więc gotowa. Chłopak tłumaczy się z płaczem, że trepy nie jego, że narzędzia nie jego, ale nic nie pomagało. Wagner zrobił na chłopczyńkę meldunek, tj. doniesienie do komendanta obozu. Czekają go kara najmniej trzy miesiące SK (*Strafkompanie*). Dowiedziawszy się o tym, nic nikomu nie mówiąc, zgłosiłem się dobrowolnie do kancelarii Wagnera i oznajmiłem mu, że znalezione trepy i narzędzia są moje. Nawymyślał mi ów komendant od psów, świń itd. i zagroził, że zrobi na mnie doniesienie. W obronę wziął mnie mój bezpośredni przełożony *Rottenführer* Ostrowski. Interweniował u Wagnera oraz wpływał na owego SS-mana, który zrobił u mnie zamówienie, aby ten wyjaśnił komendantowi, że trepy robiłem na jego zamówienie. Ten jednak mimo nalegania ze strony i innych SS-manów tego nie zrobił. Sprawa stała się głośna. Ktoś poinformował Wagnera, bo ten nie zrobił na mnie karnego doniesienia. By jednak być konsekwentnym kazał mi oddać magazyn innym więźniom, a po dwóch dniach polecił zgłosić się u siebie. Ogłoszono w obozie zapotrzebowanie na pisarzy. Zgłosiłem się do

próby pisania, która się udała i 18 lipca 1942 r. zamiast u Wagnera stawilem się w kancelarii obozowej i rozpocząłem nowe życie. Tu znalazłem zupełnie inne warunki pracy. Znalazłem się w gronie ludzi kulturalnych, tu nie słyszałem żadnych przekleństw, tu nikt nikogo nie bił, nikt nie kradł, słowem odżyłem duchowo. Na 25 pisarzy było zaledwie dwóch – trzech Niemców, a reszta to byli Polacy.

Nowe zajęcia w głównej kancelarii obozowej były dla mnie niezwykle cenne jeszcze i dlatego, że teraz dopiero u źródła mogłem poznać, jakimi metodami nas gnębili i jakich fałszerstw dokonywali. W kancelarii pisałem tzw. *Hauptbuch* księgę główną, do której wpisywałem wszystkich więźniów przybyłych do obozu. Ostatni numer, który był wpisany do tej księgi to 202 495. Niezależnie od tego wpisywaliśmy w osobnej księdze Cyganów, których było ponad 10 tys. i *Erziehungs Häftlinge*, których liczba również sięgała 10 tys. ludzi. Już sama nazwa wskazuje, że więźniów tych zsyłano w celach wychowawczych. Rekrutowali się oni z cywilnych robotników, którzy za drobne przewinienia zostali skazani na kilkutygodniowy pobyt w obozie.

Z powodu olbrzymich transportów żydowskich do obozu w Oświęcimiu, nie jednego, ale nawet dwóch do trzech pociągów dziennie, których dostarczała policja *Reichssicherheitshauptamt* (RSHA) wydano w kwietniu 1944 r. zarządzenie, aby Żydów tych, zwanych urzędowo „Żydami transportowymi”, wpisywano do osobnych ksiąg i mieli oni otrzymywać numerację od A 1 do A 20 000. Po skończeniu tej księgi wpisywać się będzie następane numery B 1 do B 20 000 itd. W chwili ewakuacji Oświęcimia zapełniono w komplecie A Żydów, a w numeracji B doszło do 17 000.

Wielką liczbę Żydów, której nie zdołali zagazować, przydzielono do tzw. *Durchgangstransport* i ci nie otrzymywali numerów. Czekali oni na śmierć, którą ponosili w najbliższym czasie przez zagazowanie, gdy liczba transportów zmalała i obsługa krematoriów oraz komór gazowych była wolniejsza. Stan liczebny tych ludzi wynosił przeciętnie ponad 60 tys.

Ilu Żydów przyjechało do Oświęcimia i zostało zagazowanych, a nie otrzymało numeracji, tego dokładnie nie wiemy. Liczba ich nie sięga setek tysięcy, ale ok. 3 mln. Dokładnie wykazać to może jedynie przyszła statystyka, gdyż więźniowie, którzy pracowali w krematorium, zostali zamordowani w Mauthausen. Natomiast Żydzi, którzy pracowali w tzw. *Sonderkommandie* w liczbie 200 osób, a którzy byli używani przy gazowaniu i paleniu trupów, również co jakiś czas byli zmieniani i mordowani gazem. Sprawa gazowania była utrzymywana w obozie w wielkiej

tajemnicy. Więźniom nie wolno było rozmawiać [o tym] pod karą śmierci. SS-mani zajęci przy krematoriach i gazowaniu podpisywali specjalne zobowiązanie zawarte w dziesięciu punktach, które miały strzec tajemnicy dokonywanych morderstw.

Więźniowie, którzy otrzymywali numer, dostawali również winkiel, który oznaczał rodzaj więźnia, względnie jego przestępstwa. Winkiel był to trójkąt równoboczny o boku trzy do pięciu centymetrów, początkowo przyszywany na ubraniu, a później malowany na płótnie. Obok winkla był wymalowany czarną farbą lub chemicznym ołówkiem numer więźnia. Więzień mało był znany po nazwisku. Znany był jedynie jako numer i w obozie miał on wartość równoznaczną z wartością martwej liczby.

Więźniowie polityczni tzw. *Schutzhäftlinge* nosili winkle czerwone. Byli to przeważnie Polacy, Czesi, Jugosłowianie, Holendrzy, Belgijczycy [Belgowie], Rumuni, Grecy. Liczba ich była w obozie największa.

Drugą kategorią więźniów byli tzw. BV (*Berufsverbrecher*) zawodowi przestępcy i kryminaliści. Nosili oni winkle zielone, byli skazani wyrokiem sądu za swe przestępstwa na kilkanaście lat, a nawet dożywocie. Byli to przeważnie Niemcy. Ci ludzie byli naszymi kapo, przodownikami, blokowymi itd.

Trzecią kategorią więźniów byli PSV (*Polizei Sicherheitsverwahrung*). Nosili oni winkle zielone, lecz szpicem do góry. Byli to przestępcy skazani wyrokami, którzy karę mieli odsiadywać po wojnie, a do obozu zostali zesłani do pracy na okres wojny.

Czwartą kategorię więźniów stanowili tzw. *Asoziale* (Aso). Nosili oni czarne winkle. Były to jednostki aspołeczne, które uchylały się od pracy. Winkle czarne otrzymywali również obywatele radzieccy, których przysyłano do obozu w wielkich transportach od 1942 r.

Piątą kategorią byli IBV (*Internationale Bibelforscher-Vereinigung*). Więźniowie, którzy zostali aresztowani z tytułu przynależności do sekty religijnej tzw. badacze Pisma Świętego.

Żydzi zamiast winkli nosili gwiazdy żółto-czerwone z boku, na których był wypisany numer. Niezależnie od owych odznak niektórzy więźniowie nosili czerwone punkty wymalowane na płótnie, naszyte na piersiach i plecach. Byli to tzw. *Flucht Verdächtig* podejrzani o ucieczkę, a aresztowani z tytułu przynależności do organizacji bojowych. Więźniów tych przydzielano najczęściej do SK tzw. *Strafkompanie*, gdzie szybko ich wykańczano,

a najczęściej rozstrzeliwano. Więźniowie, których przydzielano do SK, nosili takie same punkty, ale koloru czarnego.

Cyganie nosili czarny winkiel, a nadto obok numeru mieli wymalowaną literę „Z”. Mieli oni w obozie osobną numerację. Podobnie jak Żydów, Niemcy mordowali i Cyganów. Mieszkali oni w obozie w Brzezince tzw. Birkenau, w oddzielnym odcinku wraz z rodzinami. Śmiertelność u nich była niezwykle wysoka. Ci jednak co nie zdołali umrzeć na tyfus i różne choroby, zostali zagazowani na wiosnę 1944 r. Ogółem otrzymało numery ponad 10 tys. Cyganów, których zaledwie ok. 500 Cyganów niemieckich wysłano do innych obozów. Reszta częściowo poumierła, w końcu pozostali w liczbie ponad 2500 osób zostali w jednym dniu zagazowani. Strasznie podziałała na nas wieść o śmierci tych ludzi. Zdawało się nam, że na skutek stałych niepowodzeń na frontach bojowych zmienią taktykę w stosunku do nas, co zresztą zauważyliśmy już od listopada 1943 r. Wiadomość zatem o śmierci Cyganów wróżyła i nam taki sam koniec. Wiem o tym, że Cyganów tracono nie tylko numerowanych, ale i gazowano ich w całych transportach bez numerów. Ilu ich zatem zginęło, okryte jest mgłą tajemnicy.

Do obozu w Oświęcimiu należały wszystkie okoliczne obozy, np.: w Brzezince, w Monowicach, w Jawiszowicach, w Sosnowcu, w Gliwicach itd. Prawie we wszystkich kopalniach węgla i większych fabrykach pracowali więźniowie. Z początkiem 1944 r. podzielono obóz w Oświęcimiu na trzy obozy, a mianowicie: obóz w Oświęcimiu, Budach i w Babicach był oznaczony nr 1, obóz w Brzezince nr 2, a obóz w Monowicach wraz ze wszystkimi obozami w fabrykach i kopalniach – nr 3. Największa liczba więźniów, jaka przebywała w ostatnich latach we wszystkich obozach łącznie z kobietami, wynosiła ponad 140 tys.

W Brzezince znajdowało się sześć wielkich, o wysokich kominach krematoriów, w których w ciągu doby można było spalić 20 tys. ludzi. Skoro więc do obozu napływały dziennie dwa a nawet po trzy pociągi rodzin żydowskich, krematorium nie podołało w pracy, więc palono ludzi w specjalnych na ten cel przygotowanych rowach. W nocy widzieliśmy wielkie łuny palących się ciał a gdy wiatr zawionął w naszym kierunku, czuliśmy nie do zniesienia smród palących się trupów. Czuliśmy go nie raz kilka dni i mieliśmy go pełno w nosie, gardle, w jedzeniu a nawet w czasie snu mimo przykrycia się z głową.

Już od marca od marca 1942 r. zaczęły do Oświęcimia napływać całe transporty Żydów z różnych krajów Europy. Najpierw przybyli Żydzi słowaccy, potem norwescy, holenderscy,

francuscy itd. Straszne były losy tych ludzi. Mężczyzn, a czasami kobiety segregowano, mocne i zdrowe jednostki odsyłano do obozów, a słabych, starych i dzieci odprowadzono do komór gazowych i mordowano. Aby odwrócić podejrzenie, że ludzi tych czeka śmierć, obchodzono się z nimi bardzo dobrze. Paniom i starcom podawano krzesła przy wysiadaniu, dzieci znoszono na rękach i rozdawano im mleko i słodycze. Następnie pod pretekstem kąpeli kazano im się rozbierać, przygotować ręczniki, mydło i przybory toaletowe. Na korytarzu wejściowym był napis we wszystkich językach europejskich „Do kąpeli”. Gdy czasami nieszczęśliwcy zorientowali się, dokąd ich prowadzą, na dany znak wypadało z pobliskiego baraku 200 Żydów z tzw. *Sonderkommando* z drągami, gumami i z nieludzkim krzykiem i wyciem napędzali cały transport do baraku, gdzie miała odbywać się rzekoma kąpiel. Pierwsze szeregi poznały, że tu nie ma kąpeli, ale cofnąć się niepodobna, bo napływ od tyłu jest taki, że po głowach się cisną, by jak najprędzej dostać się owego baraku i uniknąć bicia. Za ostatnim zatrzaśnięto mocne, szczelne drzwi. Gdy już wszyscy byli zamknięci, jeden z więźniów przez maleńki otwór w dachu wkładał puszkę z gazem tzw. cyklonem. W baraku nieludzkie wycie i płacz, który z czasem ustaje, wreszcie kompletna cisza świadczy, że robota skończona. Otwierają okna i drzwi, wentylatory elektryczne oczyszczają powietrze, podjeżdżają wózki i zabierają trupy do krematoriów. Ci, którzy byli blisko gazu, ginęli pierwsi, ale po kątach są jeszcze żywi, męczą się; za mało gazu, ale praca idzie, w pośpiechu, nie czas na sentymenty, więc palą i żywych.

Z niektórych transportów żydowskich, liczących po 4000–5000 ludzi, wybierano 12–15 lub 20 Żydów przeważnie różnych zawodów, a czasami jedynie samych lekarzy, rozdawano im papiery listowe i polecano im pisać do swych rodzin. Data listu była oczywiście o dwa do trzech tygodni późniejsza. Tłumaczyli im to tak, że listy wnet nie odejdą, lecz muszą być cenzurowane. Treść listu była z góry ułożona. „Jestem zdrowy, pracuję lekko, jest mi dobrze i zarabiam pieniądze”.

O tym jak doskonałą mieli Niemcy propagandę i jak znakomicie potrafili ukrywać swe morderstwa, świadczy następujący fakt: W maju i w czerwcu 1944 r. zaczęto przywozić do obozu ogromne ilości Żydów węgierskich. Mała ich garstka zdrowych i mocnych przeznaczona do pracy przyjeżdżała z humorem do głównego obozu w Oświęcimiu i opowiadała, że ich żony i dzieci pozostały w Brzezince, ale jest im tam bardzo dobrze. Gdyśmy im zwrócili uwagę, że wasze żony i dzieci już nie żyją i zostały zamordowane, nie uwierzyli. Wprawdzie słyszeli już w kraju o gazowaniu Żydów, ale utrzymywali, że jest

to propaganda angielska. Uwierzyli dopiero w to, gdy i z ich szeregów zaczęto wybierać słabych i chorych na śmierć gazową. Razu jednego cały transport Żydów włoskich zbuntował się i nie chciał iść do gazu. Walkę sprowokowała piękna artystka, Żydówka włoska, która pierwsza rzuciła się na SS-mana Schilingera, znęcającego się po pijanemu nad kobietami, wyrwała mu rewolwer i zastrzeliła go. Za jej przykładem rzucili się i inni do walki, lecz cóż mogli poradzić nadzy z gołymi pięściami, gdy naprzeciw stanęły karabiny maszynowe. Na placu pozostało dużo zabitych, ale i między nimi jeden morderca.

Niezwykłe przykre były wybiórki między Żydami ludzi słabych i wychudzonych tzw. mużułmanów na śmierć gazową. Tego rodzaju wybiórki odbywały się zwykle w sobotę. Dokonywano ich we wszystkich komandach, w kopalniach i w fabrykach pod pretekstem, że ci słabi ludzie zostaną wysłani na odpoczynek do Brzezinki. W naszym obozie selekcjonował do gaz w szpitalu SDG (*Sanitätsdienstgehilfe*) Kläher [Klehr] i jeszcze niezależnie od tego wybierali po apelu wieczorowym nieraz przez całą noc *Rapportführerzy*. Wybranych ładowano do aut ciężarowych i wywożono wprost do gazu. Dwukrotnie mieliśmy przebiórkę na gaz w całym obozie, tj. i między aryjczykami. Przebiegaliśmy nago przed pijaną komisją złożoną z *Rapportführerów*. Po zagazowaniu więźniów przysyłano do głównej kancelarii obozowej listę, na której były wypisane jedynie numery, a w nagłówku dwie skromne litery SB. Wiedzieliśmy, co to znaczy, był to tzw. *Sonderbehandlung* i w księgach oraz w kartach ewidencyjnych notowano ich jako zmarłych. Największe nasilenie gazowania przypadło na drugą połowę 1943 r, do lutego 1944 r. Ginęło wówczas oficjalnie miesięcznie ponad 10 tys. więźniów, tj. tych, którzy mieli numerację.

Z końcem każdego miesiąca robiliśmy w kancelarii statystykę zgonów, która przedstawiała się następująco:

w lutym był tzw. <i>Abgang</i>	ponad 12 tys.
w tym SB ( <i>Sonderbehandlung</i> )	10 500
zmarli Żydzi RSHA	500
zmarli różnych narodowości	993
zmarli na skutek egzekucji	7
Razem:	12 000

Liczby te podaję w zaokrągleniu setnym, gdyż dziś już nie pamiętam szczegółów. Podaję jedynie w celu obrazowania, jakie raporty odchodziły do Berlina. W liczbie 12 tys. ludzi



figurowało 10,5 tys. jako tzw. SB i Berlin przyjmował ich jako żywych. Widzimy z tego, że największą ilość zgonów to było SB, zwane później *Die gesondert unterbrachte Häftlinge*. Jak należałoby tłumaczyć to po polsku, tego nie wiem.

Luty 1944 r. był ostatnim miesiącem o najwyższym nasileniu gazowania, gdyż już w marcu wynosił ów *Abgang* 4500, w kwietniu powyżej 2000, a w następnych miesiącach były już tylko setki. Z Berlina przyszedł wyraźny rozkaz zaprzestania gazowania ludzi oraz niszczenia wszelkich dokumentów i obiektów, świadczących o straszliwym żniwie śmierci na terenie obozu. Z naszej kartoteki musieliśmy wyszukać wszystkich zmarłych kolegów, musieliśmy oddać wszystkie listy zmarłych, które uległy spaleni. W Brzezince zaczęto burzyć krematoria.

Oprócz tzw. familijnego obozu cygańskiego w Brzezince był jeszcze jeden familijny obóz Żydów z Teresienstadtu [Theresienstadtu]. Pewnego razu zapowiedziano im, że następnego dnia wyjadą na transport. Kazano im się spakować i być gotowym do odjazdu. Na kolację otrzymali ci ludzie kawę, wyjątkowo słodką z dużą ilością bromu. Skutkiem tego popadli w głęboki sen i na drugi dzień na pół przytomnych i oszołomionych zapędzono ich do komory gazowej.

## KARY

Przepisy życia obozowego nie były nigdy drukowane ani obwieszane, były jednak każdemu więźniowi doskonale znane. Nowicjusz uczył się żyć w obozie od starszych kolegów, a czasami poznawał lagrowe przepisy, ale na własnej skórze. Przepisy owe były mniej lub bardziej surowe, mniej lub więcej przestrzegane, co zależało od nastawienia każdorazowego komendanta obozu. Więzień musiał być czysty, a przynajmniej w niedzielę, co tydzień ogolony i na jeden milimetr ostrzyżony. W Mauthausen np., dokąd dostałem się po ewakuacji Oświęcimia, nie strzyżono więźniowi całej głowy, tylko golono mu na głowie ścieżkę od czoła do karku szerokości pięciu centymetrów. Nazywaliśmy tę ścieżkę *Lausestraße*. Ubranie musiało być czyste i niepodarte. Na bluzie, płaszczu i spodniach musiał być naszyty winkiel wraz z wyraźnym numerem. Nie wolno było mieć przy sobie noża ani żadnych ostrych narzędzi. Nie wolno było w czasie pracy palić ani jeść. Zakaz gotowania obowiązywał bezwzględnie. Nie wolno było czytać książek pisanych w obcym języku, spisywać piosenek, a nawet na niektórych komandach nie wolno było rozmawiać po polsku. Za utrzymywanie stosunków z osobami cywilnymi i robotnikami cywilnymi karano bardzo ostro, a nawet śmiercią.

Przepisy były przepisami, rygor rygorem, a mimo to robiliśmy to wszystko, czego nie wolno było, byle tylko utrzymać życie, a nie dać się przyłapać.

Podałem w krótkim zarysie przepisy obowiązujące więźnia. A jakież były jego prawa? Niestety więzień nie miał żadnych praw. Mogłeś być zabity, pobity do utraty przytomności, mogli ci połamać ręce i nogi, bez względu na to czy byłeś winny lub niewinny, i nie miałeś się komu skarżyć. Było to w okresie 1940 – listopad 1943 r. Za przestępstwa stosowano najrozmaitsze kary, których łagodność lub surowość zależała od każdorazowego komendanta i kierownika obozu. Za jedno i to samo przewinienie, np. palenie papierosa lub jedzenie w czasie pracy, można było w początkach obozu dostać trzy miesiące SK, a w czasie późniejszym kopniaka.

Najpospolitszą karą była kara chłosty, stosowana na miejscu przestępstwa lub urzędowo publicznie w czasie apelu. Przystępcę kładziono na długim koźle, w którym nogi miały umocowane, wyznaczony więzień lub SS-man wymierzał mu 25–50 lub więcej razy. Rzadko się zdarzało, aby biedak po takiej chłości utrzymał się na nogach, gdyż po całym jego ciele spływała strumieniem krew. Karę chłosty zniesiono dopiero w listopadzie 1943 r. i od tego czasu zasadniczo nie wolno było bić więźnia. Dorywczo karano więźnia sportem. Ten rodzaj kary stosowano najczęściej do całego komanda, a mniej indywidualnie. Ileż to razy musieliśmy jeść obiad w przysiadzie, całymi godzinami skakać żabkę, tarzać się w błocie. Ileż to razy widziało się więźnia stojącego w przysiadzie i trzymającego ogromną brukiew w zębach i dwie w rękach z ramionami podniesionymi do góry. Bicie po twarzy, karę chłosty, męczenie „sportem”, stosowali najczęściej bezlitośnie aż do utraty przytomności bezpośredni przełożeni, blokowy, jego zastępca, pisarz, jego zastępca, cała plejada izbowych, korytarzowych, klozetowych, siennikowych, podłogowych, miskowych itd., itd. Nie wiedziałeś gdzie, za co i kto cię pobił, bo uderzenie było tak mocne, że zwyczajnie traciło się przytomność. Jeżeli za przestępstwo było zrobione doniesienie (*Strafmeldung*) do władz obozowych, wówczas karę wymierzał pisemnie kierownik obozu. Kara taka była odczytywana więźniowi w niedzielę. Bardzo często zdarzało się, że na danego więźnia zostało zrobione fałszywe doniesienie. Nie pomogły żadne tłumaczenia ani dowody, biedak musiał być ukarany. Najsurowszą karą było wcielenie więźnia do SK (*Strafkompanie*) na okres od czterech tygodni do bezterminowego czasu. Przydzielenie do SK było zasadniczo równoznaczne z wyrokiem śmierci. W SK wykonywano najcięższe prace, w czasie których bito i zabijano. Gdy

komando wracało po pracy przynosiło ze sobą kilku, a nawet kilkunastu zabitych. Na kapo SK dawano zwyrodnialców, ludzi, którzy mordowali nie z obowiązku, lecz z przyjemności. Pobudzali ich do tego SS-mani. Byłem świadkiem takiego zajścia. Na bramie wejściowej do obozu stoi dyżurny SS-man i zapisuje wychodzące i wykreśla wchodzące komanda po całodziennej pracy. Kapo SK melduje w bramie: „Hundertdreiundfünfzig Häftlinge r.8 Tote”. „Zu wenig” – krzyczy dyżurny SS-man. „Jawohl!” – odpowiada kapo. Zainteresowałem się tą rozmową i skonstatowałem, że na drugi dzień przyniesiono 20 trupów. Jednym z największych morderców w komandzie SK był kapo Heinz Zimmer. Opowiadał on, że gdy zabił osiemsetnego więźnia powiedział sobie „dość”. Więcej nie zabijam i zmienił się radykalnie. Początkowo SK mieściło się w osławionym bloku 11., a z końcem 1941 r. zostało przeniesione do Brzezinki. Komando SK budowało w 1940 r. betonowe ogrodzenie wokół obozu. Byliśmy codziennie świadkami strasznych męczarni tych ludzi. Nosili do ogrodzenia pięciometrowej długości słupy betonowe z betoniarni nad Sołą do miejsca ogrodzenia. Słup był bardzo ciężki. Niosło go kilkunastu słabych, skatowanych, ledwie trzymających się na nogach więźniów, nad którymi stał kapo z grubym drągiem. Słabym i niemogącym unieść ciężaru więźniom rozbijał głowy, łamał członki i zabijał ich. Był to obraz prawdziwej „Golgoty”.

Jak straszne przeżycia przechodzili ludzie zesłani do SK zobrazuje najlepiej list kolegi Józefa Kreta, nauczyciela gimnazjum, który przytaczam w dosłownym brzmieniu:

Staromieście, 7 października 1945 r.

*[...] Jeżeli chodzi o fragmenty z życia SK, w których i o mnie wspominasz, to pozwól, że przedstawię tak, jak utkwily w mej pamięci, a w szczegółach może różnić się nieco od opisanych przez Ciebie, ewentualnie je uzupełnię. Otóż w czasie pracy w okresie niemiłosiernego głodu, w początkach 1942 r. przechodząca obok naszych żywych szkieletów jakaś pani, położyła pod drzewem niedaleko nas zawinięte w papier cztery kromki chleba i dwie paczki papierosów. Było to w lesie, gdzie robiliśmy pomiary. Nas więźniów było czterech, a pilnujących nas SS-manów dwóch. Jeden z nas szybko podjął chleb i wsadził pod bluzę. Dostrzegł to jeden z tych SS-manów, odebrał chleb, ową panią zatrzymał. Natychmiast kazał przerwać pracę. Zbili nas, skopali niemiłosiernie i wraz z tą panią popędzili do obozu. Tu na Wachstubie aresztowali tę niewiastę i z miejsca osadzili ją w obozie oświęcimskim, nas zaś, popędzając kolbami, zaprowadzili na blok 11.,*

zwany „blokiem śmierci”. Tutaj przypadkowo natknęliśmy się na Aumeiera, ówczesnego Lagerführera, który urządził nam od rana mordobicie, po czym kazał nam odmierzyć po 25 razów. W obecności Aumeiera i Bruna ówczesnego Lagerältestera pocięli nam ciało do krwi. Tak zbitych wpakowali nas do bunkra, każdego osobno, gdzieśmy przesiedzieli 15 dni. Jednego dnia rozstrzelali większą niż zwykle ilość więźniów (przeszło 170) na podwórzu bloku 11. Wywołali i naszą czwórkę z bunkra na górę. Myśleliśmy, że idziemy na rozstrzelanie, bo rozstrzeliwali po czterech. Tymczasem darowali nam życie, twierdząc, że nim pomrzemy, musimy pocierpieć i przestali nas do SK do Brzezinki. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci.

W SK były wówczas okropne warunki. Poza tym, że zabijali na miejscu pracy, zabijali również i na bloku. Niezależnie od tego wzywali codziennie po kilku do Oddziału Politycznego w Oświęcimiu i ci już więcej do nas nie wracali (poszli do komina). W tej desperacji jednego dnia, 10 czerwca 1942 r., grupa więźniów w czasie pracy rzuciła się do ucieczki. Kilku z uciekających zastrzelono, kilkunastu zawrócono, ale 20 uciekło. Pozostałym kazano pokłaść się w błocie (po ulewnym deszczu) twarzą do ziemi, a wściekli kapo w liczbie ok. 30 i SS-mani bili nas bez miłosierdzia kołami. Potem ustawili nas w piątki i bijąc przez całą drogę, pędzili biegiem do obozu. Trupów było sporo. Tutaj o głodzie siedzieliśmy w przysiadzie do później nocy, przy czym bili każdego kijami, kto się poruszył. Na drugi dzień tych więźniów, którzy byli oznaczeni czerwonymi kółkami w liczbie ok. 330 zostawili o głodzie w przysiadzie na podwórzu, zaś resztę, do których i ja należałem, z czarnymi kółkami ok. 160 pognali do pracy. Niespodziewanie w południe przypędzono nas również na blok. Tutaj zastaliśmy naszych kolegów od rana stojących w przysiadzie, a obok nich leżało już 20 trupów świeżo zamordowanych kolegów. Bijąc, pędzono nas do bloku, a tych 330 omdlałych od bicia i spiekoty skuto drutem ręce z tyłu i wśród ryków rozjuszonych kapo, popędzono bosych na śmierć. Nie wiedzieliśmy, czy ich zagazowano, czy rozstrzelano. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że w pobliskiej komorze gazowej zakończyli życie.

Co się potem działo z pozostałymi, to trudno wprost opisać. Wśród najwyszukańszych tortur, najokropniejszych męczarni opuszczała codziennie pewna eskaowców padół płaczu. Luki wypełniały grupy stale dosyłanych do obozu delikwentów. Sposoby uśmiercania były różne. Najwięcej topiono w kałuży, błocie, gnojówce lub latrynie. Robiono sobie przy tym wesołe spektakle: „Pływaj jak rak, jak żaba, jak ryba, jak pies, nurkuj” itp. Wychylającego się z błota bito pałką w łeb. Tu znów kładziono „muzułmanów” obok siebie na ziemi, a na ich szyjach



położono drąg, na którym uciesznie pohanuwały się „zieloni kapo”, dopóki nie udusili wszystkich. (Zielonymi kapo nazywano Niemców, którzy mieli zielone winkle). Najstabszych zabijano z miejsca knyplem. Do szpitala chorych nie brano, lecz uśmiercano na bloku. Mordercami byli kapo. Było ich w SK niewspółmiernie dużo, ponieważ Kommandoführer Moll każdemu Niemcowi, który karnie wpadał do SK, dawał prawa kapo. Byli to wszyscy zawodowi zbrodniarze, recydywiści, typy sadystyczne i zwyrodniałe. Było ich wtedy ok. 25. Najbardziej torturowali tych, którzy usiłowali w jakikolwiek sposób położyć kres swojemu życiu. Nie raz całe grupki na klęczkach błagały postów (SS-manów), by ich zastrzelić, lecz ci nie strzelali. Widocznie w SK każdy miał zakończyć życie w okrutnych mękach. Największym okrucieństwem odznaczał się kapo Dachdecker (ten gruby), bo było ich dwóch. Kilkakrotnie obił mnie do krwi i powiedział, że mnie wnet wykończy. „Dlaczego?” – pytam. „Du hast scharfe Augen” – powiada – „Du musst krepiren”. Inteligentów nienawdził i gdy zwęszył takiego, zabijał na zimno. Szczególnie znęcał się nad księżmi i wykańczał ich z całą premedytacją. Utkwił mi w pamięci szczególnie dzień jeden, w którym żniwo śmierci było obfitsze niż zwykle. Kilku niedobitych kolegów kazali kapo wsadzić do olbrzymiej, leżącej bez dna beczki, służącej za schron dla pilnujących nas psów. Było to w czasie przerwy obiadowej. Kazali im szczekać. W kim się tliło jeszcze trochę życia, usiłował naśladować szczenie. Wylano im zupę na ziemię i kazano im wylizywać. Jeden z kapo powiada, że jest między wami ksiądz, musi im dać zatem błogosławieństwo na drogę do nieba. Wśród szyderstw i śmiechów przywiedli unurzanego w błocie, męczzonego przed chwilą, ledwo postać ludzką przypominającego salezjanina ks. Józefa Kowalskiego. Ten wdrapał się na beczkę i zbity, obłocony, półnagi, donośnym natchnionym głosem odmówił „Ojcze nasz” – klęcząc nad dogorywającymi w beczce męczennikami. Wzruszenia naszego nie da się opisać. Kapo drwili i charczeli zwierzęcym śmiechem. W pewnym momencie, tuż przed końcem pauzy obiadowej, zbiega z grobli kapo Dachdecker i szuka tego mit scharfen Augen. Za radą Tadzia Kokesza (z Jasta) ukryłem głowę w bujnej trawie, gdzieśmy leżeli. Uratował mnie gwizdek na koniec przerwy obiadowej. Po południu nie wykończył mnie, gdyż pracowałem na innym odcinku niż on „działał”. Była to sobota. Niedziela była wówczas wolna od pracy. Śmierć czekała mnie zatem w poniedziałek. Śmierć to głupstwo, tylko te męczarnie. W niedzielę stało się coś, co trudno mi sobie zwykłym porządkiem rzeczy wytłumaczyć. Po raz pierwszy zjawił się w SK sanitariusz ze szpitala, by zbadać nas, czy nie ma między nami chorych na tyfus. Mnie już od kilku dni trawiła gorączka, ale takich jak ja było dużo. Sanitariusz mógł wziąć tylko trzech, najwyżej czterech gorączkujących do szpitala. Blokowy rozstrzygnął i spośród wielu chorych wskazał czterech,

*którzy mają iść do szpitala, w tej liczbie byłem i ja. Zawdzięczam to koledze Zygmuntowi Szczepankowi z Łodzi, który jako główny magazynier żywnościowy starał się zdobyć dla mnie względy blokowego. Gdyby przy tej selekcji był obecny ów kapo Dachdecker, byłbym nie tylko do szpitala nie poszedł, ale z pewnością by mnie w tę niedzielę zaraz ukatrupił. Gdy nas czterech brano do szpitala, kapo, którzy byli na podwórzu, rzucili się na pozostałych chorych i zaczęli ich okrutnie bić. Nie wiem, czy któryś z nich doczekał się poniedziałku. Po paru dniach, już będąc w szpitalu, dowiedziałem się, że zamordowano ks. Kowalskiego.*

*Po owej ucieczce 10 czerwca 1942 r. widocznie był jakiś Befehl z góry co do zamordowania, bo gdyśmy wieźli na wozie mniej niż dziesięć procent trupów, to zwykle na bramie była awantura, że za mało zabitych.*

*Wybacz, że się tak rozwlekle rozpisałem, ale to dlatego, iż widzę, że na tym Ci zależy. Chciałem więc w celu naświetlenia tego dna nędzy, jaką była SK, dorzucić parę obrazków...*

Józef Kret

List kolegi Józia podałem w oryginale i pozostawiam go bez komentarza.

Jedną z bardzo ciężkich kar stosowanych od 1940 do 1942 r. było wieszanie na słupku jedną godzinę, półtorej, a nawet dwie, jednorazowo, dwukrotnie, a nawet pięciokrotnie. Kara ta polegała na tym, że wiązano ręce z tyłu i wyciągano je tak wysoko w górę, że więzień zaledwie końcami palców dotykał ziemi. Kara była bardzo bolesna. Denat mdlał, zlewano go wodą, a często zdejmowano trupa.

Do bardzo ciężkich kar należała tzw. *Stehzelle* (bunkier). Więzień był zamykany na noc w maleńkiej celi o wymiarze metra kwadratowego, do której wtłaczano trzech a nawet czterech więźniów. Musieli oni stać całą noc. Nadmienić należy, że w celi była ogromna wilgoć, a po ścianach lała się woda. Więzień był karany zależnie od przewinienia trzema, pięcioma, dziesięcioma nocami, które musiał przebyć w bunkrze, a w dzień iść do pracy. Pamiętam, że *Lagerführer* Aumeier skazał pięciu więźniów na sześć tygodni *Stehzelle*. Czterech z nich zmarło, tylko jeden odcierpiał karę. Nie wolno było rozłożyć sobie kary dowolnie, lecz musiało się ją odcierpieć w jednym terminie.

Jeżeli zaszedł wypadek, że więźnia z miejsca chciano odosobnić i ukarać, zamykano go do bunkra. Bunkier była to mała cela, w której był jeden koc i gdzie więzień mógł się położyć,

zależnie jednak od ilości umieszczonych tam osób. W marcu 1942 r. zamknięto do bunkra całe komando *Feldmesserów* ponad 40 osób w jednej maleńkiej celi. Skutek był taki, że w nocy zmarło wskutek uduszenia 32 więźniów. Między nimi zginął Józik Grabowski kolega z naszego transportu. Zginęli oni za to, że od cywilnej ludności dostali odrobinę chleba.

Do lżejszych kar należała praca w niedzielę, tzw. *Sonntagsstrafarbeit*. Polegała na tym, że więzień musiał iść przez kilka niedziel do pracy. Do kar mniej oficjalnych stosowanych dorywczo należała tzw. *Blocksperr*e lub *Lagersperr*e. W pierwszym wypadku nie wolno było wychodzić z bloku, a przy *Lagersperr*e wszyscy więźniowie musieli pozostać na blokach.

## APELE

Jednym z bardzo przykrych obowiązków więźnia było stanie na apelu. W 1940 i 1941 r. mieliśmy trzy apele w ciągu dnia, w 1942 i 1943 r. mieliśmy ich dwa, tj. rano i wieczorem, a w 1944 r. mieliśmy tylko jeden apel wieczorem. Apel był dlatego przykry, że musieliśmy stać na polu bez względu na stan pogody i zimna. W czasie największej ulewy i najsilniejszego mrozu musieliśmy stać tak długo, dopóki nie uzgodniono stanu faktycznego ze stanem liczbowym książkowym. Jeżeli ktoś uciekł, schował się i zasnął, często utopił się w kanale lub gdzieś w ustronnym miejscu powiesił się, staliśmy tak długo, dopóki nie uzgodniono kogo [nie ma] i dlaczego dany więzień jest nieobecny. Normalnie staliśmy ok. 20 min, a jeżeli apel się nie zgadzał, staliśmy nie raz jedną godzinę, dwie, trzy, a nawet mieliśmy dwa apele, które przeszły do historii ciężkich przeżyć więźnia.

Pierwszy z nich odbył się dnia 7 lipca 1940 r., o którym opowiadali mi koledzy, gdyż nie było mnie jeszcze wówczas w obozie. Apel ten był jednym z wielkich morderczych wyczynów ówczesnego *Lagerführera* Fritzscha. W dniu tym uciekł z obozu, jak się później okazało kanałem, niejaki Wiejowski z Kołaczy (pow. Jasło). Wieczorny apel zatem nie zgadzał się. Po ustaleniu, kogo brakuje, zaczęły się poszukiwania po całym obozie za nieobecnym. Czynili to blokowi, różni kapo i izbowi. Fritzsch wydał zarządzenie, że więźniowie będą tak długo stać, dopóki brakującego więźnia żywego lub zmarłego nie odstawią. Więźniowie stali tak bez przerwy od piątku wieczór do niedzieli do godz. 15.00. Nadmienić muszę, że więźniowie byli jedynie tylko w koszulach, gdyż wyszli do pracy, a większość z nich była nawet bez obuwia. W czasie stania nie wolno było opuszczać szeregów, siadać, klęczeć lub dowolnie zmieniać postawy. Potrzeby fizjologiczne załatwiano w spodnie. Stanie urozmaicano od czasu do

czasu staniem w przysiadzie i trzymaniem rąk podniesionych do góry. Noc była niezwykle zimna. W nocy robiono śledztwo z więźniami, którzy razem z Wiejowskim mieszkali lub pracowali. Od czasu do czasu słyhać było jęk badanych, których biciem zmuszano do zeznań. Po niezwykle zimnej nocy nastął upalny dzień. Z powodu wyczerpania więźniowie upadali, których biciem zmuszano do wstawania. Obok placu apelowego stali w blokach SS-mani, którzy przez okna obserwowali więźniów i od czasu do czasu wypadali i bili upatrzonych, tych, którzy nie stali przepisowo. Następną noc także jest chłodna i porywa nowe ofiary. W niedzielę rankiem leży na placu apelowym moc trupów i omdlałych. W skutek interwencji lekarza obozowego, Fritzscha cofnął swe zarządzenie i więźniów rozpuszczono na bloki. Jako pokłosie tego niezwykle wyczynu Fritzscha zebrano z placu apelowego zmarłych i osłabionych ponad sto osób. Nadmienić wypada, że stan całego obozu wynosił wówczas ok. 1500 więźniów, był to więc odsetek niezwykle wysoki.

Drugi taki apel przeżyłem osobiście w listopadzie 1940 r., również z powodu ucieczki. Staliśmy w czasie zawieruchy śnieżnej z deszczem od południa do godz. 21.00, a więc około dziewięciu godzin, ubrani jedynie w drelichy bez czapek, bez płaszczy, bez swetrów. Więźniowie ginęli z przemarznięcia. Ze względu na dokuczliwe zimno SS-mani pochowali się po blokach, więc mieliśmy więcej swobody i różnymi ruchami gimnastycznymi podtrzymywaliśmy temperaturę ciała. Po apelu zebrano ponad 120 zmarłych, zemdlonych i chorych.

Biada temu więźniowi, który spóźnił się na apel. Ten nie dochodził żywy na plac apelowy, gdyż po drodze zabito go i przynoszono trupa. Więźniowie kryli się przed pracą i zimnem po różnych dziurach i tam często z osłabienia zasypiali. Razu jednego po dwugodzinnym szukaniu znaleziono więźnia w trumnie, które leżały obok szpitala i służyły do przenoszenia zmarłych do krematorium. Położył się biedaczysko i zasnął, nie przeczuwając, że w parę godzin będzie w niej leżał, ale już jako nieboszczyk, snem wiecznym. Zabili go, zanim przynieśli na plac apelowy.

## UCIECZKI

Mimo niezwykle drakońskich metod stosowanych, tak do uciekinierów, jak i do pozostałych więźniów w obozie, ucieczki powtarzały się na ogół dość często. Na długi przeraźliwy ryk syreny, oznajmiający ucieczkę, drżeliśmy z przerażenia. Dziwnym zbiegiem okoliczności ucieczki powtarzały się najczęściej we wtorki i doszło już do tego, że dzień ten był dla nas dniem feralnym.



Aby odstraszyć więźniów od ucieczek, nasi ciemężyciele wymyślali najrozmaitsze okrucieństwa do tego stopnia, że w naszej opinii więźniów uciekał z obozu szalenie. Niestety chęć użycia swobody i wolności brały górę nad wszystkim.

Początkowo po ucieczce gnębili nas staniem na placu apelowym, co pochłaniało dziesiątki ofiar ludzkich, następnie w latach 1941 i 1942 r. wybierano z tego bloku lub komanda, w którym mieszkał lub pracował uciekinier, 12 lub 15 więźniów, których zamykano do bunkra. Byli oni tak długo zamknięci, dopóki uciekiniera nie znaleziono. Oczywiście zdarzało się bardzo rzadko, więc ci ludzie ginęli z głodu lub ich rozstrzeliwano z innymi skazańcami.

Niezależnie od tego ogłosili nam, że jeżeli który więzień ucieknie, zastosują najostrzejsze kary wobec jego rodziny. Zastrzelą ojca, matkę, braci i siostry, a nawet ich sąsiadów. Niestety i to nie skutkowało. Ten, który uciekł, ryzykował wszystko. Niezwykła była ucieczka czterech więźniów w czasie Zielonych Świątek w 1942 r. Trzech przebrało się za oficerów, a czwartego skuto kajdanami niby groźnego przestępcę i luksusowym samochodem komendanta obozu w dzień z garażu TWL [*Truppenwirtschaftslagers*] wyjechali z obozu. Samochód zniszczyli i porzucili w rowie w odległości 80 km od obozu.

Z Warszawy nadesłali list do *Lagerkommandanta*, w którym przepaszali, że pozbawili go samochodu, ale piechotą nie wypadało im opuszczać obozu. Znałem ich wszystkich, ale tylko jednego z nich pamiętam nazwisko, był nim Władysław Bendera.

Straszne były skutki ucieczki z Brzezinki z SK zorganizowanej przez więźniów. Ucieczkę tę dokładnie opisuje kolega Kret w swym liście. Zginęło wówczas kilku gorliczan, a mianowicie: harcmistrz Edmund Chrzęścik, doskonały organizator i działacz harcerski, zginął Michał Lech, Władysław Smędowski, leśny z Siar, oraz Białoń z Libuszy.

Pełną fantazji była ucieczka czterech więźniów prominentów, między którymi był niezwykle ceniony i lubiany Niemiec *Arbeitsdienst* Otto Kussel [Küsel]. Wraz z nim uciekli Mietek Januszewski również *Arbeitsdienst*, dentysta Kuczbara i Banaś. Przejechali oni przez *Postenkette* wozem naładowanym starymi szafami, które rzekomo wieźli do obozu w Brzezince. Jako komendant prowadził ich Kuczbara, przebrany za SS-mana. Żołnierz stojący na bramie znał doskonale Otta [Ottona], więc nie pytał o przepustkę. Odjechali do wsi Budy – gdzie w stodole pozostawili konie, a sami zwiali. Niestety w rok później złapano Kuczbarę i Ottona w Warszawie w kawiarni w czasie obławy. Kuczbara bronił się, strzelając

z rewolweru, ubezwładniono go jednak podejściem od tyłu i w więzieniu rozstrzelano. Ottona Küsela przywieziono do Oświęcimia po raz drugi i osadzono w bunkrze. Wstydził się swych rodaków za ich morderstwa i powiedział, że jest „volksdeutschem Polskim”.

Ucieczki Polaków z obozu Oświęcimskiego były prawie zawsze udane. Były one zwyczajnie doskonale opracowane i odbywały się przy pomocy SS-manów, których przekupywano złotem, brylantami lub drogimi kamieniami. W 1943 r. ucieczka więźnia kosztowała 500 dolarów amerykańskich. Za to można było otrzymać dowód osobisty i być przeprowadzonym przez *Postenkette*. Kiedy pracowałem w DAW, miałem propozycję ucieczki ze strony jednego SS-mana. Podziękowałem, nie mogłem narażać rodziny i kolegów na śmierć.

Cudownie ocalonym może się nazwać jeden z kolegów z Brzezinki, który pracując jako tzw. kalifaktor na *Blockführerstubie*, przyszedł wcześniej niż zwykle, by zrobić w izbie porządku. Wtem dzwonek telefoniczny i chwycił za słuchawkę... To telefon z obozu z Oświęcimia. Wiedział ów kolega, co znaczy taki telefon i podyktowane numery. Wzywano tych więźniów, którzy dziś mają być straceni i doprowadzeni z Brzezinki do Oświęcimia. Tego rodzaju telefony odbierał często. Bierze ołówek i pisze dyktowane mu wolno i dobitnie numery. Wypisał już cztery, wtem – „O Jezu! Mój numer!”. Chce napisać, ale ołówek nie utrzymał w ręku, członki straciły władzę. I on dziś będzie rozstrzelany wraz z nimi! Tak spodziewał się tego! Miał na sumieniu ciężkie obciążenie. Nie upada jednak na duchu, nie łamie się. Zrzuca z nóg płytkie buty i ubiera buty SS-mana, z cholewami. Zakłada na swe pasiaste ubranie płaszcz SS – przepasuje pasem, siada na rower i jako żołnierz przejeżdża przez *Postenkette* i ucieka... Szczęść Ci Boże młody chłopcze!

Niezwykle brawurowa, wprost bohaterska była ucieczka z Brzezinki kolegów Romana Cieliczki i Jurka Wesołowskiego. Plan ich ucieczki został zdradzony i *Lagerältester* ze szpitala, gdzie pracowali jako sanitariusze, dostał polecenie przyprowadzenia ich na *Blockführerstubę*. Ze względu na zbliżający się apel wieczorny w *Lagerältester* miał inne czynności, więc obu zamknął na klucz w izbie, w której mieszkali z tym że po apelu załatwił się z nimi. Chłopcy przeczuwali, dlaczego ich zamykają. Nie mając ani chwili do stracenia, zabierają ze sobą potrzebne rzeczy, a Romek ubiera na ręce długie gumowe rękawice, bierze do rąk nożyce do cięcia drutów, wyskakują przez okno i biegną wprost na druty okalające obóz. Na drutach paliło się już światło i przez wszystkie przebiega prąd elektryczny o wysokim napięciu. Romek jednak izolowany gumowymi rękawicami z nieludzką

siłą i niebywałą techniką przecina je. Światło gaśnie. Zanim straż zorientowała się, ci już przecinają druty na drugim ogrodzeniu. Zaczynają do nich strzelać z dwu sąsiednich budek strażniczych. Wśród gradu kul dopadają do trzeciego ogrodzenia i przecinając je, uciekają dalej. Sprzyjał im zbliżający się zmrok, nie dosięgała ich żadna kula. Uciekli. W całym obozie wśród SS-manów i komendantury [zapanowała] wielka konsternacja. Z powodu przecięcia przewodów pogasły w całym obozie światła, a wtem taka kanonada. Nic innego tylko bunt. *Lagerführer* zbiera kompanię SS-manów i uzbrojeni w granaty ruszają do obozu. Tu dowiadują się o brawurowej ucieczce. Nie pomogły całonocne poszukiwania SS-manów, którzy w towarzystwie zgrai psów policyjnych tropili uciekinierów. Chłopcy skorzystali z tego zamieszania w obozie, odeszli daleko i udało im się zbiec.

31 grudnia 1942 zbiegło z obozu czterech kolegów pracujących w kuchni SS. Byli to bracia Kluzowie z Łańcuta oraz dwaj ich koledzy, których nazwisk nie pamiętam. W owym czasie za ucieczkę już nas nie karano i zdawało się, że z tego tytułu nie wyciągają żadnych konsekwencji tak w stosunku do nas, jak i rodzin. Okazało się jednak, że to nieprawda. Niemcy zaczęli stosować inne metody. I tak w marcu 1943 r. sprowadzili do obozu ojca i matkę obu braci i postawili ich na widok publiczny w obozie, obok wielkiej tablicy z napisem: „Oto są rodzice braci Kluzów, którzy zbiegli z obozu. Będą oni tak długo zamknięci w obozie, dopóki uciekinierzy sami się nie zgłoszą lub ich nie złapią”. Do takich drakońskich metod uciekała się nasza władza, aby odstraszyć więźniów od ucieczki. Trzykrotnie mieliśmy tego rodzaju wystawę w obozie. Raz stał ojciec za syna, a raz stały matka z narzeczoną. Mimo i tego środka liczba ucieczek się nie zmniejszała. Ucieka najwięcej Polaków, obywateli radzieckich, a czasem uciekają i Żydzi. Tych jednak najczęściej wyłapują, odprowadzają do obozu i bezwzględnie wieszają.

Z powodu coraz częstszych ucieczek władze obozowe postanowiły wywieźć wszystkich Polaków i Rosjan w głąb Niemiec do innych obozów. Przed tego rodzaju wyjazdem broniliśmy się, jak tylko mogliśmy, bo więzień przybywający do innego obozu był traktowany jak nowicjusz, zabierano mu wszystko i przydzielany był do najcięższych prac. Władze obozowe uprawiały politykę ustawicznego przesiedlania więźniów z jednego obozu do drugiego, utrzymując, że więzień przebywający długo w jednym obozie wyrabia sobie stosunki i jest trudny do wykończenia.

Brawurowy był czyn członków AK, którzy w przebraniu oficerów niemieckich udali się do obozu w Brzezince, zażądali wydania kilku więźniów, których numery doskonale znali

i których pod pozorem wywiezienia mieli zabrać z obozu. Władze obozowe nie połapały się i ten sposób kilku kolegów znalazło się na wolności. Raz uciekło kilku kolegów w ubraniach SS-manów i przechodząc koło wsi Budy, zażądali służbowo wydania dwóch kolegów tam pracujących. *Komandoführerzy* nie połapali się i wszyscy zwiali szczęśliwie.

W listopadzie 1944 r. siedmiu więźniów zaplanowało ucieczkę na dużą skalę. Opłacili oni SS-maną, szofera *volksdeutscha* narodowości rumuńskiej, który miał ich wywieźć w pakach poza *Postenkette*. Potworny zdrajca zamiast wywieźć ich za druty, oddał ich w ręce władzy obozowej. Siedmiu młodych chłopców, zabitych i skatowanych, zamiast na wolności, znalazło się w bunkrze. Dwóch z nich, a mianowicie Czesiu Dużel i Zbyszek Reinoch, artysta rzeźbiarz, obaj z Krakowa, otruli się w więzieniu, a pięciu skazano na karę śmierci przez powieszenie. Szubienice poczęto budować 29 grudnia 1944 r. i z niewiadomych powodów przed apelem na oczach nas wszystkich ją rozebrano. Sądziliśmy, że skazańcy zostali ułaskawieni. Tymczasem na drugi dzień, tuż przed apelem postawiono ją powtórnie i przystąpiono do egzekucji. Na oczach całego obozu *Rapportführer* Kaduk wyprowadził straceńców z bunkra i bijąc ich drągiem, biegiem ustawił przed szubienicą. Gdy ówczesny *Lagerführer* Hessler [Hössler] odczytywał im wyrok śmierci, Bernard Świerczyzna krzyknął na cały głos: „Niech żyje Polska! Niech żyją nasze rodziny!”. Powtórzył to samo krakowianin Piotr Piąty i rozległo się po raz drugi i trzeci: „Niech żyje! Niech żyje Polska!!!”. Porwani okrzykiem trzech pozostali skazańcy, którymi byli Niemcy zaczęli wołać: „Nieder mit braunem Terror!!! Nieder mit dem Hitlermorder!!! Es lebe Stalin!!! Es lebe Kommunismus!”.

Skoczył między nich bydle Kaduk i ręką rewolweru bije skazańców po głowie. Hössler ponagla oprawców, którymi byli do tego celu wyznaczeni Żydzi, aby jak najprędzej wykonali wyrok. Skazańcy bronią się. Na cały obóz rozlega się donośnie: „Niech żyje! Nieder! Nieder...! Es lebe...!”. Już wisieli skazańcy, a jeszcze z ich ust wydobywał się już niezrozumiały głos...

Był to głos pomsty wołającej do nieba...!

Zawisło na szubienicy pięć ofiar nacjonalizmu hitlerowskiego, pięciu ideowców. Z głów tylko spływała im krew, co było dziełem potwora Kaduka. Ci trzech Niemcy nazywali się: Ludwig Vesely, Ernst Burger, Heinz Frymel [Rudolf Friemel].

Ów Friemel ożenił się przed pół rokiem jako więzień. Jego żoną była piękna brunetka, Hiszpanka. Był to jeden jedyny wypadek, aby więzień zamknięty w obozie się zenił. W dzień ślubu wydano

mu jego cywilne ubranie i pod strażą odprowadzono przyszłych małżonków do urzędu w mieście Oświęcimiu. Po ślubie przyprowadzono młodą parę do obozu i umieszczono ich w apartamentach bloku 24., tam gdzie mieściły się pokoje najordynarniejszego, jaki może istnieć na świecie, domu rozpusty. Bogdanki z owego domu dzień przed tym usunięto. Młoda para pozostała tam do następnego dnia. Małżonkę opuszczającą męża, a zarazem i obóz, żegnali więźniowie owacyjnie. Krótko żyli ze sobą małżonkowie. Po 24-godzinnym pożyciu rozłączył ich obóz, a w niespełna pół roku tragiczna śmierć rozerwała na zawsze ów niezwykle związek małżeński.

Z końcem listopada, kiedy w obozie była już garstka Polaków, zwiato znowu czterech więźniów. Piwiorotto z Rzeszowa, Władysław Kokoszyński i dwu ostatnich nazwisk nie pamiętam.

Ogółem od początku istnienia obozu w Oświęcimiu uciekło ponad 400 więźniów, z czego ok. 180 złapano, a reszta używała złotej wolności.

## EGZEKUCJE

Straszne były dla nas egzekucje zwane po obozowemu „rozwałkami”. W 1940 i 1941 r. zabierano skazańców rano z bloku i po sprawdzeniu ich personaliów przenoszono na blok 11. Wieczorem przed apelem wprowadzano ich do ogromnego dołu, gdzie kopano piasek i szuter do tzw. *Kiesgrube*. W około dołu na brzegach ustawiali się SS-mani i na komendę oddawali salwę do skazańców. Po takiej salwie słyszeliśmy już tylko pojedyncze strzały. To ówczesny *Rapportführer* Palitzsch dobijał z rewolweru tych, którzy jeszcze żyli. Egzekucje takie odbywały się kilka razy w tygodniu w większej lub mniejszej masie. Zazwyczaj z okazji uroczystości narodowych, jak święto 3 Maja, 11 Listopada, a nawet 29 Czerwca z okazji imienin gen. Władysława Sikorskiego, tracono po kilkudziesięciu Polaków. Jak się później przekonałem z dokumentów, prawie wszystkie egzekucje odbywały się na rozkaz i na polecenie gestapo. Wyroki śmierci dyktowali, ówczesny szef Oddziału Politycznego Grabner, i pomocni mu byli Woźnica [Wosnitza], Lachmann i Boger. Tych czterech morderców pławiło się we krwi niewinnych skazańców. O tym, że działali ci zbrodniarze na własną rękę, zaświadczy fakt, że więźniów przez nich straconych w latach 1940 – luty 1942, wpisywano do ewidencji jako tzw. *Überstellt*, a nie *Gestorben*. *Überstellt* oznaczało przeniesienie więźnia do innego obozu. Taką adnotację otrzymywali wszyscy straceni w tym czasie w księdze głównej i w kartotece. Nawet do Berlina wysyłano raporty tej samej treści.

W sierpniu 1941 r. zebrano w Oświęcimiu wszystkich inwalidów, a więc ludzi ułomnych, bez rąk i nóg, chorych chronicznie, gruźlików itp. Pod pozorem wysłania ich do innego obozu, celem wyleczenia ich i użycia do lżejszej pracy. Do tego transportu zgłosiło się dość dużo ludzi, nawet zdrowych, łudząc się, że będą lżej pracować. Wyjechało od nas z obozu 300 więźniów, między którymi był jeden gorliczanin z mego transportu Józef Węgrzyński, chory wówczas na zapalenie nerek; jak dowiedzieliśmy się później, wywieziono ich do Drezna, gdzie ich zagazowano.

Ze względu na to, że egzekucje wykonywano w dołach i [robiła to] duża grupa SS-manów, były one za głośne i szeroko komentowane przez radio zagraniczne, postanowili ci mordercy działać skrycie. Od września czy też października 1941 r. mordowano skazańców już tylko na podwórzu bloku 11. i to nie z broni palnej, lecz z pistoletu iglicowego, jakiego używali w rzeźni do bicia bydła. Na rozkaz skazańcy musieli się rozebrać do naga na korytarzu i oczekiwać do chwili wyczytania ich numerów. Do wyczytanego skazańca podchodził niejaki Jakub, chwycił jednego, a czasami dwóch lub nawet czterech i wyprowadzał na podwórze. Tu strzelał skazańcom w tył głowy każdorazowy *Rapportführer* lub jego zastępca. Pistoletu iglicowego używano zaledwie z pół roku, gdyż często się psuł i oddawano go do reperacji warsztatom ślusarskim. Pracując obok w stolarni, miałem sposobność oglądać to narzędzie zbrodni. W czasach późniejszych i do ostatnich dni Oświęcimia wykonywano egzekucje już tylko z broni palnej, z flobertu szortami. Na bloku 11. wykonywano je do października 1944 r., a potem skazańców tracono już tylko i wyłącznie w Brzezince, dokąd wywożono ich od nas karetką więzienną. Tego rodzaju karetki więzienne były bardzo szczelne i miały urządzenie do gazowania ludzi zamkniętych w karetkce. Urządzenie do gazowania wykonywano w warsztatach samochodowych *Fahrbereitschaft-Kommando*.

Ów Jakub, pomocnik egzekucyjny, zwał się Kozielczyk lub Kozolczyk, Żyd analfabeta, o niezwykłej sile. Jeżeli skazaniec opierał się przed egzekucją, to wówczas chwycony w szpony Jakuba nie mógł nawet myśleć o oporze, gdyż ten momentalnie łamał mu ręce lub wykręcał stawy. O tym, że Jakub był silny, świadczy fakt, iż był trenerem Schmerlinga [Schmelinga], owego boksera światowej sławy. Jak z jednej strony ów Jakub był nieubłagalny w stosunku do skazańca, tak z drugiej strony czynił bardzo wiele dobrego dla kolegów siedzących w bunkrach na bloku 11. Przez Jakuba można im było podać chleb, papierosy lub gryps. Blok 11. był zawsze pilnie strzeżony przez służbę SS-manów dzień i noc tak, iż były ogromne trudności kontaktowania się z kolegami tam siedzącymi. Jedynie przez Jakuba można się było z nimi

porozumieć. Jakub urzędował na bloku 11. aż do ostatnich dni Oświęcimia. Opowiadają, że więźniarką zabrano go do Wrocławia i po drodze zagazowano. Jakub przeczuwał śmierć, bo jak mówił: za dużo widział, ale mówił, że siłą go nie wezmą, chyba tylko podstępem.

Wszelkiego rodzaju egzekucje były dwojakiego rodzaju, a mianowicie: urzędowe, zatwierdzone przez Berlin, i nieoficjalne, robione na własną rękę za wyrokiem gestapo lub też władz obozowych. Jakiego rodzaju była egzekucja wiedzieliśmy najdokładniej, gdyż listę osób straconych za wyrokiem Berlina robiła kancelaria obozowa, a straceni nieoficjalnie, na własną rękę, byli umieszczani na liście zmarłych naturalną śmiercią w szpitalu. Spisywano fałszywe meldunki śmierci, w których wymyślano najrozmaitsze choroby jako bezpośrednią przyczynę śmierci. Pamiętam, że w meldunku Smędowskiego z Siar, który został zagazowany, podano chorobę skręt kiszek jako przyczynę śmierci. Jak informowała mnie obecnie wdowa, taki sam meldunek przysłano do gestapo gorlickiego, które wezwało ją do podpisu, jako potwierdzenia tego zawiadomienia. Tego rodzaju fałszerstwa uprawiano przez cały czas istnienia obozu Oświęcimskiego.

W ostatnich dniach, kiedy już ziemia paliła się Niemcom pod nogami, wynikły wielkie nieporozumienia między naczelnym lekarzem obozowym a komendą obozu, gdyż lekarz nie chciał robić takich fałszywych meldunków. O tym, że tego rodzaju fałszerstwa istniały, zaświadczy jeszcze fakt, że w sprawozdaniach miesięcznych do Berlina podawano jedynie egzekucje urzędowe, a reszta zamordowanych figurowała w rubryce zmarłych śmiercią naturalną lub też – jak to już powyżej zaznaczyłem – *Überstellt*. Stosunek ilościowy tych egzekucji był jeden do tysiąca, to znaczy jeden umierał urzędowo, a tysiąc ginęło skrycie. Morderstw tych dokonywano nie tylko na więźniach wrogich sobie narodowości, ale także zabijali własnych rodaków. Tak zginęli bez wyroku na polecenie Grabnera blokowy z 22a nazwiskiem Reinhold, magazynier z DAW Walter (nazwiska nie pamiętam) oraz kapo ze stolarni, którego również nazwiska nie pamiętam. Czy nie tak było panie *Rapportschreiberze* Hermannie Diestel? Czy pamiętasz, jak zabrałeś mi czerwony atrament i tajemniczo, abym nie widział, zaznaczyłeś tym ludziom w księdze głównej, że zmarli.

Jesienią 1941 r. zostali rozstrzelani oficerowie rezerwy z Krakowa, którzy jako zakładnicy zostali przywiezieni do obozu. Zginął wówczas gorliczanin por. Drzewicki, inż. Wielgus, syn wiceprezydenta miasta Krakowa. W księgach napisano im *Überstellt*.

Niezwykłe przygnębienie opanowało nas, gdy w lecie 1942 r. wyczytano z naszego grona nazwisko Tęпки, adwokata z Krakowa, inż. Szczepaniaka, również z Krakowa, którzy więcej do nas nie wrócili. Zastrzelili ich.

Strasznie podziałała na nas wieść, gdy w lutym 1943 r. zamordowano przy użyciu szpili dwa transporty chłopców poniżej 16. lat. Przysłano ich z Brzezinki raz w liczbie 96, a w tydzień później 85.

Niesłychanej zbrodni dopuściły się władze obozowe, gdy 6 stycznia 1943 r. zebrali więźniów z czterech komand, a mianowicie: *Effektenkammer*, *Bekleidungskammer*, *Erkennungsdienst* i *Entwesungskammer*, ogółem ponad 400 ludzi. Podzielili ich na trzy grupy, z których jedną trzecią, ok. 150, zupełnie niewinnych kolegów zastrzelili. Z pozostałych dwóch trzecich, jedną część złożoną z Niemców i volksdeutschów zwolniono, a resztę rozstrzelano w następnych dniach. Jako powód tego masowego stracenia podano, że więźniowie ci mieli rzekomo duże ilości złota, pieniędzy i różnych kosztowności „zorganizowanych” (otrzymanych) od nowo przybyłych do obozu transportów żydowskich.

Niezwykłe tragiczny dzień przeżyliśmy 19 lipca 1943 r. W dniu tym stracono przez powieszenie 12 Polaków za to, iż z ich komanda *Feldmesserów* uciekło trzech więźniów, skorzystawszy z tego, że ich konwojenci się popili. Komendant obozu przesłał do Berlina fałszywe doniesienie tej treści, że więźniowie zatruli wódką swych SS-manów i korzystając z ich nieprzytomności, zbiegli. Straciło życie wówczas 30 więźniów, gdyż 18 rozstrzelali na bloku 11., a 12, jak to zaznaczyłem, oficjalnie powiesili. Zginęli wówczas przeważnie inżynierowie. Zginął kwiat inteligencji polskiej. Nazwiska niektórych kolegów pamiętam: Jan Wójtowicz z Nowego Sącza, Skrzetuski z Poznania, Tadeusz Kokesz z Jasła, Spławiński. Egzekucji dokonano na oczach wszystkich więźniów w czasie apelu wieczornego, pod kierunkiem ówczesnego *Lagerführera* Aumeiera. Odczytał on skazańcom wyrok śmierci, spowodowany, jak to już zaznaczyłem, fałszywym doniesieniem.

Władze obozowe nie mogły niczego ukryć przed nami, gdyż wszędzie pracowali więźniowie i znali najdokładniej wszelkie ich zarządzenia.

Nad głową więźnia stale wisiał miecz Damoklesa w postaci coraz częstszych rozstrzeliwań zupełnie bez winy. Wyszukiwano po blokach inteligencję polską, zamykano do bunkra na bloku 11. i tracono. Taką śmiercią zginęli jesienią 1943 r. Woźniakowski, adwokat z Krakowa,



dyplomowany płk Dziama z Warszawy, por. Lisiwski, ogólnie ceniony i lubiany Mosdorf, organizator młodzieży w Warszawie 20-letni margrabia Potocki z Warszawy (z tytułu swego urodzenia), właściciel ziemski z Wileńszczyzny Kozioł-Poklewski. Zastrzelono wówczas ponad 60 Polaków, przeważnie ludzi zajmujących wybitne stanowiska.

W okresie tym nasilenie gazowania Żydów było największe. Wszystkie krematoria dymiły dzień i noc, a gdy te nie nadążyły w paleniu zwłok, kopano długie rowy i w nich palono zwłoki. Wielka łuna palących się na wolnym powietrzu ciał oraz nie do zniesienia duszący i gryzący dym wołały o pomstę do nieba. Czymże były wobec tego najazdy Hunów na Europę, czymże były najazdy Tatarów i jasyr, w porównaniu z tymi strasznymi zbrodniami.

### SDG KLEHR MORDUJE SZPIŁĄ

Oprócz egzekucji, które powyżej opisywałem, a które z najdrobniejszymi szczegółami znali wszyscy więźniowie, odbywały się jeszcze w obozie inne ciche egzekucje, znane jedynie niektórym kolegom, pracującym w szpitalu. Było to zabijanie ludzi za pomocą tzw. szpili. Po raz pierwszy użyto jej z końcem 1941 r. Za pomocą owej szpili mordował *Sanitätsdienstgehilfe* (SDG), którym był przez cały czas niejaki Klehr, pomagali mu byli więźniowie: Mieczysław Pańszczyk nr 607, Jerzy Szymkowiak zwany „Perełką” lub „Arabem z Legii Cudzoziemskiej”, lekarz francuski doktor medycyny Landau. Skazańców na śmierć przez zastrzyk otrzymywał Klehr z dwóch źródeł. Jednym – byli ludzie chorzy, których SDG wybierał sobie dowolnie w szpitalu. Jedno niesympatyczne spojrzenie, zły wygląd, wysoka temperatura, wystarczyły, by Klehr na danego osobnika wydał wyrok śmierci. Więźniowie, którzy go znali i jego morderstwa, na wieść, że Klehr chodzi po salach, uciekali z łóżek i kryli się, aby przypadkiem nie wpaść w jego ręce. Zapisani przez niego osobnicy byli przymusowo dostarczani do jego kancelarii, najczęściej w niedzielę od godz. 12.00 do 15.00, gdzie otrzymywali zastrzyk na drogę wieczności.

Drugie źródło materiału do szpili otrzymywał Klehr przy przyjęciu do szpitala. Każdy chory miał postawioną diagnozę przez lekarza dyżurnego, proponującego przyjęcie danego chorego do szpitala. Owe karty przyjęć wraz z ustaloną diagnozą otrzymywał lekarz niemiecki *Obersturmführer* Entress. Ów lekarz, mając przed oczyma osobnika z ustaloną diagnozą, skierowywał go na odpowiedni oddział, zależnie od rodzaju choroby. Gruźlików, chorych na syfilis, muzułmanów Entress skierowywał na blok 20. Ludzi tych kąpano pod tuszem, a następnie wprowadzano do małej, ciepłutkiej poczekalni, gdzie oczekiwali na przybycie

Klehra. Urzędował on w osobnym pokoju, na którego drzwiach widniał napis: „Laboratorium nur für Lagerarzt. Eintritt streng verboten”. Za drzwiami tego pokoju wisiła ciężka kotara, która rozsuwała się na boki. Każdy jej ruch słyszeli więźniowie po charakterystycznym jej szeleście i zgrzycie kółeczek metalowych po żelaznym pręcie. Za ową kotarę wprowadzano po czterech więźniów, przeznaczonych do zaszpilowania. Wyczytany numer siadał na krześle, a pomagający mu oprawca, którym był jeden z wyżej wyszczególnionych więźniów, zakładał biedakowi ręce w tył za poręcz krzesła, a drugą ręką chwycił go mocno pod brodę i skręcał głowę w tył. W tej chwili Klehr, palcami idąc od obojczyka w dół, wyczuwał żebra i między piąte a szóste wbijał w serce szpilę. Szpila była długa, [miała] około dziesięć centymetrów, a w ampułce zmieściło się do 20 cm<sup>3</sup> płynu, którym był zazwyczaj kwas karbolowy lub różne związki benzynowe. Po zastrzyku denat miał tyle siły, że wstał z krzesła, głowy jednak już nie wyprostował i w tym stanie oprawca odprowadzał go do tzw. *Wachsraum*, gdzie rzucał już martwego na stos trupów. Inni towarzysze, będący za kotarą, widzieli sposób dawania owego „kuracyjnego” zastrzyku, lecz zwyczajnie nie zdawali sobie sprawy, że jest to zastrzyk zabójczy, więc też nie reagowali. Zresztą chory, zgorączkowany, nie może zdobyć się na tak wielki wysiłek, aby zareagować, tym bardziej że chorzy najczęściej woleli zginąć, aniżeli żyć w tych strasznych warunkach obozowych.

Razu jednego zdarzył się przykry dla Klehra wypadek. Denat otrzymał szpilę, ale poza serce, i rzucony do umywalni zaczął krzyczeć. Usłyszawszy to Klehr, wybiegł z laboratorium z szpilą w ręce i przemocą chciał mu dać drugi zastrzyk. Przy szamotaniu się denat odrzucił rękę oprawcy z taką siłą, że szpryca wyleciała mu z ręki i wbiła się w przedramię koledze Misztalowi Kostkowi, który będąc sanitariuszem na bloku, wbiegł z innymi do umywalni zainteresowany niezwykle krzykiem. Po krótkim czasie koledze Misztalowi zaczęła puchnąć ręka i bardzo boleć, mimo że Klehr momentalnie zastosował zastrzyk działający jako odczynnik.

Więzień Mieczysław Pańszczyk rozpoczął swoją karierę ze szpilą, robiąc śmiertelne zastrzyki Żydom, których szpilował z całą przyjemnością, nie kryjąc się z tym. W 1943 r., jak to już opisałem w innym miejscu, zaszpilował ok. 200 chłopców poniżej 16 lat. Za te czyny jego koledzy odwrócili się od niego, nie podawali mu ręki i bojkotowali go. Bolało go to tak bardzo, że zgłosił się dobrowolnie na transport i wyjechał do Neuengamu [Neuengamme], gdzie w drodze zabili go jego koledzy, znając jego sprawki.

Pańszczyk, jak sam opowiadał, był znajdą wychowanym na ulicy, a że był ładnym dzieckiem, to ulica zwała go „Paniczyk”, z czego powstało „Pańszczyk”.

Podobny los spotkał więźnia Jerzego „Perełkę”. Został on wywieziony do sąsiedniego obozu w Brzezince, gdzie najbliżsi koledzy zabili go kijami. Lekarz francuski Landau wyjechał z transportem do niewiadomego mi obozu. Koledzy, którzy pracowali w szpitalu, obliczają, że Klehr zaszpilował osobiście kilkadziesiąt tysięcy więźniów.

Klehr urzędował nie tylko w szpitalu, ale dwukrotnie wybierał sobie ofiary spośród więźniów całego obozu. Odbywało się w ten sposób, że blokami wchodziliśmy rozebrani do naga do łaźni i tam każdy z nas musiał przedefilować pojedynczo przed tym mordercą. Kto miał większą ranę na ciele, a muszę zaznaczyć, że przy złym odżywianiu, po najmniejszym okaleczeniu robiły się nam flegmony trudne do gojenia, a więc liczba takich chorych była spora. Ci, którzy źle wyglądali lub z niewiadomych powodów nie spodobali się Klehrowi, tych numery były zapisane i na drugi dzień wzywano ich do szpitala, skąd już więcej nie wracali. Klehr mordował ich szpilą.

## KAPUSIOWIE

Wszystkie masowe morderstwa, jakich dopuszczano się na bezbronnych i niewinnych więźniach, odbywały się z polecenia i na rozkaz Oddziału Politycznego, którego szefem był Grabner, a pomocnikami jego: Wosnitza, Lachmann i Boger. Ci, niczym psy gończe, węszyli po obozie i wyszukiwali sobie coraz to nowe ofiary. Na ich usługach stał cały legion konfidentów zwanych po obozowemu kapusiami.

Królem ich był na terenie obozu Ołpiński. Był to znany na terenie Warszawy dziennikarz, renegat i zdrajca ojczyzny, który z powodu konfliktów jeszcze przed wojną uciekł do Berlina, przyjął obywatelstwo niemieckie i był szefem wywiadu. W pierwszych dniach wojny przemawiał przez radio z Berlina, informując mylnie i szkodliwie.

Dzięki jego denuncjacji zginęły w obozie setki więźniów. Był to niezwykle niebezpieczny opryszek, który po mistrzowsku podchodził do swej ofiary, wyciągał od niej zwierzenia, a potem ją denuncjował. Przytoczę kilka takich przykładów. Do kolegi Józefa Skorupy mówi tak: „Współczuję Ci Józiu – masz synów przy wojsku, a ciebie tu męczą w obozie. Jak strasznie niewdzięczny jest ten naród. Albo mnie! Za moje kolosalne dla nich usługi, zamykają w obozie! Wiesz co! Ja planuję ucieczkę. Uciekaj ze mną! Ja mam stosunki wyrobione, nie złapią nas”. Józek znał tego potwora i wymawiając się, odmówił mu zgody. Natomiast do kolegi Antka

Klimczaka, dyrektora szkoły w Porębie Wielkiej (pow. Biała), pracującego w magazynie drzewnym DAW, zwraca się Ołpiński z prośbą o kawałek deski gruszkowej, gdyż chce [z niej] zrobić w prezencie dla jednego SS-mana jakąś rzeźbę. Któżby odmówił tak niewinnej prośbie? Antek jednak znał jego działalność, bardzo grzecznie się wykręcił.

Razu jednego i ja stałbym się jego ofiarą, gdybym nie był poinformowany o działalności tego złoczyńcy. Zwraca się do mnie z żalem, że już od trzech miesięcy nie otrzymuje poczty, więc może bym mu pomógł wysłać list „bokiem” bez cenzury. Znając jednak tę hienę, odmówiłem.

Pewnego dnia opowiada mi mój serdeczny przyjaciel Hieronim Kurczewski z Poznania: „Ale dzisiaj dałem odprawę Ołpińskiemu. Powiedziałem mu prawdę w oczy, kim jest i jakie stanowisko zajmuje w obozie”. Zaznaczyć muszę, że obaj pracowali w kancelarii DAW. Na drugi dzień Kochany „Tierek” (tak nazywaliśmy Kurczewskiego) siedział zamknięty w bunkrze, a w tygodniu został rozstrzelany.

Do grupy kapusiów należało dużo Żydów i tych bardzo trudno było nam wyłowić. Najwięcej kapusiów było między volksdeutschami a nawet z przykrością muszę stwierdzić, że byli i Polacy.

Smutny był koniec tych ludzi. Ołpiński zachorował na tyfus. Koledzy podrzucili na niego wieszak z człowieka chorego na tyfus i tym sposobem zaszczepili mu tę straszną chorobę. Ołpiński bał się iść do szpitala i leżał w swej izbie, ukrywany przez blokowego. Dowiedzieli się o tym więźniowie i donieśli lekarzowi niemieckiemu, że chory na tyfus leży na bloku i roznosi tę straszną chorobę. Na zarządzenie władz sanitarnych został Ołpiński umieszczony w szpitalu na oddziale zakaźnym. Na zarządzenie Oddziału Politycznego został umieszczony w oddzielnym pokoju i oddany pod specjalną opiekę lekarza Władzia Fejkla z uwagą, że za jego życie jest osobiście odpowiedzialny. Władziu zabronił służbie szpitalnej zbliżać się do chorego i otoczył go osobiście specjalną opieką. Dał mu wszystkie lekarstwa, zastrzyki, ale nie dał mu płynów i tym dopomógł, że zdrajca Ołpiński z powodu szalonego pragnienia, jakie występuje przy tyfusie, prędzej wyzionął ducha. Aby być krytym, zażądał Władziu sekcji zwłok, która oczywiście wykazała, że przyczyną śmierci był *Fleckfieber*.

Smutny był koniec i reszty kapusiów.

Pewnego dnia 1944 r. ucieka z obozu kapuś Deresiewicz wraz z jednym Żydem, również kapusiem. Sprawę ucieczki ułożyli bardzo sprytnie. Poszli rzekomo na „robotę” poza obóz. By nie zostali rozpoznani dano im cywilne ubrania, a towarzyszący im gestapowiec, również był

w przebraniu cywilnym. W drodze zamordowali swego konwojenta i sami zwiali. Można sobie wyobrazić, co działo się z naszymi władzami politycznymi. Wściekłą nienawiścią zapalali do wszystkich kapusiów na terenie obozu. Pewnej nocy pozbierano ich wszystkich na terenie obozu, zamknięto w bunkrze i w parę dni z karnym transportem wywieziono do Flossenbürga. Pojechali *Dolmetscher Lachmann*, *Arbeitsdienst Kuk* [?], obaj z Łodzi, Kowalski z Warszawy, kapo Malorny, razem ok. 50, których nazwisk nie pamiętam. Dzięki Ci składam Stanisławie Deresiewiczowi, że swym czynem oczyściłeś nam atmosferę obozową. Od tej chwili oddychaliśmy lżej.

### PUFF

Zamknięcie więźnia w obozie pozbawiało go wolności, przepisy życia obozowego deprawowały jego godność osobistą, brak należytego odżywiania, przy ciężkiej pracy, niszczył mu zdrowie i odbierał życie. Pozostała więźniowi jego czysta i nieskalana dusza. Aby i ją zaatakować, zesłali do obozu zawodowych kryminalistów, zбочeńców seksualnych, którzy zupełnie bezkarnie atakowali młodych chłopców. Znałem takiego zбочeńca Fr. Langekerta z Prus Wschodnich, który niesłychane zgorzenie siał między młodzieżą, atakując ją najbezzwzględniej i nie kryjąc się z tym.

Czasami władze obozowe występowały przeciwko tego rodzaju jednostkom, stosując drakońskie i zwierzęce sterroryzowanie. Znałem kilku takich wypaśłych eunuchów, którzy zawsze smutni i bez celu życia wegetowali z dnia na dzień.

Niesłychane poruszenie w obozie wywołała wieść, że na terenie obozu zostanie otwarty dom publiczny – *Puff*. Kolegów, opowiadających te brednie posądzaaliśmy, że mają „fioła”. Niestety stało się to faktem. W jesienią 1943 r. otwarto ten przybytek.

Ze względów moralnych ograniczę się do tej małej wzmianki, mimo że tematu miałbym w tym dziele dużo. Z prawdziwą radością podkreślić muszę, że Polaków, szanujących swą godność osobistą, nie nabrał ten pomysł germańskiego diabła.

### LUDOŻERSTWO

W celu zobrazowania całokształtu życia obozowego we wszystkich jego przejawach i przedstawienia wiernie najgłębszego dnia nędzy muszę opisać trzy znane mi wypadki jedzenia

mięsa ludzkiego. Do pierwszego doszło w 1942 r. Boger wraz z Lachmannem zamknęli w bunkrze dwóch więźniów, zabrali klucze ze sobą i zabronili udzielać im jakiegokolwiek pomocy. Nie wiadomo, czy o więźniach zapomniano, czy też zrobiono to z rozmysłem, bo dopiero po trzech tygodniach otwarto ich celę. Żył tylko jeden, ale odżywiał się ciałem swego towarzysza, który jako trup od dłuższego czasu był w zupełnym rozkładzie. Żyjącego wyprowadzono przed blok i zastrzelono.

Drugi wypadek zdarzył się w laboratorium w Rajsku. Do celów naukowych gotowano trupa. Jeden z pracujących tam Żyd francuski wyjął z kotła kawałek ludzkiego mięsa i smacznie zjadał. Trzeci wypadek był w ostatnich dniach mego pobytu w obozie w Ebensee.

Codziennie setki więźniów umierały z głodu. Krematorium nie mogło nadążyć z paleniem ciał, więc stosy trupów leżały pod gołym niebem. Zgłodniiali więźniowie wykrawali nieboszczykom kawały mięsa, gotowali go i jako gulasz sprzedawali bardzo drogo wśród kolegów w obozie.

Głód jest sprzymierzeńcem wszelkiego zła, głód nie uznaje granic, głód opanowuje wszystkie żądze człowieka i czyni z niego czasami potwora. Głód osłabia siłę woli i podnieca zmysły.

W moim życiu byłem dwa razy głodny. Pierwszy raz w czasie wojny światowej w latach 1914–1916, przebywając w niewoli rosyjskiej, w obozach w Turkiestanie w Troickim obozie i w Taszkencie. Drugi raz, oczywiście w nieporównywalnie w większym stopniu, cierpiałem głód w obozach niemieckich. Bardzo głodny byłem w obozie w Oświęcimiu w latach 1940–1942, a bliski śmierci z powodu głodu byłem w obozie w Ebensee od 20 kwietnia do 6 maja 1945 r. Dziś rozumiem człowieka głodnego i spragnionego i prawdziwie współczuję mu.

## KAPELA OBOZOWA

Od początku swego istnienia obóz oświęcimski spełniał swoje posłannictwo i wywiązał się ze swych zadań jak najlepiej. Komisje, *Besuch* zjeżdżające co jakiś czas do obozu uznawały, że obóz oświęcimski może być wzorem dla innych. Bloki były nieskazitelnie czyste, łóżka równo pod „sznur” zaścielone i przykryte kocami. W oknach znajdowały się kwiaty w wazonach. Między blokami równiutkie jak stół drogi były od czasu do czasu posypywane piaskiem. Obok drogi zieleńce i kwiaty miały „bawić oko” ślepego *Häftlinga*, który zbity i zmalretowany, głodny i obdarty, nie mógł rozkoszować się tym widokiem. W celu rzekomego uprzyjemnienia mu życia i godziwej rozrywki w wolnych chwilach od pracy zorganizowano dla niego muzykę. Wszystko to jednak było na pokaz, bo wewnątrz panowała zgnilizna, bandytyzm i mord.

Orkiestrę zorganizowano w 1941 r. w ten sposób, że część instrumentów muzycznych sprowadzili z domu więźniowie za zezwoleniem władz obozowych, a część zakupiono ze składek, które musieliśmy z naszego konta zaklarować. Orkiestra grała marsze w czasie wychodzenia i powrotu komand do obozu po skończonej pracy. Grała doskonale, bo należeli do niej nie muzycy, ale artyści. W niedzielę i święta upajaliśmy się koncertami, które w porze letniej odbywały się pod gołym niebem, a w porze zimowej na sali. Kapelmistrzem orkiestry był znienawidzony przez swych kolegów muzyków kapo kuchni volksdeutsch Franz Nierychlo, krakowianin. Jaką sympatią cieszył się on w obozie, wystarczy nadmienić, że gdy w maju 1944 r. został zwolniony, w chwili opuszczania obozu koledzy żegnali go gwizdami, podczas gdy innych kolegów, nawet Niemców, żegnała czasami orkiestra obozowa.

Po jego odejściu orkiestrę prowadził kolega Adam Kopyciński z Krakowa, prawdziwy artysta, mistrz gry na fortepianie, niezwykle ceniony i lubiany przez kolegów. „Pod biczem” Franza (nie mogę nazwać go Franciszkiem, bo Polak, który sprzedał swą duszę diabłu germańskiemu, podpisując volkslistę, musi zwać się Franz), grali muzycy nie jak artyści, ale jak więźniowie, od tak, by dzień zeszedł, często grali nawet źle, jemu na złość.

Pod batutą Adasia nasza orkiestra odżyła. Koncerty urządzone pod jego kierownictwem były prawdziwą uroczą muzyczną, gdyż nasi artyści popisywali się teraz swoimi zdolnościami. Franz nie lubił wielkich artystów w obawie, by jego gwiazda nie zgasła. Nie zapomnę nigdy takiego obrazka. Po koncercie jeden z więźniów niesie piękny bukiet kwiatów. Byliśmy przekonani, że zanosz je Franzowi, który już z dala kłaniał się, dziękując za nie. Jakież było straszne rozczarowanie, gdyż ów kolega minął go i kwiaty wręczył Kopycińskiemu, który w tym dniu za wyjątkową zgodą Franza zagrał porywająco solowy utwór.

25 października 1944 r. zabrano resztę Polaków do transportu. Odjechali i muzycy. Na specjalne życzenie *Lagerführera* Hösslera pozostał z muzyków jedyny Polak-kapelmistrz w gronie kilku Niemców. Adam zmobilizował wszystkich muzyków Żydów, obecnych w obozie, i zaczął ich egzaminować. Zgłosili się różni perkusiści, pianiści, ale nie do orkiestry dętej. Trąbki nie umiał żaden wziąć do ręki, poza kilkoma polskimi Żydami, którzy swego czasu grali w orkiestrze wojskowej. W obozie było cicho i głucho. Orkiestra nie grała do marszu, ale za to ćwiczyła całymi dniami i wieczorami. Po tygodniowym przymusowym milczeniu, nowa orkiestra zebrała się na swym placu i powitała wchodzących do pracy więźniów marszem. Jakże było nasze zdziwienie, gdy po trzech tygodniach ćwiczenia orkiestra wystąpiła

z koncertem. Adam ćwiczy młodych muzykantów dosłownie przez cały dzień, nie dając im wytchnienia. Lituje się jedynie nad oboistą, który, by nie wydmuchał płuc, spoczywa, a reszta uczy się grać w dwóch salach. W jednej ćwiczą na instrumentach dętych marsze, a inni ćwiczą program najbliższego koncertu. Gdyby ktoś z obcych był na pierwszym koncercie tej orkiestry, to po dwóch miesiącach w czasie świąt Bożego Narodzenia nigdy by nie uwierzył, że to byli ci sami muzycy. Podziwialiśmy Adama, do jakich wyników doszedł w tak krótkim czasie.

Nie zapomnimy nigdy tajnych wieczorów muzycznych, jakie urządzał nam Adam w ścisłym gronie z okazji świąt narodowych. Na sali pali się jedna słaba żarówka – po kątach zebrani koledzy – a Adam siedzi przy fortepianie i zapatrzony w dal gra. Nie słychać uderzeń w klawisze, nie słychać pianisty – spod rąk mistrza wychodzą dźwięki, cudne melodie – nasze kochane polskie piosenki. „Witaj majowa jutrzeńko”, a potem „Nie rzucim ziemi”, a na koniec „Jeszcze Polska nie zginęła”. Adaś nie wiedział, że płakaliśmy, że swą muzyką wlewał w naszego ducha wolność, że zapominaliśmy, gdzie i kim jesteśmy. Razu jednego wszedł na salę osławiony Boger zwany pospolicie „Tygrysem”, który pracował w Oddziale Politycznym. Adam nie widział go i grał dalej „po polsku”. Boger, mimo że był analfabetą muzycznym, przejął się grą i od tego czasu często odwiedzał salę muzyczną i kazał sobie grać „na zamówienie”. Adam grywał mu, ale tak, że Boger przestał go więcej nawiedzać.

Prosiłiśmy nieraz naszego „mistrza” (opuszczam z rozmysłem pierwszą część wyrazu „kapel”, bo to tytuł nie dla naszego Adama), aby zagrał na koncercie. Jak grzeczny i miły był zawsze Adam, tak tu był niezwykle uparty i na dał się nakłonić. Doszło jednak do zdarzenia, które spowodowało, że Adam nam zagrał. A było to tak. Do obozu przybył znany wirtuoz, pianista węgierski Paul Kiss, uczeń prof. Thomana, u którego również kształcił się Kopyciński. Razu jednego przyszedł na koncert ówczesny *Lagerführer* Hössler i kazał Kissowi grać na fortepianie. Z wielką brawurą i dużą techniką zagrał Kiss Liszta i *Poloneza As-dur* Szopena. Liszta odegrał znakomicie, ale Szopena „wyrąbał”. Po koncercie nie daliśmy Adamowi spokoju, szczególnie jego nieodstępny towarzysz, mistrz pędzla, artysta Mieczysław Kościelniak z Kalisza, tłumacząc mu, że Szopena może odegrać tylko Polak. Wreszcie Adam dał się nakłonić i w najbliższą niedzielę zagrał nam: balladę, kołysankę i *Poloneza As-dur* Szopena. Już pierwsze uderzenia w klawisze dały wyczuć, że przy instrumencie usiadł Polak, który rozumie duszę Szopena. Jak obóz obozem, po raz pierwszy usłyszeliśmy oficjalnie odegrane polskie utwory. Koncert wywarł na nas głębokie wrażenie i pozostawił nigdy niezapomniane wspomnienia. Dziękujemy Ci Mistrzu za tę prawdziwą ucztę muzyczną, jaką urządziłeś na swym koncercie.



## DZIŚ KĄPIEL

Każdy z nas, żyjąc w normalnych warunkach, cieszy się, gdy ma możliwość wykapania się. Niestety w obozie na wiadomość o kąpielu ogarniało nas przerażenie, szczególnie w porze zimowej. Po apelu wieczorowym należało rozebrać się do naga, ubranie pozostawić na placu i tak na mrozie, ustawić się znowu w kolumnę piątkową i maszerować pod barak kąpielowy. Tu grupowano nas po 50 i taką partię puszczano do środka. Nikt nie miał mydła ani ręcznika. Dobrze było, gdy trafiło się na ciepłą wodę, ale często trzeba było włązić pod zimny tusz, bo inaczej [dostawaliśmy] drągiem w łeb.

Tymczasem władze blokowe urządzały sobie swobodnie rewizję w twym ubraniu i łóżku. Zabiera wszystko, co znaleźli, a więc żywność, bieliznę, ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów, słowem wszystko. Żywności nie wolno było przechowywać, gdyż więzień powinien zaraz zjeść to, co otrzymuje. Drugiej zmiany bielizny nie wolno było przechowywać pod najsurowszą karą. Mydło, szczoteczka do zębów należały do cennych przedmiotów i te zabierali dla siebie ci, którzy urządzali rewizję. Po skończonej kąpielu, która trwała nie dłużej jak pięć minut, odmarsz mokrych nagusów pod swój blok. Jeżeli blokowy był w dobrym humorze, to ubieraliśmy się zaraz, w przeciwnym razie trzymał nas nago nawet i godzinę.

W obozie w Melku urządzano kąpiele w nocy. Budzono zwyczajnie po północy i nago zerwany ze snu [człowiek] musiał w zwartych szeregach udawać się do kąpeli.

Trzeba było mieć końskie zdrowie, aby przy tego rodzaju kąpielach nie przeziębic się, nie złapać grypy lub zapalenia płuc. Ileż to razy miałem w nocy dreszcze i wysoką gorączkę, a rano musiałem wstać i iść do pracy.

## GENERALNE ODWSZENIE

Trudną do opisania plagą dla więźniów były wszy i pchły. W początkach obozu oświęcimskiego brakowało nam bielizny. Pamiętam, że koszulę otrzymaną w październiku zmieniłem dopiero na święta Bożego Narodzenia. Wszy dokuczały nam bardzo, bo nie było czasu na wybranie bielizny, zresztą nie było gdzie. Nie było czasu na przeszukanie bielizny, gdyż w czasie pracy przyłapani na tym więzień dostawał „meldunek” i SK. Wieczorem natomiast na bloku było ciemno i brakowało czasu. Wszy gryzły nas dzień i noc, a wskutek

swędzenia drapaliśmy naszą skórę do krwi. Na domiar złego cierpieliśmy na świerzb. Pamiętam, że smarowałem się 15 razy (tyle razy miałem zanotowane w mej szpitalnej kartotece) maścią smołową na świerzb, ale było to beznadziejne, bo nie dostałem zmiany bielizny i koca. Najboleśniej odczuwało się w czasie snu po rozgrzaniu się ciała. Skóra na piersiach i nogach była owrzodzona i tworzyły się flegmony.

W 1942 r. władze przystąpiły obozowe do przeprowadzenia systematycznie, co kilka miesięcy, generalnego odwszenia i odpchlenia. Więźniów wyprowadzano z takiego bloku tymczasowo na inny blok. Przy tej sposobności zabrano mu wszystko, co tylko posiadał.

Ubrania i bieliznę zabierano do dezynfekcji i przez całą noc pozostawialiśmy nadzy.

Wszy były powodem wybuchu strasznej epidemii tyfusu plamistego w obozie. Pierwsze śmiertelne wypadki zanotowano już w grudniu 1941 r.

Od tego czasu nasilenie epidemii stale wzrasta. Nie pomagają gruntowne odwszenia bloków, tępienie wszy przez codzienne półgodzinne tzw. *Läuseappel*, czyli szukanie wszy, zabronienie jest odwiedzanie kolegów mieszkających na innych blokach itp. Największe nasilenie tyfusu przypadło na miesiące letnie 1942 r. Tyfus nas dziesiątkuje. Nie ma dnia, by z naszych szeregów nie odszedł któryś z kolegów chory na tyfus. Izba, na której mieszkałem, przerzedziła się. W ciągu paru miesięcy zmarli pracujący ze mną koledzy: Czajkowski, Walenta z Krakowa, Słupiński, Ludwik Stec z Glinika Mariampolskiego, zginął także Hoffman, ale przez rozstrzelanie.

Gdy tyfus począł pochłaniać ofiary i spośród SS-manów, komendant obozu z końcem sierpnia 1942 r. otrzymał polecenie zagazowania wszystkich chorych leżących w szpitalu, wraz z lekarzami i służbą sanitarną. Stan szpitala wynosił wówczas ponad 2000 ludzi. Ówczesny *Standarzt* nie chciał tego uczynić i polecił wykonać to *Lagerarztowi*, którym był Entress. Ostatecznie powybijano lekarzy, personel sanitarny i więźniów narodowości niemieckiej, a resztę, w liczbie ok. 1600 więźniów, wysłano do Brzezinki i tam zagazowano. Zginął wówczas Staś Dubicki, gorliczanin, Zdzisław Langer z Krakowa i wielu, wielu moich przyjaciół, których niestety dziś nazwisk nie pamiętam.

## ORGANIZACJA OBOZU I JEGO WŁADZE

Administracja obozu była bardzo szczegółowo i dokładnie prowadzona. Już przy założeniu obozu organizacja została ujęta pomysłowo przez Polaków, którzy jeszcze w czerwcu 1940 r. przyjechali z Wiśnicza. Każdy więzień był wpisany w kolejności numerycznej do księgi głównej. Wpisywano tam jego numer, nazwisko i imię, datę i miejsce urodzenia, zawód, przez kogo został aresztowany, kiedy przybył do obozu, adres rodziny i uwagi. Oprócz tego prowadzono kartotekę ułożoną w porządku alfabetycznym. Oddzielnie prowadzono księgę mieszkaniową tzw. *Numerbuch*, w której były wypisane numery wszystkich więźniów przebywających w obozie, z odpowiednią adnotacją, na którym bloku mieszkają lub co się z nimi stało.

Administracja była tak sprawna, że w jednej chwili, mając np. tylko numer lub nazwisko więźnia, można było określić jego bliższe dane, gdzie mieszka, gdzie pracuje i gdzie w obecnej chwili się znajduje. Naszym władzom obozowym podobała się ta sprawność, stąd też obóz oświęcimski uchodził za wzór dla innych obozów. Polacy byli uważani za najlepszych i najzdolniejszych pracowników, zatem wszelkie naczelne i najlepsze stanowiska były w naszych rękach.

Oficjalnym językiem urzędowym był niemiecki. Przypominała nam to duża tablica z napisem: „Hier wird nur deutsche gesprochen”. Niestety tak nie było. Językiem urzędowym, oczywiście nieoficjalnie, był tylko język polski. W języku niemieckim mówiliśmy do osobnika, który nie rozumiał po polsku lub do SS-mana.

Jeżeli chodzi o hierarchie władz obozowych, to naczelne stanowisko zajmował *Lagerkommandant*, którym w Oświęcimiu najdłużej był, bo do jesieni 1943 r., Höß. Za jego komendantury obóz oświęcimski był prawdziwym piekłem, co szczegółowo w opisałem innych rozdziałach. Na tego łotra spada odpowiedzialność za to, co działo się w Oświęcimiu.

Bardzo krótko był bardzo dobry dla więźniów Liebenhenscher [Liebehenschel], a ostatnio Baer, były adiutant Pola [Pohla]. Następną władzą w obozie był *Lagerführer*. Pierwszym *Lagerführerem* był okrutny Fritzsch, po nim krwawy morderca Seidler, który od nas został przeniesiony do Gusen. Po nim objął władzę notoryczny pijak Aumeier, z powodu niskiego wzrostu zwany „Łokietkiem”. Ten pijak pastwił się nad bezbronniymi więźniami. Za jego kierownictwa prawie co tydzień była czynna szubienica i setki więźniów

mordowano na bloku 11. To on powiesił 12 bezbronych inżynierów Polaków, przesyłając o nich fałszywy meldunek. To on spowodował, że zebrano ze 400 więźniów z czterech komand i ponad połowę rozstrzelano.

Krótko władzę sprawował Thuman [Thumann], przybyły z obozu lubelskiego, potem brutalny Schwartz [Schwarz], bardzo krótko głupi i zarozumiały Hoffman [Hofmann], a w końcu Hössler.

Po *Lagerführerze* był *Rapportführer*, których zwyczajnie było dwóch. Ci dwaj wykonywali własnoręcznie wszystkie wyroki śmierci. Pierwszym *Rapportführerem* był Hössler, późniejszy *Lagerführer*. Po nim władzę objął Palitzsch. Kto był w obozie w Oświęcimiu, temu dobrze znane jest to nazwisko. Gdy Palitzsch wszedł do obozu drżeliśmy z ze strachu, bo z jego rąk nikt nie wyszedł żywy. Straszny był jego wzrok. Nie wiem, czy znalazłby się na świecie drugi taki człowiek, który zamordowałby iglicą do uboju bydła i z flobertu taką liczbę zwierząt, co Palitzsch zabił ludzi. Wojował tak długo, dopóki na jego drodze w karierze nie stanęła kobieta. Zakochał się w pięknej Żydówce, więźniarce, dosłownie szalał za nią. W stosunku do więźniów zmienił się nie do poznania i od tego czasu był dla nich prawdziwym opiekunem. Epizod miłosny skończył się dla niego bunkrem, degradacją i wysłaniem na front.

Władzę po nim objęli Stiewitz, potem Klausen [Claussen], Hartwik [Hertwig], a ostatnio Kaduk. Ten był prawdziwym kanalią i łotrem. Palitzscha baliśmy się jak ognia, a Kaduka nienawidziliśmy jak obrzydliwego psa.

### OSTATNIA OŚWIĘCIMSKA WIGILIA – 1944

Nie zapomnę nigdy ostatniego wieczoru wigilijnego, jaki urządziliśmy sobie już w prawdziwie „ostatnie” święta Bożego Narodzenia spędzone w obozie.

Na kilka tygodni przedtem uprosiliśmy naszego artystę malarza Mieczysława Kościelniaka, aby zajął się stroną dekoracyjną naszej sztuby. Mieszkaliśmy tam wszyscy pracujący w kancelarii obozowej oraz kapelmistrz Adam Kopyciński i wyżej wymieniony Mieciu. Inni koledzy zobowiązali się zająć sprawą kulinarną wieczoru wigilijnego, obiecując doskonały bigos myśliwski, a jeszcze inni powiedzieli: „Rywalizujemy z mistrzami kuchni i damy prawdziwy bigos litewski”. Pierwszy z „komitetu” rozpoczął pracę nasz artysta, malując moją

karykaturę. Chwycił mnie w chwili, gdy najspokojniej grałem w brydża. Dobrze pyrkaty nos, obwisłe wargi, na nosie wielkie okulary, a w rękę cztery asy. Oto moja podobizna. Ponieważ „podpadłem” pod pędzel artysty pierwszy, mój portret wywołał niezwykle dużo śmiechu. Mieciu nie lubił swych dzieł nikomu pokazywać, schował mnie do teczki i powiedział, że mnie powiesi, ale w towarzystwie.

Znienacka łapie na papier Jasia Olszewskiego, nauczyciela gimnazjum spod Zakopanego, zwanego pospolicie „Górale”. Nasz „Góral” udał się doskonale na tle szczytów tatrzańskich, ze swym pogodnym i miłym uśmiechem. Mieciu podchodzi do zaczytanego Edwina Kuffela z Gdańska i uwiecznia go zamyślonego i gubiącego się w nawale cyfr stanu liczbowego więźniów. Do Romka Wiessali, lubiącego wylegiwać się w łóżku, idzie Mieciu otwarcie i rysuje go w półśnie z przymrużonymi oczyma, a do ramion przyczepia mu anielskie skrzydła. Karykatura udała się bajecznie. Nie pomija nasz Mieciu i Stefana Ajdukiewicza, inżyniera leśnika z Muszyny, zwanego popularnie Stefanem z Boru, i oddaje go w „brydżowym” zamyśleniu z jego charakterystyczną obwisłą wargą. Leona Kuźmierczaka, Poldzia Paździorę z Dziedzic, Stefana Łukasza z Żółkiewki, Michała Preislera z Częstochowy, zwanego żartobliwie grubym Macusiem, rysuje nasz artysta w uduchowanej karykaturze. Naszego Tadzia Miciukiewicza, redaktora z Warszawy, nieodstępного towarzysza rzeźników (z powodu ich kiełbasy), wyśmienitego organizatora, ujmuje Mieciu doskonale. Nie zapomniał nasz karykaturzysta i o naszym mistrzu sztuki kulinarnej Rudku Hajduku z Dziedzic i maluje go z warzechą w rękę. Kazia Mrozowskiego z Krakowa maluje z miną „Antka z Krowodrzy” – „Co mi zrobisz?”. Tadzia Sztabę, dwukrotnie wyczytanego na śmierć i cudem ocalałego, Zygmunta Rzarzewskiego z Bydgoszczy, zwanego ze względu na wielką głowę „Globusem”, oddaje bardzo trafnie. Był tam i Zygmunt Goldberg niezadowolony ze swego rodzowego nazwiska, znajdując swoich imienników ok. 320, ale jak mówił: „Całe me szczęście, że izraelickiego wyznania”. Naszego jedyne Niemca Ernsta Woopa, znanego żarłoka zjadającego po pięć misek zupy, maluje z „Krzyżem Żelaznym” na szyi, nadanym mu jakiegoś czasu żartobliwie przez kolegów, z tytułu jego rekordów w jedzeniu. Była to jedna z najlepszych karykatur. Do kompletu zrobił Mieciu swoją karykaturę oraz swego nieodstępного towarzysza Adama Kopycińskiego.

Już na tydzień przed każdorazowymi świętami Bożego Narodzenia ustawiano na środku obozu olbrzymią choinkę, na której paliło się co wieczór kilkanaście żarówek. Wszystkie bloki urządzały u siebie również choinkę, których wielkość i piękność w ubiorze była bezkonkurencyjna. Niezależnie od tego każda izba miała u siebie małą choinkę, którą ze względu na szczupłość

miejsca stawiało się na stole lub szafie. Mając do dyspozycji wiele ozdóbek i słodczy nadestanych nam w pakietach żywnościowych, ubraliśmy naszą choinkę przepięknie.

Nasz mistrz sztuki kulinarnej Rudek zdecydował, że na Wigilię muszą być pączki. Już na dwa tygodnie przed świętami nie zjadaliśmy margaryny, lecz odkładaliśmy ją do smażenia pączków. Nasz najmłodszy wiekiem 17-letni Bronek Miernik z Bydgoszczy, pałający nienawiścią do swej ciotki, która podpisała volkslistę, zorganizował pięć kilo najpiękniejszej mąki. Tadeusz Miciukiewicz – „Król organizatorów” – postarał się o drożdże.

Dzień przed Wigilią Rudek przystąpił do pracy. Na ogromnej miednicy rozrobił ciasto, do którego dodał skondensowanego mleka, osiem jaj, margarynę, i oczywiście drożdży. W żelaznym piecu zapala, stawia miednicę opodal i czeka, aby ciasto rosnęło. Minęła godzina jedna i druga, a to ani rusz, ciasto ani nie drgnie. Rudek w rozpacz. Widząc to, pytam Rudka, czy może drożdże nie były przypadkiem zamrożone? „A tak” – mówi Rudek, trzymałem je za oknem, a przecież wczoraj było 20 stopni mrozu. „Nie martw się Rudku” – powiedziałem „dodamy do ciasta czyszczonej sody, zwanej prozą, a zobaczysz, pączki wyjdą jak «poezja»”. W celu szybszej reakcji dodaliśmy z pół szklanki owej w proszku prozy. Nie czekaliśmy długo. Ciasto nam rośnie. Rudek poczerwieniał z radości, ręce włożył do kieszeni i oblicza, ileż to może być pączków z tego ciasta. Proza poskutkowała, ciasto miednicę przerosło i trzeba było użyć jeszcze jednego naczynia, aby je pomieścić.

Rudek czyściutko wymył ręce i zaczął najważniejszą czynność, tj. wyrabianie pączków, wkładając do każdego łyżeczkę marmelady. Na próbę zrobił kilka sztuk, włożył do wrzącej margaryny i z zapartym oddechem oczekiwał pierwszej próby. Według mnie pierwsze egzemplarze zapowiedzianej „poezji” wypadły niedostatecznie. Marmelada powyłaziła z pączków i spalona pływała po wrzącym tłuszczu. Pączki okazały się za wielkie, bo dochodziły do wielkości kuli o średnicy dziesięciu centymetrów. „Rada rodzinna” ustaliła pewne poprawki i Rudek przystąpił dalej do dzieła. Wtem – „psia krew”. Głośna syrena! Nalot lotniczy. Światła gasną, a w naszym rondlu pięć rumianych pączków gotowych do wyjęcia z tłuszczu. „Kość na okna” – woła donośnym i wściekłym głosem nasz Rudek. Skoczyliśmy do usług i w kilka minut okna były zaćmione. Niestety drugie wydanie zapowiedzianej „poezji” nie udało się. Dalsze smażenie odbywało się już przy świetle świecy. Widząc, że Rudek nie podoła samej tej pracy, zakasałem rękawy i wziąłem się i ja do roboty. We dwóch byliśmy gotowi z pączkami o północy. Nie licząc robionych na próbę, w celach doświadczalnych usmażyliśmy 250 sztuk.

Dwa duże stoły, ułożone w kształcie litery T, przykryte jak śnieg białymi serwetami, zastawione miskami, talerzykami, jakie zdołaliśmy skompletować, oraz pięknie ubrana choinka, dodawały poważnego nastroju przedwigilijnego. Po południu mieliśmy dzień wolny od pracy, więc czas było wszystko przygotować.

Nadchodzi wieczór. Na niebie już nie jedna, ale miliony gwiazd głośzą, że Wigilię czas zacząć. Czegoś nam brakuje. Zamiast cieszyć się, radować, chodzimy z kąta w kąt, ze spuszczonej głowami, głęboko zamyśleni... wiem... wyczuwam... czego nam brakuje.

Skonstatowaliśmy, że jesteśmy w komplecie i zasiadamy do naszego ostatniego w obozie wieczoru wigilijnego. Jako senior w gronie zebranych kolegów musiałem zagaić ten wielki nastrojowy wieczór krótkim przemówieniem, po czym łamiąc się opłatkiem, wesoło składaliśmy sobie życzenia, będąc w stu procentach przekonani, że są to już ostatnie, a dla niejednego już szóste z rzędu święta Bożego Narodzenia. Po spożyciu Wigilii, składającej się ze zupy grochowej, bigosu, pączków i herbaty, śpiewaliśmy wesoło kolędy.

Koledzy, Tadiusz Miciukiewicz oraz Jaś Olszewski, odczytali zapowiedziany bigos poetycki, który niezwykle trafnie wprost po mistrzowsku uchwycił wszystkich kolegów na tle swych przygód obozowych lub znanych nam przeżyć i słabości. Do godz. 12.00 wolno nam było palić światła, więc też mieliśmy sporo czasu spędzić wesoło ten ostatni w kascecie wieczór. Bawiliśmy się tym swobodniej, że *Lagerführer* zabronił tego wieczoru wstępu do obozu wszystkim SS-manom. Więźniowie zatem robili, co chcieli.

## EWAKUACJA OBOZU

Przygotowania ewakuacyjne zauważyliśmy już w marcu 1944 r. Obóz nawiedzały specjalne komisje. Opracowywały one plan wywozu olbrzymich magazynów, w których były materiały budowlane, wielka ilość mebli i sprzętów gospodarstwa domowego, odzieży, bielizny itd. Wszystkie te rzeczy pochodziły z rabunku i grabieży z terenów polskich.

Niezależnie od tego, poczęto wysyłać więźniów do innych obozów, położonych w głębi Niemiec, tak że w marcu, kwietniu i maju wysłano ich ok. 25 tys.

W związku z ewakuacją postanowiono zatrzeć ślady swych morderstw. Przebudowano więc blok 11., zwany „blokiem śmierci”. Zburzono w nim gruby mur, przy którym odbywały się

egzekucje, rozebrano wszystkie ścianki bunkrów, a w Brzezince zaczęto burzyć wszystkie krematoria. Już w listopadzie spalono wszystkie akta w Oddziale Politycznym, dwa tygodnie potem zniszczono zaś dokumenty oraz kartotekę zmarłych. Resztę więźniów aryjczyków wysłano transportem 25 października 1944 r. tak, że w obozie pozostało nas kilkudziesięciu do czasu, dopóki nie wyszkolimy w swym dziale pracy zastępców Żydów. W Oświęcimiu mieli pozostać jedynie Żydzi.

Z chwilą rozpoczęcia się ofensywy wojsk radzieckich 12 stycznia 1945 r. i dalszego odwrotu wojsk niemieckich z każdym dniem wzrastała gorączka ucieczki ewakuacyjnej. Opowiadano, że SS-mani przygotowali sobie ubrania więźniów, aby w razie konieczności umknąć w tym przebraniu. Między nami było napięcie nie do opisania. Z godziny na godzinę oczekiwaliśmy chwili wybawienia. Byliśmy przekonani, że zostaniemy zaskoczeni i Niemcy nie zdołają nas wszystkich wywieźć, gdyż było nas razem we wszystkich sąsiednich obozach ok. 50 tys. Gdy nadeszła do nas wiadomość o zajęciu Krakowa, radość nasza nie miała granic. Dzień i noc ewakuują obóz. 18 stycznia 1945 r. był dniem wielkiej gorączki. Przez dużą bramę obozową wychodzą więźniowie w kolumnach piątkowych po stu ludzi. Wychodzą z tego piekła już po raz ostatni i idą na dalszą tułaczkę w „nieznane”. W obozie ruch jest niezwykły. We wszystkich biurach niszczą i palą księgi i dokumenty obozowe. Otwarto wszystkie magazyny odzieżowe i rozdają więźniom to, co kto chce. Obowiązkowo każdy z nas musi zabrać ze sobą dwa koce i żywność. Otrzymujemy dwa bochenki chleba, 33 kg margaryny i puszkę konserw (na trzy osoby).

19 stycznia 1945 r. ok. godz. 1.00 przekroczyłem po raz ostatni bramę obozu oświęcimskiego. Noc była jasna i mroźna. Na niebie przyświecały nam miliony gwiazd, a księżyc swą pełnią tarczy, jak gdyby uśmiechał się do nas, pytał: „Dokąd idziecie tułacze?”. Świecą nam gwiazdeczki, ale niejednemu z nas już po raz ostatni, bo wielu, wielu nie doszło do tej ostatniej przystani, której na imię: wolność.

Śnieg ubity na drodze tysiącami nóg naszych przednich oddziałów utrudniał marsz, bo droga była bardzo śliska. Przeczuwając, że tak będzie, zabrałem ze sobą okutą laskę i podpierając się nią, nadażam za moimi młodymi kolegami. Idę mocno przygnębiony, bo wiem, że każdy krok oddalający nas od obozu, oddala nas i od wymarzonej wolności. Idę, bo muszę, inaczej kula w łeb. Tempo marszu mamy bardzo wolne, bo idziemy w kolumnie liczącej 2500 ludzi, a więc powstają chwilami luki, które musimy nadrobić biegiem lub zgęszczenia, powodujące przymusowe postoje. Tego rodzaju tempo marszu męczy nawet najwprawniejszego



piechura, a cóż dopiero mówić o więźniach słabych i wyczerpanych, i nieprzyzwyczajonych do takich trudów, po długoletnim pobycie w obozie. Popędzali nas SS-mani, którzy byli rozstawieni co parę kroków po obu bokach drogi. Komendantem całego transportu był *Obersturmführer* Reichenbach.

Wielu naszych kolegów nie wytrzymało takiego tempa, przystawali więc i byli popędzani kolbami i bici laskami, które mieli SS-mani. Od czasu do czasu padał strzał z rewolweru. Początkowo nie zdawaliśmy sobie sprawy, w jakim celu strzelają. Wnet jednak przekonaliśmy się, gdy obok nas, jednego z kolegów niemogącego nadążyć z tempem wystrzałem z rewolweru mordował „Dusiciel” Storch. Im dalej idziemy, tym częstsze strzały, a z nimi ginie i życie ludzkie. W jednym dniu marszu, po jednej stronie drogi, naliczył jeden z naszych kolegów 107 trupów, między którymi przeważały kobiety maszerujące przed nami.

Mijamy słynne laboratorium w Rajsku i idziemy w kierunku Brzeszcz. Miejscami mamy drogę tak śliską, że idziemy jak po lodzie. Dnieje. Budzi się dzień prześliczny. Ani jednej chmurki na niebie, najmniejszego podmuchu wiatru. Temperatura około minus sześć stopni, ale tego zimna w czasie marszu nie odczuwamy. Jesteśmy ubrani ciepło, grzeje nas ciężkie tempo marszu, a ciśnie ku ziemi plecak, wyładowany chlebem.

Przed nami Jawiszowice. Nagle od dworca kolejowego pada seria strzałów karabinu maszynowego i kule świszczą nad naszymi głowami. Bez rozkazu zbiegamy z drogi i kryjemy głowy w przydrożnych rowach. SS-mani potracili głowy, a na ich twarzach maluje się strach, widać u nich bezradność. U nas wręcz przeciwnie panuje ożywienie i nieukrywana radość. Może to szpice pancerne wojsk radzieckich, a może są to partyzanci, o których działalności wiele słyszeliśmy. Może otoczą nas. Może nas odbiją i zyskamy wysnioną – upragnioną wolność.

Komendant transportu podjeżdża na motocyklu ku przodowi i po kilkunastu minutach postoju ruszamy dalej. Idziemy już bez przeszkód. Nadzieja wolności przysła jak bańka mydlana. Za Jawiszowicami mieliśmy półgodzinny postój. Zjedliśmy śniadanie, niestety suche, bo wody nie dali nam nawet na lekarstwo. Pragnienie nam dokucza. Każdy z nas wypocił duże ilości wody, a przy suchym zaprowiantowaniu chcieliśmy pić a pić. Prosimy, błagamy naszych konwojentów o wodę, ale nasze prośby pozostają głuche, niewysłuchane. Pragnienie zatem gasimy śniegiem, który skrycie zbieramy z boków gościńca. Zbieramy go do kubków, mieszamy z cukrem, dodajemy parę kropel kwasu solnego i pokrzepiamy się tymi orzeźwiającymi lodami. Niestety tego rodzaju napój pragnienia nie gasi, a nawet je podnieca.

Mijamy Miedznę i idziemy dalej w kierunku ku Pszczynie. Południe. Mamy już za sobą prawie 12 godzin marszu. Zmęczenie drogą, spotęgowane pragnieniem odbija się na naszych twarzach. Wyglądamy jak po przebytej chorobie.

Wchodzimy do Pszczyny. Prowadzą nas przez miasto bocznymi drogami. Przechodzimy obok okazałego zamku książąt pszczyńskich. Na twarzach przechodniów maluje się żywe dla nas współczucie, u wielu widzimy łzy. Wprowadzają nas na duży stadion sportowy z krytymi trybunami. Dla naszych konwojentów jest to wymarzone miejsce. Stadion bowiem był ogrodzony, a tym samym tylko garstka SS-manów pozostała na straży. Stadion był pokryty 20-centymetrową warstwą topniejącego śniegu. Jedynie na trybunach znajdowały się suche ławki, ale te do ostatniego miejsca zajęli już koledzy, aby spocząć wygodnie. Dopóki więźniowie zajmowali trybunę, dopóty nie przeszkadzali temu SS-mani, z chwilą jednak, gdy już były trybuny pełne, podeszli od góry i zaczęli spędzać wszystkich w dół, bijąc niemiłosiernie kolbami i dragami. Działy się wówczas dantejskie sceny. Dolne warstwy nie mogły tak szybko opuścić trybuny ze względu na wysokie ogrodzenie, więc powstał straszny tłok i ścisk, w którym wielu więźniów połamało sobie ręce i nogi. Musieli wszyscy odpoczywać na mokrym śniegu. Nie podano nam ani krzty wody.

Około godz. 17.00 uformowano nas do dalszej wędrówki. Idziemy, jak mówią SS-mani, do Poręby, miejscowości odległej o dwa kilometry od Pszczyny. Zrobiliśmy zatem w pierwszym dniu 29 km drogi. W Porębie otrzymujemy nocleg w zabudowaniach dworskich. Jedna stodoła i stajnia, ale z bydłem, mają służyć na pomieszczenie 2500 ludzi. Zaledwie część ulokowała się w budynkach, reszta zaś goni bezradnie po wielkim podwórzu i szuka beznadziejnie schronienia pod dachem. Należałem właśnie do tej grupy szukającej locum. Widząc niemożliwość zdobycia miejsca pod dachem, usiadłem pod ścianą stajenną i przygotowałem się do nocnego spoczynku. Wtem słyszę, że ktoś woła moje nazwisko, zrywam się – to Jureczek Michnol zdobył miejsce w stajni w jałowniku, już jest w środku i chce mnie tam wciągnąć. Przez małe stajenne okno podaję mu bagaże, a sam nie mogę ani wyspinać się, ani przez okno przeleść, bo jest dość wysoko położone i bardzo małych rozmiarów. Pomogli mi jednak koledzy, ciągnąc mnie od środka za ręce i głowę, od zewnątrz zaś dźwigali w górę. Prawie bez tchu jak kłodę wciągnęli mnie do środka, gdzie zastałem już kilku kolegów odpoczywających po całodziennym trudzie. Byłem bardzo zmęczony. Ledwie zdobyłem się na tyle siły, że rozłożyłem koc i nie rozbierając się, ułożyłem się do snu. Mimo że poprzedniej nocy nie spałem ani minuty i mimo ogromnego zmęczenia nie mogę zasnąć.

Koledzy już śpią, bo słyszę ich głośne chrapanie. Czuję się źle. Dostaję dreszczy, zimno mi. Okrywam się kocem prawie z głową i wyczuwam szybkie tętno, bo rozbiera mnie gorączka i zaczyna boleć gardło. Przypuszczam, że będzie to angina, powstała z powodu pokrzepienia się śniegiem. Znam tę chorobę, wiem, jak ścina z nóg najsilniejszy organizm. Przeczuwam, że będzie źle ze mną. W gorączce nie podołam trudom marszowym. Co począć? Przed oczyma stają mi trupy leżące w przydrożnych rowach z przestrzelonymi głowami. Zimny pot oblał mnie całego na samą myśl. Nie! – To niepodobieństwo! Przepłynąć całe burzliwe morze i zginąć u brzegu? Otulam się jeszcze mocniej kocem i dalej majaczą. Ciszę nocną przerywa przeraźliwy krzyk mego sąsiada kolegi Stefana Ajdukiewicza, na którego wpadła jałówka. Zwyciężył z nią w pojedynku i odepchnął ją nogami, ale tak, że bydlę wpadło na mnie i stanęło mi na brzuchu. Zawyłem z bólu i wystraszone stworzenie uciekło. Rano dopiero zauważyliśmy, że bydło w tym jałowniku chodziło luzem nieprzywiązane i dlatego mieliśmy ten nocny napad. Około północy dreszcze mi ustąpiły. Zaczyna mi być niemożliwie gorąco. Pocę się. Woda spływa po mnie jak w kąpeli, ale nie odkrywam się. Znam mój organizm. Jedyne dla mnie lekarstwo, szczególnie na anginę, wypocić się. Mimo wielkiego osłabienia, pragnienia i duszności zapanowałem nad sobą i do rana przeleżałem w tych potach. Z niezwykłą radością skonstatowałem, że gardło mnie nie boli. Przebrałem się w suchą bieliznę i skoro zaczęło dzień, wyszedłem na podwórze. Po gorączce miałem wargi spalone, a w ustach sucho. Za wszelką cenę muszę zdobyć drobinę wody lub coś do picia. Prawie cały obóz jest jeszcze pogrążony we śnie. Koledzy śpią na śniegu zbici w gromadki i okryci całkowicie kocami. Chodzę po podwórzu i szukam studni. Konstatuję jednak, że są tu urządzenia wodociągowe, ale zamrożone i na nic zdadzą się moje poszukiwania. Śniegiem obmywam ręce i twarz, ale do ust go nie biorę, nauczony przykrym doświadczeniem. Wtem widzę, gdy jeden z kolegów wychodzi z domu, w który spali SS-mani, i niesie cały garnek gorącej, dymiącej na mrozie kawy. „Kolego! Ginę z pragnienia” – dajcie jeden łyk i nadstawiam mu miskę. Popatrzył się na mnie i zapewne zauważył, że prawdę mówię, nalał mi z pół litra tego nektaru. Zrewanżowałem mu się za to paczką papierosów i pokrzepiłem się tym życiodajnym płynem, którego doskonałości w smaku dziś nie mogę opisać. Zrozumieć nie może tylko ten, kto w życiu był spragniony.

Około godz. 6.00 ruszyliśmy w dalszą drogę. Idziemy w kierunku na Pawłowice. Droga dobra. Słoneczko pięknie świeci. Mimo przebytej choroby czuję się stosunkowo dobrze. Po drodze znowu walka o wodę. Skoro nie pomogły nasze prośby, staraliśmy się SS-manów

przekupić papierosami, aby uzyskać u nich menażkę wody. Za 40 sztuk papierosów dawali litr wody. Na skrzyżowaniu dróg Katowice–Cieszyn i naszej drogi, w kierunku na Jastrzębie, z powodu zatarasowania tej drogi zmuszeni byliśmy do dłuższego postoju. Spoczywaliśmy przymusowo do trzech godzin. Po odpoczynku idziemy dalej i wieczorem dochodzimy do Jastrzębia-Zdroju. Wprowadzają nas na podwórze dużego gospodarstwa dworskiego i tak jak w Porębie tylko mała garstka szczęśliwców znalazła pomieszczenie pod dachem.

Zdobyłem odrobinę słomy i rozścieliłem ją na śniegu, rozłożyłem koce, zdjąłem buty, a nogi włożyłem do plecaka. Okryłem się z głową kocem, oparłem plecami o ogrodzenie ogródka i postanowiłem zanocować na mrozie pod gołym niebem. Ze względu na wielkie zmęczenie i mając za sobą dwie nieprzespane noce, zasnąłem momentalnie. Około północy zbudziłem się jednak, bo dokuczliwe zimno nie pozwoliło na dalszy sen. Wstałem więc i do rana chodziłem, aby nie zamarznąć. Dwie noce spędziliśmy w Jastrzębiu.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia dano sygnał do odmarszu. Idziemy w kierunku Wodzisława. Dzień bardzo ciężki do marszu z powodu silnego wiatru i zawieruchy śnieżnej. Dochodzimy wreszcie do dworca kolejowego, gdzie mają nas załadować do wagonów i dalszą drogę mamy odbyć koleją. Cieszymy się, że skończą się nasze trudy marszowe, noclegi pod gołym niebem i łatwiej będzie nam znieść niewygody podróży koleją. Ładują nas do zwyczajnych węglarek. Zanim jednak przypadła kolej na naszą grupę, potrwało to parę godzin i przypadkowo byliśmy świadkami przykrew egzekucji. Pod silną eskortą przyprowadzono trzech młodych chłopców więźniów i w naszych oczach, na rozkaz komendanta transportu Reichenbacha rozstrzelano ich na polach obok dworca kolejowego. Ukryli się oni w stodole w słomie w czasie noclegu w Jastrzębiu, lecz psy policyjne wytropiły ich. Zginęło trzech młodzieńców za to, że zapragnęli wolności.

Po załadowaniu nas do odkrytych węglarek po stu ludzi, przeczekaliśmy na stacji 24 godziny, zanim pociąg ruszył w drogę. Jedziemy w kierunku Bogumina. Na stacjach stoimy czasami całymi godzinami. Pociąg wlecze się, w wagonie [panują] straszne warunki. Brak miejsca do spania, a cóż dopiero mówić o siedzeniu. Mija noc jedna, mija druga, a my w tej samej pozycji stojącej i w tych samych warunkach bez jedzenia i bez wody. Zimno i pragnienie dokuczają nam bardzo. W dzień słońeczko ogrzewa nas, to też wychylamy głowy spod naszych koców, a przed naszymi oczyma te same znużone twarze kolegów i nic więcej, bo wysokie ściany wagonów nie pozwalają na oglądanie okolicy.

Późnym wieczorem dojeżdżamy do morawskiej Ostrawy. Z prawdziwą przyjemnością muszę podkreślić, że ludność tamtejsza pospieszyła nam z pomocą. Zaczęto roznosić wodę, herbatę, kawę, rzucano nam chleb, bułki, cukierki, papierosy itp. Aby pokrzepić 2500 ludzi, nie będąc do tego przygotowanym, było rzeczą wprost niemożliwą. Początkowo SS-mani nie zwracali na to uwagi. Z chwilą jednak gdy coraz więcej ludzi spieszyło nam z pomocą, zabroniono kontaktu z cywilami pod groźbą użycia broni. Staliśmy pod wiaduktem, na którym był duży ruch ludności cywilnej. Mimo zakazu przystają grupki cywilów i rozmawiają z nami. Wtem bez ostrzeżenia pada kilka strzałów i na moście rozlega się jęk postrzelonego mężczyzny. Zginął jakiś ojciec, który dopytywał się o syna wywiezionego do Oświęcimia. Nasi kaci i tu znaleźli sobie ofiarę. Wypadkiem tym byliśmy bardzo przygnębieni.

Wiedeń ominęliśmy bocznym torem. Widzieliśmy i podziwialiśmy dzieło zniszczenia [dokonane] przez naloty bombowe. Wszystko w gruzach ani jednej całej fabryki. Przedmieście Wiednia, wszystkie ogniska fabryczne to jedna kupa gruzów, powiązanych siecią dziwnie połamanego i pogiętego żelaziwa.

W czwartym dniu i w czwartek rano 25 stycznia 1945 r. dojechaliśmy do oślawionego Mauthausen. Obóz leży około dwóch kilometrów za miastem, na wzgórzu i cały jest zbudowany z kamienia. Przyjęto nas jak nowicjuszy i ogołoco nas kompletnie ze wszystkiego. Zabrali mi nawet okulary. Teraz musiałem zniszczyć wszystkie moje zapiski, jakie czyniłem w Oświęcimiu. Moja żmudna i wartościowa praca przepadła na zawsze. Tu znowu kąpiel, strzyżenie, golenie i marsz, na mrozie na golasa, na wyznaczony blok. W obozie wielkie przepełnienie. Spaliśmy po czterech na jednym łóżku normalnej wielkości. Przydzielony zostałem na dolne łóżko z trzema innymi towarzyszami. O spaniu nie ma mowy. Od czegoś jednak mam prawie pięcioletnie doświadczenie obozowe. Za moją namową zepsuliśmy łóżko, deski wyleciały na podłogę i spaliśmy pod łóżkiem, zyskując tym samym więcej miejsca.

W Mauthausen byłem do 29 stycznia 1945 r. Stamtąd wywieziono nas do obozu w Melku. Zastaliśmy tu straszne warunki – baraki drewniane, kryte papą, bez sufitu. Wskutek mrozu na wewnętrznej stronie dachu powstała gruba warstwa szronu, który w dzień na skutek rozgrzania się topniał i w baraku padał istny deszcz. Wilgoć była nie do opisania. Żywności otrzymywaliśmy mało, a i to nasze władze blokowe okradają nam. Obóz w Melku wykańczał nas szybko. Dobijała nas ciężka praca w kamieniołomach i złe odżywianie. Z tego jednak rad był *Lagerführer* Ludloff [Ludolf], który powiedział: „Z obozu w Melku nie może wyjść z życiem

ani jeden więzień". Praca w sztolniach odbywała się na trzy zmiany. Zasadniczo praca trwała na miejscu osiem godzin, lecz przygotowanie do odejścia, wyczekiwanie na placu apelowym, postój na rampie do czasu nadejścia pociągu i odmarsz do sztolni pochłaniał około sześć godzin. Pracowałem w firmie Majerder Kraus. Mimo bicia, tak ze strony kapo, jak też i majstrów cywilnych, więźniowie pracowali bardzo wolno, gdyż byli słabi i bardzo wycieńczeni.

Sztolnie były to tunele o betonowych ścianach wykute w górskiej skale. Były wysokie i szerokie na ok. 15 m, a długość ich była różna. Od 80 do 100 m w jedną stronę, a następnie zmieniały swój kierunek. Mówiono, że w Melku było owych tuneli około cztery kilometry. Tunel taki był podzielony na jedno lub dwa piętra. W sztolniach w Melku skupiał się cały przemysł wojenny. Jak okiem sięgnąć widziało się w sztolni maszyny poustawiane jedna obok drugiej i będące dzień i noc w ruchu. Wykonywano tu najrozmaitszych typów i wielkości łożyska. Maszyny obsługiwali robotnicy cywilni i dziewczęta, zgrupowane w obozach dla cywilów. Wzdłuż całego tunelu przebiegała ruchoma taśma gumowa, na którą więźniowie rzucali kamienie, piasek i ziemię, kopiąc dalsze tunele. Taśma ta wybiegała na zewnątrz poza sztolnie, gdzie podchodziła do góry i mechanicznie zrzucała ziemię do zbiorników drewnianych zaopatrzonych w dole w kłapy. Pod takie zbiorniki podjeżdżały wózki kolejki wąskotorowej i po kilku minutach naładowane ziemią odjeżdżały dalej, a więźniowie ręcznie wysypywali z nich ziemię. Na terenie sztolni – zewnątrz i wewnątrz – panował olbrzymi ruch. Nocą tysiące żarówek oświetlało teren. Pracowano dzień za dniem, tydzień za tygodniem. Jedynie co drugą niedzielę była przerwa w pracy i wówczas pozostawaliśmy na bloku.

Ciężkie warunki pracy, złe odżywianie i licha odzież wykańczały nas niezmiernie szybko. Do pracy chodzili nie ludzie, ale szkielety. Policzki zapadłe, mocno podpuchnięte oczy, bezwład nóg i niezwykła powolność w ruchach cechowały takiego biedaka. Do szpitala nie przyjmowano, gdyż tam odnoszono tylko tych kolegów, którzy nie mogli utrzymać się na nogach. W zimnych deszczowych dniach przynoszono po pracy kilkudziesięciu ludzi, których przyjmowano do szpitala, ale tylko na parę godzin, bo ludzie ci umierali. Z każdym dniem czułem się i ja gorzej, gdyż dokuczał głód. Cały miesiąc luty przepracowałem pod gołym niebem. 8 marca 1945 r. miałem bardzo niemiłą przygodę. Z powodu osłabienia, wsiadając do wagonu kolejowego, wywróciłem się i wpadłem pod wagon. Pokaleczyłem sobie głowę i poraniłem tułów. Straciłem chwilowo przytomność, a jeden z SS-manów wpadł w szał i chciał mnie zabić. Koledzy jednak wciągali mnie omdlałego do wagonu. Resztkami sił przepracowałem do wieczora. Dzięki poparciu Miecia Kościelniaka zostałem przyjęty do

szpitala. Trzy dni i trzy noce przeleżałem bez ruchu, taki byłem wyczerpany. W szpitalu było ogromne przepełnienie. Leżeliśmy po trzech na jednym łóżku. Po trzech dniach wypoczynku nie miałem ochoty wracać na blok do dawnej pracy, gdyż wiedziałem, że tam czeka mnie niechybna śmierć. Czyniłem zabiegi, aby być przyjętym na sanitariusza i dzięki poparciu jednego z lekarzy udało mi się otrzymać to zajęcie. Robiłem porządki na sali, mierzyłem chorym gorączkę, wynosiłem trupy, rozdawałem lekarstwa i to było moje całodzienne zajęcie. Jako sanitariusz otrzymywałem urzędowo drugą miskę zupy obiadowej. Czynność tę sprawowałem do 11 kwietnia 1945 r., tj. do dnia ewakuacji Melku. Podzielono nas na dwie grupy i załadowano w przystani na Dunaju do małych czterech statków towarowych żeglugi rzecznej. Statek był wyładowany starym żelazem i niezależnie od tego do tzw. *Laderaumu* ładowano nas po 300 ludzi. Ciasnota i brud, gorąco i zaduch, głód i pragnienie towarzyszyły nam w tej ostatniej podróży. Były to jednak szykany osławionego mordercy Ludolfa. Od piątkowego południa do poniedziałku rano trwała nasza podróż statkiem. 16 kwietnia 1945 r. dojechaliśmy do Linz. Wysadzono nas na lewym brzegu Dunaju i po ustawieniu w kolumny piątkowe ruszyliśmy pieszo w kierunku Wels. Drogę mamy bardzo dobrą. Po kilkudniowej podróży statkiem bez ruchu i powietrza marsz w słońcu nas ożywia i poprawia nasze humory. Idziemy wolno, nie pędzą nas, ale nie dają jeść ani pić. Sa to ci sami konwojenci, którzy transportowali nas z Oświęcimia do Mauthausen. Ludzie ci zmienili się nie do poznania. Nie biją nas, rozmawiają z nami, widać czują bliski koniec swego panowania. Chcą zaskarbić sobie u nas łaskę pojednania. Idziemy drogą wysadzaną drzewami owocowymi, które są w pełnym rozkwicie i wyglądają jak jeden olbrzymi bukiet. Późnym wieczorem przybyliśmy do Wels. Na nocleg przeznaczono nam stare podmokłe szopy bez źdźbła słomy. Całą noc nie spaliśmy, tym bardziej że było zimno. Rano o głodzie ruszamy w dalszą drogę i idziemy do Lambach. W drodze dostaliśmy po 25 dag chleba. W porównaniu z innymi punktami noclegowymi mieliśmy w Lambach królewskie spanie.

Po cudownie przespanej nocy ruszyliśmy rankiem w dalszą drogę do Gmunden. Po drodze mija nas tysiące pojazdów, po których wyglądzie i ekwipunku stwierdzić można, że są to rozbitki z niedalekiego frontu. Widok ten dodaje nam sił i otuchy, że męczarnie nasze muszą się niebawem skończyć. Droga, którą maszerowaliśmy, przebiegała wzdłuż prawego brzegu rzeki Traun. Przepływa ona miejscami głębokimi jarami. Brzegi jej są regulowane i wysoko wyłożone kamieniami. Dzięki swemu szybkiemu prądowi oddaje duże usługi dla przemysłu. Po drodze widzieliśmy kilka zapór wodnych, z których największa znajduje się w Traunfall,

gdzie jest jedna z największych elektrowni. Do Gmunden przybyliśmy przed wieczorem. Na nocleg umieszczono nas w olbrzymim, nieczynnym browarze na podwórzu, pod gołym niebem. Mimo wilgoci i zimna spałem doskonale.

W następnym dniu czekał nas ostatni etap naszej drogi cierniowej, o kawałeczku suchego chleba, do obozu w Ebensee. Miasto Gmunden stanowi jedną przepiękną panoramę o charakterze letniskowym. Leży nad brzegami jeziora Traun. Droga do Ebensee prowadzi wzdłuż brzegów jeziora na przestrzeni sześciu kilometrów. Z jednej strony drogi szmaragdowa toń jeziora, od której wieje lodowaty chłód, a z drugiej strony promienie słońca odbijają się od szarych nagich skał i powodują prawdziwą spiekotę. Tu na tej drodze biją się ze sobą owe dwa prądy, powodując dziwne uczucia, z lewego boku – lodowatego zimna, a z prawego – rozgrzanego pieca. W połowie drogi, po drugiej stronie jeziora, wznosi się nagi szczyt alpejski Traumstejn [Traunstein]. Podziwiamy wspaniałe widoki przedgórz alpejskich i nage szare skały, ale nie upajamy się tymi widokami, bo patrzymy na to okiem człowieka głodnego, spragnionego i pozbawionego wolności.

Już południe. Prawie 24 godziny nie mieliśmy nic w ustach. Wielu słabnie, nie może podołać trudom, ale do nich już nie strzelają, lecz zbierają ich w większe oddziały i samochodami odwożą do Ebensee. Mamy przed sobą jeszcze trzy kilometry drogi, lecz sił już nam brak. Widzi to nasz komendant, daje nam odpoczynek i wysyła do obozu samochód po chleb. Spoczywamy w przepięknej miejscowości letniskowej Traumkirchen [Traunkirchen]. Po godzinie nadchodzi wóz z chlebem. Byliśmy tak głodni, że tylko dzięki nadludzkim wysiłkom niektórych kolegów nie doszło do rabunku. Strzałów rewolwerowych nie bali się zgłodniaли więźniowie. Śmierć jest lżejsza niż głód.

Wreszcie doszliśmy do miasta Ebensee. Zbudowane jest ono nad południowym brzegiem jeziora, w kotlinie zamkniętej ze wszystkich stron wysokimi przedgórzami alpejskimi, z których wyrastają prawie że pionowe nage szczyty alpejskie. Po zachodniej stronie wznoszą się Hölleugebirge ze szczytem Höllen [Höllkogel] (1862 m n.m.p.). Na wzniesienie to prowadzi kolejka linowa. Po stronie wschodniej wznosi się nagi szczyt Erlakogel (1570 m n.p.m.).



## OBÓZ W EBENSEE

Półtora kilometra za miastem, na małym wzgórku, w świerkowym lesie, na wilgotnym i podmokłym gruncie, zbudowano obóz dla więźniów. Przez dużą drewnianą bramę wchodzimy na plac apelowy. Wokół niego stoją niskie drewniane baraki, w których pomieszczono kancelarię, magazyny i kuchnię. Z boku placu apelowego tryska wysoko w górę fontanna, której woda zbiera się w okrągłym kamiennym zbiorniku, wokół którego rośnie krótko strzyżony piękny zieleniec. Nieco dalej zbudowany jest betonowy basen pływakki, wypełniony po brzegi wodą. Z chwilą wejścia na ów plac rzucili się więźniowie do basenu, by zdobyć drobinę wody i zaspokoić straszne pragnienie. Nie pomogło bicie gumą, strzelanie SS-manów, to drobiazg w porównaniu z pragnieniem. O gdybyście łotry wiedzieli, że za dwa tygodnie ci więźniowie, którym dziś wody bronicie, w tym samym basenie topić was będą jak szczury, zapewne inaczej ustosunkowalibyście się do nas.

Po tradycyjnej kąpieli i ogołoceniu nas ze wszystkiego co posiadaliśmy, [dano nam] podarte i śmierdzące łachmany. Wielu z nas nie otrzymało bielizny, więc byliśmy na pół nędzy. Na bloku panowały bandyckie stosunki. Bito i mordowano bez powodu. Spaliśmy po trzech na jednym łóżku. Rabunki i kradzieże były na porządku dziennym. Gdy na moment odeszło się od łóżka, kradziono koce, a nawet siennik, pozostawili gołe deski. Chleb trzeba było zjadać potajemnie, bo zostałeś napadnięty, obrabowany i śmiertelnie pobity. Z rąk wyrwali nawet miskę ze zupą.

Powodem tych anormalnych stosunków był straszny głód. Na śniadanie otrzymywaliśmy ćwierć litra niesłodzonej kawy, na obiad ciepłą wodę, w której gotowano łupiny z ziemniaków. Ziemniaki bowiem zjadali SS-mani, a nas karmiono odpadkami, a więc łupinami i zgniłymi ziemniakami. Na kolację dostawaliśmy 22 dag chleba oraz kubek ciepłej wody. Przy tego rodzaju odżywianiu panował niesamowity głód. Byliśmy wszyscy skazani na śmierć głodową. Ludzie chodzili jak cienie, istne kościotrupy. Liczba zgonów dziennie wynosiła ok. 600 osób. Krematorium było przeładowane trupami i nie mogło nadażyć w paleniu zwłok. Obok krematorium kopano olbrzymie doły, w których grzebano masowo umarłych. Wycieńczył nas obóz w Melku, wyczerpała nas podróż do Ebensee, tak że mocno zachwiani stanęliśmy do strasznej końcowej walki o życie. Wiedzieliśmy dobrze, że walka ta miała już swój końcowy etap. Zagadką jednak dla nas było, kiedy to się skończy. Każdy dzień pochłaniał setki ofiar, a więc końca oczekiwaliśmy jak wybawienia. Mimo że gazety zupełnie tu nie dochodziły, a komunikaty radiowe były nam nieznane, to zachowanie się majstrów cywilnych, a szczególnie

SS-manów zdradzało, że jest to już bliski koniec potęgi germańskiej. SS-mani przestali się nami interesować, myśleli już tylko o sobie i uciekali gromadnie ze swoich szeregów.

Klimat był tu bardzo ostry i [panowało] dokuczliwe zimno, szczególnie bardzo nam dokuczały ranne przymrozki. Ubrani byliśmy bardzo łąho i brakowało nam było bielizny. Codziennie o 3.00 rano wyjeżdżaliśmy do Attnang-Puchheim, miasta odległego 35 km od Ebensee, celem uprzątnięciaa gruzów po zbombardowaniu dworca kolejowego. Aby mieć obraz dzieła zniszczenia, spowodowanego nalotem, trzeba osobiście to zobaczyć. Nie jestem w stanie opisać tego strasznego zniszczenia bombami lotniczymi. Jak daleko okiem sięgnąć, wszystko znajdowało się w gruzach. Widziałem w jednym miejscu 15 m głęboki dół i jak mi mówiono, w tym miejscu stała dwupiętrowa kamienica. Szyny kolejowe były powykręcane jak cieniutkie druciki. Jakaś diabelska siła powykręcała je tak, że trudno oczom uwierzyć. Wagony kolejowe leżały daleko wyrzucone z toru kolejowego i wprost fantastycznie powywracane. Widziałem jeden wagon kolejowy, leżący poprzecznie do góry kołami, na dachu innego wagonu, stojącego normalnie na kołach. Jaka siła wyniosła go tak wysoko w górę? Naszym zadaniem było oczyścić przestrzeń nadającą się do założenia dwóch torów kolejowych.

W ostatnich dniach kwietnia aura w Ebensee bardzo się zmieniła. Codziennie padał deszcz ze śniegiem, a przejmujące zimno odbierało nam resztki sił i nadzieję do życia. Ostatnie te dni przypominały mi pierwsze tygodnie przeżyte w obozie oświęcimskim, lecz tak jak tam, tak i tu podtrzymywała mnie wiara, że przeżyję i cały i zdrow wrócę do domu. Ta wiara, ten mój wielki optymizm, nie pozwoliły mi ani na chwilę załamać się psychicznie i w najcięższych godzinach zagrzewałem siebie i moich kolegów do walki o utrzymanie życia. Moim hasłem było „głowa do góry”, a zaświeci dla nas słońeczko na niebie i będziemy żyli tak jak dawniej na wolności. Jakieś dziwne przeczucie dyktowało mi, że dzień 6 maja będzie dniem końcowym naszego cierpienia i że dzień ten przyniesie nam wolność. Zwierzyłem się z tego moim młodym towarzyszom i codziennie po jednym dniu skracałem naszą niewolę.

29 kwietnia 1945 r. zachorowałem. W nocy miałem silne dreszcze i gorączkę. Po wielu próbach i pertraktacjach udało mi się uzyskać zwolnienie od pracy, abym mógł udać się do szpitala. Tu zastałem znajomych lekarzy z Melku i kiedy mnie zobaczyli zaopiekowali się mną z całą serdecznością. Dzięki nim dostałem trzy dni tzw. *Blockschonung*, mogłem pozostać na bloku i nie iść do pracy.

Dwa dni przeleżałem w łóżku i o owe dwa dni przedłużyłem moje życie, bo z powodu straszego głodu niewiele mi brakowało do śmierci. Udało mi się nadzwyczajnie, gdyż w tych dniach pogoda była fatalna, padał bezustannie deszcz na przemian ze śniegiem. Okoliczne góry pokryły się znowu grubą warstwą śniegu i panowało dokuczliwe zimno. Po dwóch dniach leżenia o głodzie tak osłabłem, że nie miałem sił, by utrzymać się na nogach, a tym bardziej by iść do pracy. Zaryzykowałem więc i trzeciego dnia zwałem po prostu z placu apelowego, gdzie grupowano komanda do pracy. Następnego dnia jednak przyłapano mnie, zostałem zbity i przydzielono mnie do tzw. *Planierungskommando*. Zrywaliśmy na łące darnie, które nosiliśmy w rękach i układaliśmy w foremne kostki. Około godz. 9.00 nadjechał cywilny majster i wydał zarządzenie, aby nie zrywać więcej darni, a zerwaną ułożyć z powrotem na łące i wyrównać nawierzchnię. Przez ponad dwa tygodnie zrywało ową darninę codziennie 50 ludzi na przestrzeni kilkunastu hektarów, aż tu nagle zmiana, naprawić to co się zepsuło. Do tego rodzaju gospodarki niemieckiej byliśmy przyzwyczajeni. Ileż to razy kopaliśmy ogromne doły po to, by po pewnym czasie z powrotem je zasypać. W Oświęcimiu budowaliśmy trzy razy olbrzymi parkan betonowy w celu ogrodzenia bloków i trzy razy rozbieraliśmy. W tym dniu pędzili nas do pracy niemiłosiernie. Chcieli prawdopodobnie, abyśmy w jednym dniu pokryli darnią całą łąkę, na której pracowano dwa tygodnie. Wieczorem, kiedy wracaliśmy z pracy, jeden SS-man powiedział nam w tajemnicy, że nazajutrz pozostajemy na blokach i nie będziemy pracować. I rzeczywiście 3 maja, w dniu naszego Święta Narodowego, zostaliśmy w obozie. Faktem tym niespotykanym w dziejach obozu, byliśmy zaskoczeni i to nas upewniało, że jest już bliski koniec potęgi germańskiej. Tylko wytrwać – przeżyć owe parę dni.

Nagle gruchnęła wiadomość: koniec wojny! Niemcy skapitulowały! Zapanowała wśród nas szaleńcza radość. Koledzy rzucają się w ramiona, gratulują sobie wzajemnie, że dożyli tak wielkiej historycznej chwili. Matka Boska – Królowa Korony Polskiej przynosi nam w dniu jej święta wolność! Czy jednak radość nasz nie jest przedwczesna? Czy jest to możliwe, aby nasze cierpienia już się kończyły? Czy jest to możliwe, że doczekamy się tej chwili, w której będziemy wolni! Tak jest. Radość nasza była przedwczesna.

Następnego dnia również nie poszliśmy do pracy. Po obozie krążą najrozmaitsze wiadomości, którymi jesteśmy niezwykle podnieceni. Dowiadujemy się, że SS-mani opuszczają obóz, a straż nad nami obejmuje *Volkssturm*. Wiadomość ta jednak nie potwierdza się, gdyż na wieżach wartowniczych widzimy nadal straż, którą pełnią SS-mani.

Dzień przeżywamy niezwykle nerwowo w oczekiwaniu naszych wybawców. Noc przechodzi spokojnie. Po raz pierwszy nie słyszymy syreny zapowiadającej nalot lotniczy. Po raz pierwszy nie słyszymy detonacji, rozlegającej się po górach, która była powodowana dynamitowymi ładunkami do rozsadzania skał.

Nadchodzi dzień 5 maja. W całym obozie [jest] cicho i spokojnie. Nie słyszymy gongu na wstawanie, nikt z bloku nie wychodzi, po raz pierwszy nikt nie zrywa nas z łóżek, nie pędzi do pracy. Dowiadujemy się, że SS-mani kazali więźniom przygotować białą chorągiew, którą mają wywiesić na wysokim maszcie. A więc nasi bohaterowie poddają się i nie będą się bronili. Faktem tym bardzo się ucieszyliśmy. Około godz. 9.00 wzywają nas wszystkich więźniów na plac apelowy. Dowiadujemy się, że ma do nas przemawiać komendant obozu. I rzeczywiście na podwyższeniu staje *Lagerführer* Gans [Ganz] i przemawia do nas, wzywając nas do zachowania spokoju, posłuszeństwa i karności. Najmniejsze wykroczenia będą karane śmiercią, Amerykanie są niedaleko, w każdej chwili mogą tu przyjść – obóz może być zbombardowany i radzi nam, abyśmy karnie w kolumnach udali się do podziemnej sztolni, gdyż tam nie będzie nam grozić żadne niebezpieczeństwo. Na zapytanie jego, czy zgadzamy się z tą propozycją, odpowiedzieliśmy, nie umawiając się poprzednio, jednogłośnie: „Nein”. Baliśmy się, aby nas siłą nie wzięli, gdyż przeczuwaliśmy, że w sztolni zostaniemy zatruci gazem lub wysadzeni w powietrze.

Jak widać, nie mieli już czasu wykonać swego zamierzenia w stosunku do nas, gdyż SS-mani potajemnie opuścili obóz. Pozostało jedynie ok. 150 ochotników, którzy zdecydowali się pozostać w obozie na swych posterunkach. Fantastyczne wiadomości podniecają nas, chodzimy jak obłąkani bez celu od bloku do bloku, szukając nowych wiadomości. W nocy nie śpimy, nie rozbieramy się – czuwamy – aby być gotowym na powitanie naszych drogich wybawców. Oczekujemy ich z godziny na godzinę. Tymczasem myśli nasze uciekają daleko – hen do swoich najdroższych – do swoich stron ojczystych. Zbliża się radosna chwila. Po wielu latach strasznych, koszmarnych dni mamy wrócić jak z za grobu, jak z drugiego świata. Co będziemy robić po powrocie do swych rodzinnych stron? Każdy z nas układa plany w granicach swego dawnego podwórka, w otoczeniu swoich najdroższych członków rodziny i grona swych przyjaciół z dawnych lat... Ale czy ich zastaniemy? Tego rodzaju myśli zawładnęły nami i nie dały nawet oka zmrużyć. Czuwamy całą noc. Nadchodzi dzień 6 maja. Już wczesnym rankiem wychodzę na plac apelowy. Na wysokim maszcie radośnie powiewa biała chorągiew. Ona ma przestrzec naszych wybawców: „Nie strzelajcie do nas! Tu biją dla

was gorące serca! Tu wznoszą się błagalne w górę dłonie i proszą: Prędeż do nas! Prędeż! Spieszcie się, bo każda chwila dla nas droga, bo okupiona setkami życia ludzkiego". Słońce jest jeszcze zasłonięte wyniosłymi szczytami alpejskimi, ale po błękitnym niebie widać, że dzień będzie piękny. Słoneczko ukazuje się nam tu o trzy godziny później aniżeli na równinach. Jego życiodajne promienie przystania od wschodu masyw górski Erlakogel (1570 m n.p.m.) i Eibenberg (1598 m n.p.m.).

Mamy cudną słoneczną niedzielę. Chodzimy małymi grupkami i już swobodnie politykujemy. Niemcy, różni kapo, którzy nas gnębili, siedzą po kątach i spakowani oczekują, aby wyrwać z obozu jak najprędzej. Mają nieczyste sumienie w stosunku do nas i boją się samosądu.

Nasza Polonia jest bardzo licznie reprezentowana. Na 18 tys. więźniów różnych narodowości nas jest w obozie ok. 4000. Potajemnie przygotowujemy chorągiew o naszych narodowych barwach. Czynią to samo koledzy innych narodowości. Przygotowują również olbrzymi transparent do bramy z napisem: „Witajcie nasi wybawcy”. Wiją wieńce z jedliny do ubrania bramy wjazdowej. Wszystko przygotowuje się jak na największe święto narodowe. Około godz. 14.00 wpada do nas jeden z kolegów i woła Amerykanie jadą! Wypadamy z baraku i słyszymy od strony placu apelowego i bramy wjazdowej nie do opisania radosne krzyki i wiwaty. Biegniemy tam i widzimy wjeżdżające do obozu czołgi i pancerne amerykańskie auta. Radość wśród więźniów dochodzi do zenitu. Rzucą się jeden drugiemu w ramiona, łzy płyną po policzkach, gratulujemy sobie wzajemnie. Zdaje się, że ludzie ci oszaleli z radości. Wśród tej nie do opisania wrzawy słychać regularne głośne wiwaty: „Niech żyją Amerykanie! Niech żyją nasi wybawcy!”. Na czołgi i auta wychodzą więźniowie i stają na nich, ramię przy ramieniu obok swych wybawców, całując ich po rękach. Żołnierze amerykańscy, ze stoickim spokojem i amerykańską flegmą, żując gumę, przyglądają się naszym szkieletom i pokazując bramę, mówią: „Jesteście wolni! Możecie wyjść za druty!”. Na autach i czołgach stoją więźniowie i w rękach trzymają wysoko sztandary. Obok swych sztandarów skupiają się więźniowie i śpiewają swe narodowe pieśni. Zapewne po raz pierwszy od wieków na tej ziemi rozbrzmiewa głośnym chórem „Jeszcze Polska nie zginęła”. Śpiewamy, ale coś takiego ścisła gardło, że struny głosowe nie wydają głosu. To radość – to uczucie szczęścia, które szarpie nami i nie da się opanować. Tu i ówdzie na placu, na oczach naszych wybawców odbywają się samosądy. Zabijają różnych kapo, blokowych i tych, którzy dawniej nas zabijali. Wystarczyło powiedzieć słowo, a na ofiarę rzuciły się dziesiątki więźniów z drągami, żelazami, kamieniami itp. Z dziką rozkoszą rozprawiali się więźniowie ze swymi tyranami. Widziałem, jak wrzucono kilku

Niemców do basenu pływackiego, do tego samego, z którego w chwili przybycia do obozu, nie wolno nam było napić się wody. Widziałem, jak rzucono w nich kamieniami i nie pozwolono im pływać. Dali im dziś na śmierć napić się tej wody, której nam zabraniali ugasić pragnienie.

Widziałem, jak jeden z tonących, wzniosł w górę obie ręce, następnie zacisnął je razem i drgając kurczowo nimi, błagał o litość, o przebaczenie. W samosądzie nie ma litości, samosąd nie przebacza, bo widok krwi podnieca.

Nie mogąc patrzeć na tego rodzaju samosądy, wybrałem się do mego baraku, by po tych wielkich przeżyciach odpocząć. W drodze spotykam więźniów obładowanych bochenkami chleba i niosących całe wory mąki. Dowiaduję się, że zgłodniaли więźniowie rozbili piekarnię i magazyn z chlebem. Zabrali wszystko nie wyłączając nawet mąki i ciasta. Po pewnym czasie zaczęli wracać z miasta ci więźniowie, którzy zgłodniałi rzucili się na okolicznych mieszkańców. Jak się później dowiedziałem, atak na nich był tak groźny, że puciekali z domów do okolicznych lasów. Łupem więźniów była przede wszystkim żywność. Bez przerwy całą noc palono ogniska po całym obozie i gotowano jedzenie.

Syty wrażeń przeżytego wielkiego dnia, niewyspany poprzedniej nocy i bardzo słaby fizycznie, położyłem się do łóżka. Mój sąsiad, śpiący nade mną, miał dwa bochenki chleba. Nieśmiało zaproponowałem mu, by odstąpił mi kawałeczek chleba za papierosy. Będąc niepalącym, uskładałem sobie 15 sztuk papierosów na czarną godzinę, aby za nie kupić chleba. Mój towarzysz „Ruski” (tak nazywaliśmy kolegów radzieckich, natomiast oni nas nazywali „Polski”) odpowiada: „Haraszko Polski”. „A skolko imiejesz sztuk cigaretów”. Odpowiadam 15 sztuk. Mój sąsiad wziął nóż zrobiony z łyżki ukroił pół bochenka chleba i podał mi go. Oświadczam, że nigdy w życiu mi nic tak nie smakowało jak owe pół bochenka chleba.

Z powodu uszkodzenia przewodów elektrycznych cały obóz był pogrążony w ciemnościach. Oświetlała go jedynie łuna od palącego się baraku SS. Z powodu braku prądu elektrycznego stanęły i pompy wodne. Obóz został pozbawiony wody.

### PONIEDZIAŁEK, 7 MAJA 1945

Mimo że było już koło godz. 8.00 nie wstawałem z łóżka. Jako wolny obywatel, chciałem dowolnie się wyleżeć już bez obawy bicia. Śniadania nie otrzymaliśmy, bo nie było co ugotować,

a w dodatku nie było wody. Dzięki niestrudzonej pracy wielu zdrowych kolegów zorganizowano dowóz wody do kuchni autem. W jednej ze sztolni znaleziono nieco artykułów żywnościowych i dzięki temu mieliśmy zapewnioną żywność na pierwsze dni. Około południa dostaliśmy po pół bochenka chleba i sporą porcję margaryny.

Wybrano komitet, który miał pozostawać w kontakcie z władzami amerykańskimi. Obóz zwiedza moc żołnierzy amerykańskich, którzy zaglądną w każdy kąt i fotografują oraz filmują rzeczy ciekawe i ich interesujące. Największą popularnością cieszył się szpital, gdzie leżało ok. 2000 chorych. Nierzadkim był widok zupełnie nagiego i jeszcze żyjącego kościotrupa, zanieczyszczonego kałem i leżącego na ziemi pod gołym niebem, obok baraku szpitalnego.

Władze amerykańskie postanowiły rozdzielić obóz według narodowości. Nasza polska grupa uzyskała bardzo przychylne ustosunkowanie się do władz amerykańskich i zostaje nam przydzielony obóz niedaleko jeziora Traum, gdzie mieszkali robotnicy cywilni. Około południa zebrali się wszyscy Polacy na placu apelowym i po zgrupowaniu się w kolumny czwórkowe po sto osób, ze śpiewem na ustach, ruszyliśmy do nowo przydzielonego nam obozu. Dostaliśmy tu baraki, ale w systemie izbowym. Podzieliłiśmy się wedle sympatii i koleżeństwa na małe grupki i po kilku w zależności od wielkości izby zamieszkaliśmy [w] nowym obozie. Dzięki wysiłkom i staraniom niektórych kolegów zorganizowano maszyny do pisania i radioaparaty, postanowiono też wydawać gazetkę obozową. Miała ona nas informować o życiu obozowym i podawać wiadomości z komunikatów radiowych. Zorganizowano komisję redakcyjną oraz ustalono dyżury dzień i noc przy aparacie radiowym. Tym sposobem nawiązaliśmy kontakt z całym światem. Z jaką rozkoszą i dumą słuchałem po raz pierwszy od lat pięciu polskiego komunikatu radiowego.

## WTOREK, 8 MAJA 1945

Już wczesnym rankiem ukazał się pierwszy numer „Naszej gazetki”, obejmujący trzy arkusze pisma maszynowego. Z niej dowiedzieliśmy się o kapitulacji Niemiec i o zakończeniu wojny na terenie Europy. Z uwagi na to, że dzień 8 maja jest dla nas dniem świątecznym, zebraliśmy się nas w godzinach rannych spora grupa, ok. 300 osób, i w kolumnie marszowej ze śpiewem na ustach udaliśmy się do kościoła św. Józefa w Ebensee na dziękczynną mszę św. Trudno było powstrzymać się od łez, gdy po raz pierwszy od pięciu lat uklękliśmy przed wielkim ołtarzem, aby podziękować najwyższemu Stwórcy za ocalenie i pozostawienie nas przy życiu. Zamiast cichej modlitwy łzy rozczulenia złożyliśmy Panu Bogu w ofierze. Płakaliśmy

nie tylko my, ale i łzy wzruszenia spływały po policzkach zebranej w kościele publiczności. Dzięki uprzejmości miejscowego księdza proboszcza przystąpiliśmy do wspólnej spowiedzi i otrzymaliśmy generalne absolutorium, po czym przystąpiliśmy do Komunii Świętej. Po nabożeństwie gościły nas miejscowe siostry zakonne herbatą z sucharkami i papierosami. Około południa wróciliśmy do naszego obozu, znowu śpiewając wesoło piosenki.

Zaczynamy życie nowe, życie człowieka wolnego. Wprawdzie baraki gromadne przypominają życie więźnia obozowego jednak świadomość wolności, możliwość swobodnego poruszania się po mieście sprawiały nam wielką radość. W naszym nowym obozie z dawnej sali jadalnej urządziliśmy sobie piękną kaplicę, w której odprawiano ranne msze św., a wieczorem nabożeństwa majowe.

Największą bolączką obozową była trudność w zdobywaniu żywności. Władze amerykańskie wydały nam zezwolenie rekwirowania artykułów spożywczych i przydzieliły do naszej dyspozycji kilka samochodów ciężarowych oraz aut osobowych. Urządziliśmy kancelarię obozową, w której każdy z nas musiał się zarejestrować. Należało bowiem byłych więźniów, ok. 4000 ludzi, ująć w pewne ramy organizacyjne.

## 9 MAJA 1945

Dziś poznał jeden z naszych kolegów byłego komendanta obozu w Melku, osławionego mordercę Juliusa X Ludolfa. Jechał on przebrany po cywilnemu w towarzystwie swej kochanki, którą wiozł ze sobą z Melku z zamiarem ucieczki do Szwajcarii. W chwili aresztowania stawiał opór, za co wymierzono mu kilka tęgich policzków i oddano go w ręce władz amerykańskich. Tłumaczył się on, że był dla więźniów bardzo dobry, a wówczas udowodniono mu matematycznie jego dobroć. Do Melku przybyło ogółem ok. 14 tys. więźniów, z czego ewakuowano do Ebensee zaledwie 7401, reszta zmarła w Melku wskutek przeciążenia pracą, złego odżywiania, lichego okrycia, bicia i bydlęcego traktowania.

Zastrzelono w lesie pod Ebensee drugiego „ptaszka” – *Obersturmführera* Reichenbacha, który wstawił się tym, że dowodził nami w czasie marszu ewakuacyjnego z Oświęcimia do Włodzisławia, a następnie transportował nas podczas 24 stopniowego mrozu wagonami otwartymi przez cztery dni i noc. Zbrodniarz ten jest winien zamordowania ok. 800 osób, w tym więcej niż połowy kobiet, które nie mogły nadążyć z maszerującą kolumną. Podobny los spotkał *Lagerführera* z Ebensee, Gansa, którego zastrzelił jego własny przyjaciel.



Morderca ten miał specjalne metody wykańczania więźniów. Wiedzieli o tym SS-mani i mieli w tym kierunku odpowiednie dyrektywy. Tajemnicę tę zdradził jeden z *Blockführerów*, który swemu zaprzyjaźnionemu więźniowi nie pozwolił wyjechać do Ebensee, twierdząc, że z tego obozu żaden więzień żywym nie wyjdzie. Potwierdzić mogę własnym doświadczeniem, że tak istotnie było, gdyż po trzech tygodniach pobytu w tym obozie byłem bliskim śmierci.

Wstrząsające wrażenie na Amerykanach zrobiła platforma ciągnięta przez parę koni załadowana zwłokami zmarłych więźniów w Ebensee. Platforma ta przejechała przez całe miasto, kierując się na cmentarz. Amerykanie fotografowali i filmowali ją ze wszystkich stron, wyrażając w sposób dobitny swoje oburzenie. Jeden z nich zawołał głośno: „Oto są ofiary niemieckiej cywilizacji i kultury”. Nawet na Niemcach z Ebensee ta makabryczna platforma wywarła duże wrażenie. Jeżeli dotychczas udawali, że nie wiedzieli, co działo się w obozie, to otrzymali teraz namacalny dowód.

Amerykanie początkowo mieli taki pomysł, aby każdego zmarłego w obozie więźnia SS-mani przenosili na własnych barkach w trumnach i aby uroczysty pogrzeb odbywał się na koszt miasta. Jak widać zrezygnowano z tego projektu i obecnie, jak to opisałem, przewożą zwłoki na platformie w trumnach i grzebią na miejscowym cmentarzu.

Wieczorem przyprowadzono do władz amerykańskich czterech SS-manów z obozu w Ebensee w eleganckich ubraniach cywilnych. Początkowo nie chcieli się przyznać, że byli w obozie *Blockführerami*, ale niestety poznali ich więźniowie, a nawet przypomnieli ich heroiczne czyny w stosunku do bezbronnych więźniów.

## 10 MAJA 1945

Dziś brałem udział w uroczystym nabożeństwie, które odbyło się w kościele św. Józefa w Ebensee. Maszerowaliśmy zwartą grupą już raźniej i pewniej, jak przed dwoma dniami, gdyż po dwóch dniach dobrego odżywiania organizm wracał do sił.

Wiadomości z gazetki: Londyn 9 maja 1945 r. „Nadeszła wiadomość o schwytaniu feldmarszałka Göringa, organizatora niemieckiej broni powietrznej, wykonawcę planu czteroletniego i najbliższego współpracownika Hitlera. Zeznaje on, że 24 kwietnia br. Udał się do Hitlera i złożył w jego ręce swoją władzę. 28 kwietnia do willi Göringa przybyły oddziały SS, które aresztowały marszałka i osadziły w więzieniu. Dowiedziały się o tym formacje lotnicze,

Göringa zwolnili i trzymali w ukryciu, dzięki czemu uniknął śmierci wydanej na niego przez Hitlera. Nie wiadomo, czy to bajka, czy też prawdziwa opowieść. Fakt ten i tak nie zmniejszy mu kary, na którą zasłużył ów przestępca.

#### 11 MAJA 1945

W ruinach Berlina znaleziono trupa Bormana, który był zastępcą Hitlera. Oprócz tego znaleziono w gruzach cztery ciała i nie jest wykluczonym, że jedno z nich to mogą być zwłoki Hitlera. Do tej pory jednak zwłok nie zidentyfikowano.

Dzięki staraniom naszego komitetu wywożą obecnie chorych i to przeważnie młodych chłopców do miejsca klimatycznego w Ischl [Bad Ischl], odległego 15 km od Ebensee.

Życie w nowym cywilnym obozie upływa nam szybko, ale jednostajnie. Odżywianie mamy stosunkowo dobre. Czasami jest ono jednostajne, np. cały tydzień zupa grochowa, ale mimo to przybieramy na wadze i czujemy się mocniejsi. Jedyłą naszą troską i bolączką jest jak najszybszy wyjazd do Ojczyzny. W tym kierunku nasz zarząd czyni starania, ale władze amerykańskie nie popierają nas i opóźniają termin wyjazdu.

#### 22 MAJA 1945

Jeden z największych morderców, główny komendant obozu Buchenwald *Sturmbannführer* Fortner [?] dostał się w ręce wojsk brytyjskich. Stanie on przed specjalnym sądem, oskarżony jest o spowodowanie śmierci ok. 100 tys. osób więzionych w Buchenwaldzie.

W dniu dzisiejszym odwiedził nasz obóz przedstawiciel Związku Radzieckiego. Wziął udział w zebraniu zwołanym z okazji jego przybycia. Przedstawiciel Związku Radzieckiego szczegółowo omówił wspólną walkę o wyzwolenie Polski przez Armię Czerwoną oraz Polską Gwardię Ludową. Przedstawił również sprawę zawarcia sojuszu na lat 20 między Związkiem Radzieckim a Polską.

Następnie podał nam do wiadomości, że czyni wszystko, co jest w jego mocy, żeby przyspieszyć termin naszego wyjazdu do Ojczyzny.

### 26 MAJA 1945

Dzisiaj zostały wywieszane w całym Niemczech plakaty ze zdjęciami zrobionymi w obozach koncentracyjnych w Oświęcimiu, w Buchenwaldzie i w Dachau. Na plakatach widnieje napis „Wer ist schuld?” (Kto jest winien?). Przypuszczamy, że Niemcy rozumieją, kto ponosi odpowiedzialność za to barbarzyństwo.

### 30 MAJA 1945

W dniu dzisiejszym zostali przyjęci przez pułkownika Związku Radzieckiego koledzy St. Madej i Garczyński. Pułkownik oświadczył im, że Polacy przez cztery najbliższe tygodnie nie mogą opuszczać obozu, albowiem w tym czasie należy się spodziewać komisji z Polski, która zajmie się przygotowaniem transportu Polaków do Ojczyzny. Duże zainteresowanie wzbudził wśród kolegów przygotowany na dzisiaj wesoły wieczór pod nazwą „bigos obozowy”. Zobaczymy.

### 1 CZERWCA 1945

„Bigos obozowy” udał się nadzwyczajnie. Na program złożyły się występy chóru obozowego, recytacje, monologi i śpiewy solowe. Kolegom A. Kopycińskiemu i M. Rusinkowi należy się uznanie i podziękowanie za to, że imprezę zorganizowali i świetnie nią pokierowali.

Dzisiaj po raz pierwszy w obozie odbędzie się lekcja języka angielskiego i francuskiego.

W Międzynarodowym Trybunale do sądenia zbrodniarzy wojennych z ramienia Polski zasiadają trzej przedstawiciele dr Cynaj, dr Laks [Lachs] i dr Witawski. W skład Trybunału wchodzi przedstawiciele 16 państw. Związek Radziecki nie ma swego przedstawiciela, gdyż ma własny Trybunał i komisję do zbierania materiału. Wczoraj zebrał się Trybunał na pierwsze posiedzenie informacyjne, a 6 czerwca przystępuje do intensywnej pracy. Pierwsza lista zbrodniarzy wojennych zawiera nazwiska 2524 Niemców, 110 Włochów, 17 Bułgarów, 2 Albańczyków, 2 Węgrów i 2 Rumunów. Poza tym jest w opracowaniu druga lista zawierająca kolejne 560 nazwisk niemieckich i 800 nazwisk innych nieujawnionych dotąd narodowości.

## 2 CZERWCA 1945

W ostatnich czasach zdarzają się coraz częstsze samobójstwa wśród członków partii hitlerowskich. Nasza gazetka wymienia całe listy nazwisk osób z powiatu Salzburg, które popełniły samobójstwo. Między innymi burmistrz Salzburga Anton Gigier zastrzelił żonę i siebie.

Nasza gazetka podaje: „Dzienniki opisują, jak wygląda mieszkanie Hitlera, wykryte w jednym z budynków rządowych w Berlinie. W pokojach znaleziono wielką masę malowideł, noszących podpis „A. Hitler” oraz datę malowania. Dzienniki rosyjskie podkreślają z ironią, że straszliwy ten morderca wykazywał w swych malowidłach łagodność i spokój. Lubił on malować księżycowe krajobrazy, łączki z pasącymi się krówkami, rzeczkę z rosnącymi nad jej brzegiem drzewami itp. Obrazy nie przedstawiają najmniejszej wartości artystycznej. Pełno też było w pokojach fotografii. W jego gabinecie znaleziono tysiące portretów Hitlera z własnoręcznym podpisem. Były one przygotowane do rozdania w dniu święta narodowo-socjalistycznego, tj. 1 maja 1945 r., wśród najbliższego otoczenia zbrodniczego kanclerza i miały tę datę. W szufladach biurka, w szafach bibliotecznych oraz w sypialnym pokoju, znaleziono całe stosy albumów z fotografiami, przedstawiającymi Hitlera w rozmaitych okresach jego panowania. Widnieje on na tych zdjęciach przeważnie w pozach napoleońskich. Na biurku znaleziono gruby tom z historii rodziny Hitlera, w której autor starał się wykazać, że rodzina Schickelgruber [Schicklgruber], z której wywodził swój ród Hitler, wiezie swój początek od najszlachetniejszych niemieckich mężów stanu. Olbrzymi pięciopiętrowy gmach przykrywał osobiste schrony przeciwlotnicze Hitlera i Goebbelsa. W najniższym lokalu znajdowało się dwupiętrowe mieszkanie Hitlera, zbudowane tak, że zabezpieczone było nawet przed pięciotonowymi bombami lotniczymi. W pokoju jadalnym był stół jeszcze zastawiony do śniadania i stała tam butelka wina czerwonego, na pół wypita oraz cztery krzesła. Do tego pokoju przylegał pokój sypialny oraz luksusowo wyposażona łazienka. Sąsiadujące z tym mieszkaniem pokoje Goebbelsa zostały opuszczone przez właścicieli w największej panice. Wskazuje na to panujący w nich wielki nieporządek.

Sprawozdawca amerykańskiej dywizji donosi z Dachau. Wielu więźniów w obozie koncentracyjnym zmarło wskutek zamrożenia. Mianowicie naczelne dowództwo niemieckiej broni powietrznej zażądało od kierownictwa obozu przeprowadzenia doświadczeń z więźniami, na temat ile czasu człowiek może pozostać w lodowatej wodzie. Lekarze obozowi codziennie poddawali więźniów próbom, każąc im przebywać dłuższy czas

w bardzo zimnej wodzie. Co pewien czas były pobierane od nich próbki krwi i była mierzona temperatura wody. W wyniku tych doświadczeń tysiące więźniów zmarło.

Oprócz tego, w obozie tym setki więźniów otrzymywało przymusowo zastrzyki malarii. Na więźniach tych przeprowadzano doświadczenia związane z walką z malarią. Z więźniów tych nikt nie doczekał się wolności, wszyscy poumierali”.

Dziś dowiedzieliśmy się, że władze amerykańskie przeznaczyły nasz obóz na pomieszczenie dla SS-manów, którzy w liczbie kilkunastu tysięcy mają pracować w miejscowych sztolniach. Nas mają zamiar przeprowadzić do obozu cywilnego w Steinkogel, gdzie dotąd mieszkali Rosjanie. Czeka nas znowu przeprowadzka. Żał nam pracy włożonej w urządzenie obozu, nie żał nam tylko pluskiew, których całe mrowie gryzło nas w czasie snu. Nie pomogły nawet żarówki o sile 200 świec, które świeciliśmy przez całą noc.

#### 4 CZERWCA 1945

Biuro Komisji Kontrolnej dla Niemiec przeprowadza obliczenia liczby byłych więźniów obozów koncentracyjnych, jeńców wojennych oraz robotników cywilnych pochodzących ze wszystkich państw Europy, a znajdujących się obecnie na terenie Niemiec i innych państw, które były przez Niemców okupowane. Obliczają, że ok. 15,5 mln ludzi musi powrócić do swych ojczystych krajów. Program repatriacji jest w toku opracowania. Niestety, jak się dowiadujemy, władze amerykańskie wydały zakaz opuszczania obozu i odjazdu do Ojczyzny. Na drogach, szosach i liniach kolejowych zarządzono ostrą kontrolę przepustek i osoby nieposiadające odpowiednich dokumentów są odsyłane do pobliskich obozów.

#### EBENSEE, 7 CZERWCA 1945

Amerykane przystąpili do ogrodzenia naszego obozu drutem kolczastym. Nastroje w obozie kiepskie. Do Ojczyzny nie chcą puścić, z obozu, z takim trudem urządzonego, wyrzucają nas, słowem zaczyna się drugi etap przeżycia obozowego. Zobaczmy, jak to długo potrwa.

Rosjanie odjeżdżają. Po nich przyjechała delegacja rodaków i zorganizowała ich wyjazd. Niestety po nas nikt nie przyjechał.

### **EBENSEE, 8 CZERWCA 1945**

Cały polski obóz został zlikwidowany. Umieszczono nas w pięciu różnych punktach, odległych od siebie [o] około dwa kilometry. Większość kolegów została umieszczona w obozie opuszczonym przez Rosjan, w Steinkogel. W obozie tym zastano nieszczerólnie warunki. Pluskwy – brud – brak wody i błoto – oto ogólna charakterystyka naszych pomieszczeń. W grupie liczącej 1420 Polaków zamieszkałem w obozie po SS-manach. Baraki mamy nieco wygodniejsze, są urządzenia wodociągowe i kanalizacyjne i to lepsze w porównaniu z innymi. W izbach zastaliśmy pustki. Musimy organizować łóżka, szafy, stoły, krzeselka, słowem całe urządzenie. Przywozimy to wszystko autami z poprzedniego obozu. Muszę nadmienić, że koledzy wybrali mnie na mojej izbie „Izbowym”. Po raz pierwszy od lat pięciu życia obozowego uzyskałem władzę. Jako izbowy musiałem zająć się umeblowaniem naszej izby.

### **EBENSEE, 9 CZERWCA 1945**

W dniu dzisiejszym zaproponowano mi nowe zajęcie w obozie, a mianowicie stanowisko pisarza na moim 14. bloku. Ponieważ nie lubię beczynnego życia, bo w zajęciu pręcej czas przemija, godność powyższą przyjąłem. Moja izba została przeznaczona na kancelarię oddziału i zamieszkujemy ją w trzech. A mianowicie kolega Stasiu Pałatko z Krakowa, jako oddziałowy i były mój sąsiad z łóżka, z którym spaliśmy we dwóch w obozie w Ebensee, Maksymilian Laufer, jako prowiantowy. Na oddziale mamy ok. 150 kolegów rozmieszczonych na 12 izbach.

### **EBENSEE, 10 CZERWCA 1945**

Na nowym stanowisku pisarza oddziału mam bardzo dużo pracy. Przyjmowanie nowych kolegów, wypisywanie tych, którzy zostali przeniesieni, sporządzanie meldunków, rozdział żywności itd. Ale cieszę się, bo nie lubię beczynności. Donoszą z Monachium, że zostali schwytani w chwili, gdy zamierzali przekroczyć granicę szwajcarską, komendant obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie Burchard i naczelnny lekarz obozu Hoffer. Byli przebrani i ucharakteryzowani za kobiety i w tym przebraniu zamierzali ująć z rąk sprawiedliwości.

### EBENSEE, 12 CZERWCA 1945

Stan liczebny naszego obozu wynosi dziś 3662 osoby. Muszę podkreślić z przyjemnością, że Amerykanie żywo interesują się obozem polskim. Wyżywienie z każdym dniem poprawia się, gdyż przechodzimy do zaprowiantowania przez UNRRA [*United Nations Relief and Rehabilitation Administration*], z każdym dniem czujemy się silniejsi i zdrowsi. Wilczy apetyt, jaki mieliśmy w początkach po przebytych głodzie, powoli ustępuje. Przyznam się ze wstydem, że w początkach zjadłem trzy pełne miski zupy, a więc około cztery litry, a obecnie już jedna miska mi wystarczy, a czasami nawet nie mogę dać jej rady. W ciągu pięciu tygodni organizm nadrobił swój ubytek.

Radio z Londynu podaje o nowej zbrodni, jakiej dopuściły się władze obozowe Neuengamme. Załadowali 7000 Polaków do trzech okrętów i puścili je na pełne morze bez paliwa i żywności i myśleli, że Amerykanie je zatopią. I rzeczywiście, okręty angielskie, nie wiedząc, jaki ładunek mieści się na okrętach, zatopili je. Oto jeszcze jedna wielka zbrodnia, jakiej dopuścili się Niemcy na bezbronnych ofiarach. W dniu dzisiejszym otrzymaliśmy paczki żywnościowe Czerwonego Krzyża – jedna pięciokilowa paczka na trzech ludzi.

Przez radio w Oslo przemawiał 24-letni student norweski Braun, były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Omówił on stosunki, jakie panowały w obozie. Wyrażał się pochlebnie o więźniach Polakach, którzy swoją postawą w tych strasznych warunkach zaimponowali wszystkim więzionym tam Norwegom.

### EBENSEE, 13 CZERWCA 1945

Dowiadujemy się z radia warszawskiego ciekawych szczegółów o obozie w Wiśniczu. Został on zorganizowany przez gestapo w zabytkowym klasztorze z XVI w. Pijane żołdactwo urządzało orgie przed Wielkim Ołtarzem, udając, że odprawia nabożeństwo, a więźniom kazano klękać i przyglądać się temu. Zamordowano tam ok. 20 tys. ludzi.

### EBENSEE, 14 CZERWCA 1945

Nasz obóz odwiedzają prawie codziennie liczni goście z innych obozów. Przyjeżdżają koledzy z Gmunden, Lambach, Linzu i innych mniejszych ośrodków polskich. Dziś przybyli z wizytą przedstawiciele armii polskiej ppłk Henryk Malhomme, zastępca szefa oficerów

łącznikowych polskich przy Naczelnym Dowództwie Wojsk Sprzymierzonych, mjr Stefan Gąsiorowski, szef polskich oficerów łącznikowych przy dowództwie 3. Armii Amerykańskiej, oraz podchorąży Stanisław Chybalski. Liczba Polaków przebywających w naszym ośrodku w Ebensee ostatnio wzrosła do 4240 osób.

Nasz obóz (dawniej należący do SS) obecnie wygląda jak osiedle willowe, umieszczone w pięknym parku. Oczyszcziliśmy wszystkie ścieżki i założyliśmy nowe. W całym obejściu zrobiliśmy gruntowny porządek. W całym ośrodku nie mamy zegarów. Jeden z kolegów ma kieszonkowy zegarek i chcąc informować o czasie, wyznaczamy dyżury i co godzinę wybijamy na gongu odpowiednią liczbę uderzeń. Dziś po raz pierwszy pisaliśmy do rodziny list za pośrednictwem amerykańskiego Czerwonego Krzyża. Przykro mi tylko, że wolno pisać jedynie 25 słów, a przecież po tak długiej rozłące, pisząc pierwszy list w ojczystym języku, chciałbym napisać jak najwięcej.

#### **EBENSEE, 16 CZERWCA 1945**

Wiadomość z „Naszej gazetki”. Z Gdańska wróciła delegacja, która badała sprawę niemieckich zbrodni wojennych. Delegacja zwiedziła m.in. słynny obóz koncentracyjny Sztutthof [Stutthof] pod Gdańskiem. Stwierdzono na podstawie autentycznych dokumentów, że przez obóz przeszło ogółem 107 tys. więźniów różnych narodowości w tym duża liczba Polaków. Z ogólnej liczby więźniów zmarło 80 tys. osób, z których 40 tys. zagazowano, resztę zaś zamęczono w najrozmaitszy sposób. Najczęstszym sposobem uśmiercania więźniów było topienie ich w Morzu Bałtyckim. Znalaziono m.in. liczne dokumenty osobiste zsyłanych tu więźniów, na których to papierach figurował własnoręczny podpis krwawego kata gdańskiego Greisera z dopiskiem: „Powrót niepożądany”.

Wielkie wrażenie wywołała wiadomość o schwytaniu poszukiwanego od dawna ministra spraw zagranicznych hitlerowskich Niemiec, von Ribbentropa. Poszukiwano go w całej Europie, podejrzewając nawet, że wykorzystał swoje kontakty i ukrywa się na terenie Szwajcarii lub nawet Hiszpanii. Policja tych państw brała również udział w poszukiwaniach, gdyż w myśl odpowiednich umów państwa te były zobowiązane do wydania Ribbentropa. Jeden z wywiadów angielskich, znających stosunki przedwojenne Ribbentropa, doszedł do wniosku, że miał on rozległe kontakty ze handlarzami win, ponieważ sam był przez...

Dalszy ciąg w opracowaniu.

Gorlice, 10 września 1946 r.